

MARI JUNGSTEDT

WE WŁASNYM
GRONIE

Przełożyła Ewa Wojacek
Tytuł oryginału *DEN INRE KRETSEN*



Moim najdroższym oczkom w głowie,
ukochanym dzieciom – Rebecce i Sebastianowi
Jungstedt

Wiosenne zrównanie dnia z nocą Sobota, 20 marca

W oddali widać było tylko słaby blask światła. Igors Bleidelis dostrzegł je przez swą lornetkę, kiedy estoński frachtowiec mijał molo, wychodząc z portu w Visby. Stał na pokładzie na lewej burcie, gdy mrok spowił opustoszały port i zaczęto zapalać chłodno świecące lampy terminalu promowego.

Za rufą statku pozostało średniowieczne miasto z domkami kupców, murami obronnymi wysokości sześciu metrów oraz czarną wieżą katedry, wznoszącą się ku niebu. Zabudowania otaczające port wydawały się wyludnione, a ich okna były niczym czarne, niewidzące oczy osadzone w fasadach. Przy nabrzeżu było zacumowanych zaledwie kilka kutrów rybackich, które podskakiwały na wodzie niczym korki.

O tej porze roku prawie wszystkie restauracje były pozamykane. Na ulicach nie było widać ani jednego człowieka, zauważył tylko jakiś pojedynczy samochód na drodze biegnącej w dół, w kierunku przystani promowej. O ile latem było to ożywione miasto, o tyle w zimie zamierało.

Igors Bleidelis zadygotał lekko w swym przeciwdeszczowym kombinezonie. Ciekło mu z nosa. Powietrze było ostre i zimne i jak zwykle wiało. Miał ochotę na papierosa, więc wyszedł na pokład. Za kominem znalazł sobie jakieś zaciszne miejsce i z kieszeni na piersi wydobyl pomietą paczkę. Po kilku nieudanych próbach wreszcie zapalił papierosa. Wiatr ciał go prosto w twarz, a chłód bezlitośnie wciskał się za kołnierz.

Marzyło mu się ciepłe łóżko, w którym mógłby się zatopić w miękkim objęciu żony. Od dziesięciu dni był poza domem, ale miał wrażenie, że trwało to znacznie dłużej.

Uniósł lornetkę, aby poobserwować linię brzegową. Zobaczył skaliste wybrzeże urywające się ostro prosto ku morzu. Za portem po tej stronie stało zaledwie kilka domów. Wodził lornetką wzdłuż ścian klifu. Z miejsca, w którym stał, wyspa wydawała się zimna i niegościnna.

Zmrok zapadał szybko. Cisnął niedopałek za burtę i już miał wracać pod pokład, gdy blask światła nagle się nasilił. Od strony skał opadających stromo ku morzu rozbłysły jakieś płomienie.

Zatrzymał się i raz jeszcze podniósł lornetkę. Ustawił ostrość najlepiej, jak to tylko było możliwe. Na szczycie migotały płomienie ogniska, wznosząc się do góry ku ciemnemu niebu niczym pochodnie w marcową noc Walpurgii. Wypatrzył jakby ludzkie cienie wokół stosu, które zdawały się trzymać w ręku pochodnie. Sylwetki poruszały się regularnie w pewnym określonym rytmie. Ktoś uniósł w powietrze jakiś przedmiot i cisnął go w płomienie. Z tak dużej odległości niczego więcej nie mógł dostrzec. Statek wkrótce oddalił się od tego miejsca i blask światła zniknął mu z pola widzenia.

Igors Bleidelis opuścił lornetkę i po raz ostatni spojrzął w stronę skalistego klifu, zanim otworzył drzwi do kajuty i wszedł do ciepłego pomieszczenia.

Poniedziałek, 28 czerwca

Poniżej kościoła we Fröjel rozciągały się łąny rzepaku i pola schodzące ku morzu niczym żółtozielone dywany. Na jednej z krawędzi pola widać było pstrokatą gromadkę. Z wysokiej trawy w równych odstępach co rusz wystawała głowa, gdy ktoś podnosił się, aby rozprostować obolałe kości czy zmienić pozycję. Biała czapeczka, słomiany kapelusz, piracki szalik, długie włosy poskręcane na głowie dla chwilowej ochłody, które potem znowu opadały na ramiona. Za zgiętymi plecami połyskiwały wody Bałtyku niczym niebieska obiecująca głębia. Trzmielce i osy bzyczały, fruując wokół czerwonych maków, a źdźbła owsa kołysały się lekko tam i z powrotem, gdy akurat powiała lekka bryza. Przeważnie jednak było bezwietrznie. Wyż znad Rosji nadciągnął nad Gotlandię i utrzymywał się tu od tygodnia.

Grupa około dwudziestu studentów archeologii zgodnie z wyuczoną metodą pracowała nad odkopaniem czegoś, co tysiąc lat wcześniej było portem z czasów wikingów. Praca była ciężka i wymagała cierpliwości.

Holenderka Martina Flochten siedziała przykucnięta w swoim wykopie, dłubiąc kielnią w ziemi pomiędzy kamieniami. Z zapalem, aczkolwiek ostrożnie posługiwała się tym małym narzędziem, tak by nie uszkodzić ewentualnego znaleziska. Od czasu do czasu podnosiła jakiś kamyk i wrzucała go do czarnego plastikowego wiadra, które stało obok niej.

Teraz dopiero zaczynała się prawdziwa frajda. Po kilkutygodniowym bezskutecznym kopaniu, zaledwie kilka dni temu ich trud nareszcie przyniósł oczekiwane rezultaty. Znalazła kilka srebrnych monet oraz szklanych koralików. Poczucie, iż oto trzyma w ręku przedmioty nietknięte przez człowieka od dziewiątego czy dziesiątego wieku, za każdym razem robiło na niej równie silne wrażenie. Pobudzało wyobraźnię i przywoływało obrazy z życia ludzi w tamtych czasach. Jakaż to kobieta zakopała te koraliki? Kim była i jakie myśli kłębiły się w jej głowie?

Martina Flochten należała do grupy obcokrajowców uczestniczących w kursie. Prawie połowa uczestników kursu pochodziła z innych krajów; było tu dwóch Amerykanów, jedna Brytyjka, jeden Francuz, jeden Kanadyjczyk indiańskiego pochodzenia, kilku Niemców oraz Australijczyk Steven. Kurs był częścią jego podróży dookoła świata. Steven udawał się w

różne miejsca ciekawe z punktu widzenia archeologii, a jego ojciec był najwyraźniej na tyle majątną osobą, iż syn mógł robić, co chciał. Martina studiowała archeologię na uniwersytecie w Rotterdamie i tam właśnie usłyszała o kursach poświęconych metodom badań archeologicznych w terenie, organizowanych przez szkołę wyższą w Visby. Za udział w tym kursie mogła doliczyć dziesięć punktów do swoich studiów w Holandii¹. Martina była w połowie Szwedką. Jej matka pochodziła z Gotlandii, choć od narodzin Martiny rodzina mieszkała w Holandii. Wprawdzie regularnie przyjeżdżali na wyspę w czasie wakacji, także po śmierci matki, która zginęła kilka lat temu w wypadku samochodowym, ale możliwość przebywania na Gotlandii przez dłuższy czas i zajmowania się tym, co sprawiało Martinie największą przyjemność, stanowiły dla niej szansę, której nie chciała stracić.

Jak dotąd edukacja przerosła jej oczekiwania. Uczestnicy dobrze się bawili we własnym gronie, większość była w jej wieku i miała około dwudziestu lat, niektórzy byli nieco starsi: jeden z Amerykanów, Bruce, miał około pięćdziesiątki i był trochę typem samotnika. Mówił, że na co dzień pracuje jako technik-informatyk, ale najbardziej interesuje go archeologia. Brytyjka miała około czterdziestu lat, tak przynajmniej sądziła Martina, i wydawała się dość dziwna.

Martinie podobała się taka mieszanka środowiska szwedzkiego i międzynarodowego. W grupie panował burzliwy, ale serdeczny nastrój. W okolicy często rozlegał się śmiech, kiedy uczestnicy żartowali sobie ze swoich technik wykopaliskowych i ze zmiennego szczęścia w wykopywaniu znalezisk. Biedna Katja z Göteborga jak na razie nie znalazła nic oprócz kości zwierzęcych, których wszędzie było pełno. W jej wykopie najwyraźniej nie było niczego innego, ale pracę trzeba było wykonywać i tak. Siedziała więc w nim dzień w dzień spocona, nie znajdując niczego ciekawego. Martina miała nadzieję, iż Katja niebawem będzie mogła przeszukiwać jakiś inny wykop.

Prace wykopaliskowe poprzedził kilkutygodniowy kurs teoretyczny w szkole wyższej w Visby. Potem zaś zabrano się do trwających osiem tygodni wykopalisk we Fröjel na zachodnim wybrzeżu Gotlandii. Ponieważ Martinę tak bardzo interesowały czasy wikingów, wprost nie mogła trafić lepiej. Cały obszar wokół wykopalisk był przypuszczalnie zamieszkały w tamtej epoce. Prowadzone tu różne wykopaliska dostarczyły znalezisk pochodzących z najdawniejszych czasów wikingów aż po schyłek epoki w wieku dwunastym. Teren, na którym pracowali uczestnicy kursu, obejmował port,

¹ Zaliczenie roku studiów w krajach Europy Zachodniej polega na uzyskaniu przez studenta określonej, wymaganej przez daną uczelnię liczby punktów (przyj. tłum.).

osadę i kilka miejsc pochówku. Prawdopodobnie była to kiedyś ważna osada kupiecka, sądząc po odważnikach i srebrnych monetach, jakie wykopywali.

Nagle rozległ się krzyk Stevena skulonego w sąsiednim wykopie. Wszyscy pośpieszyli do niego. Odkopywał właśnie ludzki szkielet i odkrył coś, co – jak przypuszczał – było okrągłą sprzączką z brązu, która tkwiła w krtani zmarłego. Kierownik prac archeologicznych, Staffan Mellgren, wszedł ostrożnie do wykopu i sięgnął po mniejszą szczotkę, która leżała wraz z innymi narzędziami we wiaderku. Ostrożnie usunął resztki ziemi i po kilku minutach wydobył całą sprzączkę. Uczestnicy kursu stali zgromadzeni nad wykopem i przyglądali się zafascynowani, jak dobrze zachowana sprzączka kawałek po kawałku ukazuje się ich oczom. Udzielił się im entuzjazm kierownika kursu.

– Coś fantastycznego! – zawołał. – W całości zachowana, nietknięta szpilka. A czy widzicie to zdobienie?

Mellgren sięgnął po nieco mniejszy pędzelek i lekkimi pociągnięciami usunął resztki ziemi. Drewnianym trzonkiem wskazał na górną część sprzączki.

– To, co tu widzicie, pozwalało utrzymywać wewnętrzny gorset na miejscu, tę cieńszą część ubrania, którą nosił najbliżej ciała. Jeżeli będziemy mieć szczęście, to znajdziemy również trochę większą sprzączkę, którą powinien mieć na ramieniu. Musimy tylko kontynuować prace.

Kiwnął zachęcająco głową do Stevena, który wyglądał na dumnego i zadowolonego.

– Weź to ostrożnie i uważaj, żebyś nie stał zbyt blisko szkieletu. Może tego tu być więcej.

Reszta grupy ze wzmożoną energią powróciła do pracy. Myśl o rychłym odkryciu czegoś godnego uwagi dodawała im sił. Martina kopała dalej. Po chwili nadeszła pora opróżnienia wiadra. Podeszła do jednego z dużych drewnianych sit, które stały zamontowane na obrzeżach terenu wykopalisk. Ostrożnie wysypała zawartość wiadra na sito, które składało się z kwadratowej drewnianej skrzyni i drobnej siatki metalowej na spodzie. Spoczywało na stalowej żerdzi, która umożliwiała przetaczanie skrzyni tam i w powrotem. Złapała za oba drewniane uchwyty z każdej strony i mocnymi ruchami potrząsała skrzynią, by usunąć ziemię i piasek. Była to ciężka praca, więc już po kilku minutach się spociła. Po usunięciu największego brudu zaczęła wnikliwie oglądać pozostałe resztki, by nie pominąć niczego wartościowego. Najpierw odkryła jedną kość zwierzęcą, a potem jeszcze następną. Był tam jakiś mały metalowy przedmiot, prawdopodobnie gwóźdź.

Niczego nie można było wyrzucić, wszystkim trzeba się było dokładnie zająć i wszystko udokumentować, ponieważ nikt inny już po nich nie będzie kopał. Po przekopaniu

jakiegoś obszaru jest on już zniszczony na wieki i dlatego na archeologach spoczywa wielka odpowiedzialność za ocalenie wszystkiego, co może informować o tym, jak ludzie żyli w danym miejscu.

Martina musiała zrobić sobie kilkuminutową przerwę. Chciało jej się pić, więc sięgnęła po plecak, w którym miała butelkę wody. Usiadła na drewnianej skrzyni odwróconej do góry dnem, rozmasowała sobie ramiona, jak tylko mogła najlepiej i odpoczywając, przyglądała się innym. Koledzy z kursu pracowali w skupieniu, klęcząc, siedząc w kucki albo nawet leżąc na brzuchu wzdłuż brzegu wykopu, niestrudzenie prowadząc swe poszukiwania w ciemnej ziemi.

Poczuła na sobie spojrzenie Marka, ale nie dała tego po sobie poznać. Swe uczucia ulokowała gdzie indziej, więc nie chciała robić mu nadziei. Byli dobrymi przyjaciółmi, co jej w zupełności wystarczało.

Jonas, sympatyczny Szwed ze Skanii, który nosił kolczyk w uchu oraz piracki szalik na głowie, zauważył, jak się masuje.

– Bolać cię? Mam ci je rozmasować?

– A poproszę – powiedziała Martina swym nie najlepszym szwedzkim. Niewiele potrafiła powiedzieć w osobliwym języku ojczystym swojej nieżyjącej matki, więc chciała sobie poćwiczyć, mimo iż wszyscy dookoła biegle posługiwali się językiem angielskim.

Jonas był jednym z jej najlepszych przyjaciół w grupie i dobrze im było ze sobą. Doceniała jego propozycję, mimo iż domyślała się, że nie chodzi mu tylko o zwykłą troskę o jej zdrętwiałe ramiona. Zainteresowanie, jakim darzyli ją niektórzy mężczyźni w grupie, było wprawdzie miłą rzeczą, ale właściwie nie miało ono dla niej znaczenia.

Środa, 30 czerwca

Jechał swoim czerwonym pickupem po żwirowej drodze, aż kurz się unosił. Był wczesny ranek, pierwsze promienie słońca wschodziły nad horyzontem. Cała okolica spała jeszcze, nawet krowy, które z zamkniętymi oczami leżały blisko siebie na mijanych pastwiskach. Jedyłą oznaką życia były kicające tu i ówdzie po polu króliki. Palił papierosa i słuchał nocnej audycji radiowej. Dawno już nie czuł się tak zadowolony.

Żwirowa dróżka była wąska, nie mógł nią przejechać więcej niż jeden samochód na raz. Co pewien czas rozszerzała się, tak aby można było się wyminąć, a miejsca mijanek wskazywały niebieskie znaki drogowe z namalowaną białą literą M. Choć właściwie były one zupełnie niepotrzebne, bo tutaj nigdy nie mijaly się żadne samochody. Jego gospodarstwo leżało na końcu drogi, dalej nie można było już nigdzie jechać. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek ktoś ich odwiedził. W dzieciństwie nie zastanawiał się nad tym, bo myślał, że wszyscy żyją mniej więcej podobnie jak oni. Taka była rzeczywistość, którą znał i w której żył.

Za każdym razem, gdy za ostatnim zakrętem ukazywał się jego rodzinny dom, jak na zamówienie ogarniał go paniczny strach sprzed lat: odczuwał ucisk w klatce piersiowej, naprężyły się mięśnie i trudniej mu było oddychać. Objawy te dość szybko jednak ustępowały. Dziwiło go, dlaczego nadal tak się dzieje. Wyglądało, że po tylu latach jego ciało wciąż jeszcze reagowało samoistnie, na co on nie miał żadnego wpływu. Tak jak wtedy, gdy doznawał erekcji, nie wiedząc dlaczego.

W gospodarstwie znajdowały się drewniane budynki, pierwotnie dość okazałe i pomalowane na żółto. Teraz jednak farba odpadała całymi płatami. Z jednej strony stała nadszarpnięta zębem czasu obora, a z drugiej nieco mniejsza stodoła. Niewielki stos nawozu z tyłu przypominał o tych czasach, kiedy mieli na gospodarstwie również zwierzęta. Jednak teraz pastwiska dookoła były puste, a ostatnie zwierzęta zostały sprzedane rok temu po śmierci rodziców.

Zaparkował za stodołą, choć był to właściwie zupełnie niepotrzebny środek ostrożności, ale pozostał mu ten stary nawyk. Otworzył bagażnik, wyjął worek i szybkim krokiem przemierzył podwórze. Drzwi obory skrzypiały, a powietrze w środku było zatęchłe.

Z sufitu zwisały gęste pajęczyny i paski lepu na muchy, całe nakrapiane czarnymi plamkami martwych od dawna owadów.

Stara zamrażarka stała wciąż na swoim dawnym miejscu, mimo iż od dawna nie była używana. Kilka dni wcześniej wsadził wtyczkę do kontaktu, by się upewnić, czy nadal działa.

Kiedy podniósł pokrywę, uderzył go chłód. Worek zmieścił się bez problemu, szybko zamknął więc pokrywę i starannie umył urządzenie z zewnątrz mydłem i wilgotną szmatką. Tak czysta jak teraz zamrażarka nie była chyba nigdy przedtem. Następnie wziął tobolek z odzieżą oraz szmatkę i włożył je do foliowej torby.

Z tyłu wykopał głęboki dół i wrzucił do niego torbę. Starannie zasypał dół i ułożył na wierzchu trochę słomy i gałązek. Nic na powierzchni nie zdradzało tej kryjówki.

Pozostał jeszcze samochód. Przyniósł wąż ogrodniczy i godzinę zajęło mu czyszczenie pojazdu zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Na koniec zdemontował fałszywe tablice rejestracyjne i przymocował prawdziwe. Nikt nie mógłby mu zarzucić, że jest niedokładny.

Następnie wszedł do środka budynku i przyrządził sobie śniadanie.

Nad łąkami, które wciąż jeszcze były wilgotne po nocy, unosiła się mgła przesycona poranną rosą, kołysząc się powoli w powietrzu pośród źdźbeł zbóż i trawy. Musnęła lekko kępki sitowia, w którym para łabędzi starannie czyściła swe białe upierzenie. Kilka rybitw wydierało się nad zatoką, a płaskodenne łódki spokojnie pluskały przy swoich bojach kawałek od brzegu. Ciemnoszare szopy rybackie na plaży nie były już używane.

Był to niezwykle piękny poranek. Jeden z tych letnich poranków, do których można potem tak chętnie powracać pamięcią, gdy zima okryje już Gotlandię swym ciemnym, cichym płaszczem.

Dwunastoletnia Agnes obudziła się wcześniej niż zwykle. Nie było jeszcze nawet wpół do dziewiątej, kiedy wyrwała ze snu swoją młodszą siostrę, która – nie do końca jeszcze rozbudzona – dała się namówić na morską kąpiel przed śniadaniem. Babcia dziewczynek siedziała na schodach, popijając kawę i czytając gazetę. Pomachała im ręką, gdy odjeżdżały rowerem z ręcznikami kąpielowymi na bagażniku. Żwirowa droga biegła wzdłuż wybrzeża kilkaset metrów powyżej plaży. Musiały więc przejechać jakiś kilometr, zanim skręciły ku miejscu, gdzie można się kąpać.

Agnes jechała kawałek przed siostrą, mimo iż równie dobrze mogły jechać obok siebie. Na tej drodze praktycznie nie jeździły samochody, nawet w szczytce sezonu letniego. Agnes zawsze chciała być odrobinę z przodu. Zerwała na skraju ścieżki źdźbło trawy issała je teraz, rozkoszując się jego świeżym sokiem.

Żwirowa droga najpierw biegła przez las, a potem rozszerzała się, ukazując daleki horyzont. Pola i pastwiska sąsiadowały ze sobą, schodząc ku wodzie widocznej prawie przez cały czas. Wzdłuż drogi znajdowało się kilka gospodarstw z pasącymi się końmi, krowami i owcami. Minąwszy ostatni biały domek przy drodze, przejechały koło rozległego pastwiska, zanim skręciły na drogę wiodącą w dół, ku plaży. Konie, trzy kuce gotlandzkie oraz jeden koń norweski były o tej porze roku przez całą dobę na zewnątrz, podobnie jak i owce o długim runie. Barany prezentowały się wspaniale ze swoimi charakterystycznie zakręconymi rogami,

które nosiły niczym obwarzanki z każdej strony łąba. Zwierzęta należały do człowieka, który mieszkał w tym gospodarstwie. Niekiedy pozwalał dziewczynkom pojeździć na kucyku. Gospodarz miał córkę o kilka lat starszą od nich. Zabierała je na przejażdżkę, kiedy miała dobry humor. Agnes i Sofie często odwiedzały dziadków ze strony mamy. Większą część swoich letnich wakacji dziewczynki spędzały właśnie tu, nad zatoką Petersviken w południowo-zachodniej Gotlandii, podczas gdy ich rodzice pracowali w Visby.

– Zaczekaj, możemy chyba odwiedzić koniki – zaproponowała Agnes i zatrzymała się przy płocie.

Cmoknęła i zagwizdała, co natychmiast dało zamierzony efekt. Zwierzęta przerwały popas, podniosły łby i potruchtały ku dziewczynkom.

Największy z baranów zaczął beczeć. Potem kolejny, aż w końcu wszystkie dołączyły do tego chóru. Niebawem zwierzęta zaczęły się tłoczyć koło płotu w nadziei, że dostaną jakiś przysmak. Dziewczynki głaskały je, jeśli tylko mogły do nich dosięgnąć. Kiedy były same, nie miały odwagi przechodzić na pastwisko przez płot.

– A gdzie jest Pontus?

Agnes zajrzała ponad płotem, szukając go wzrokiem. Były tylko trzy konie. Brakowało ich ulubionego kuca, wałacha z czarno-białymi łatami.

– Może skrył się między drzewami.

Sofie wskazała w kierunku wąskiego pasma lasu, które niczym ciemnozielony pasek biegło przez środek pastwiska.

Dziewczynki zawołały kucyka i odczekały kilka minut, ale on się nie pojawił.

– Nieważne – powiedziała Sofie. – Jedziemy się kąpać.

– Dziwne, że nie przychodzi. – Agnes zmarszczyła czoło zmartwiona. – Taki z niego pieszczoch. Powiodła spojrzeniem poza pastwisko, koło poidelka, kamieni solnych i rosnących w dole drzew.

– E tam, nie mamy się co o niego martwić. Pewnie śpi. – Sofie szturchnęła siostrę w bok. – Przecież to ty chciałaś się kąpać. No chodź już.

Wsiadła na rower.

– Coś tu nie gra. Pontus powinien przynajmniej się pokazać.

– Pewnie go zamknęli w środku. Może Veronica chce na nim pojeździć.

– A jeżeli leży gdzieś chory i nie może wstać? Może złamał sobie nogę. Musimy to sprawdzić.

– Stuknięta jesteś. Możemy zajrzeć do niego w drodze powrotnej.

Mimo iż kucyki były łagodne i nieduże, Sofie czuła respekt przed nimi i nie bardzo

chciała wchodzić na pastwisko. Koń norweski był duży i silny i nie można było mu ufać, kiedyś już nawet wierzgnął w jej stronę. Owce też były trochę przerażające z tymi swoimi dużymi rogami.

Nie zważając na protesty siostry, Agnes otworzyła bramę i weszła na pastwisko.

– Ja w każdym razie zamierzam sprawdzić, co się dzieje z Pontusem – zawołała ze złością.

Sofie głośno westchnęła, by tym samym okazać swoją niechęć. Bez entuzjazmu zeskoczyła z roweru i podążyła za siostrą.

– To idź pierwsza – mruknęła.

Agnes klasnęła w dłonie i krzyknęła, aby przepłoszyć zwierzęta tłoczące się ze wszystkich stron. Sofie trzymała się blisko starszej siostry i niespokojnie rozglądała się dookoła. Wysoka trawa łaskotała i kłuła je w łydki. Nic nie mówiły. Kucyka nigdzie nie było widać.

Kiedy dotarli do pasma lasu, nie dostrzegłszy niczego nadzwyczajnego, Agnes wdrapała się na drugą stronę płotu, aby mieć lepsze pole widzenia.

– Patrz! – zawołała, wskazując ręką.

Na krawędzi lasu, nieco dalej od nich, zauważyła Pontusa leżącego na boku. Wydawało się, że śpi. Krążyło nad nim stado wron, które przeraźliwie krakały.

– Jest tam. Śpi jak zabity!

Prawie biegnąc, pognęła ku koniowi.

– Aha, czyli nic złego się nie stało. Chyba więc nie musimy już iść aż tak daleko? – protestowała Sofie.

Widoczność była częściowo ograniczona. Koń nie ruszył się z miejsca ani na centymetr.

Słychać było jedynie głośne krakanie wron. Agnes, która podążała jako pierwsza, zdążyła pomyśleć, jak dziwnie dużo wron się tu zebrało. Potem podeszła jeszcze bliżej i zatrzymała się tak raptownie, że jej siostra wpadła na nią.

Pontus leżał na trawie, a jego sierść połyskiwała w słońcu. Taki widok mógłby uspokoić dziewczynki, gdyby nie jedna rzecz. W miejscu, gdzie powinien być łeb, nie było nic. Szyja była przecięta, pozostał tylko wielki, krwawy, mięsisty otwór i pełno much krążących wokół niego niczym czarny, bzyczący obłok.

Agnes usłyszała za sobą głucho uderzenie o ziemię upadającej bezwładnie siostry.

Kiedy komisarz policji kryminalnej Anders Knutas parkował swego rzeźącego mercedesa pod komendą, dostrzegł ze złością, iż pot zdążył się już rozlać dużymi plamami pod jego pachami. W tym jednym z rzadkich dni w roku odczuwało się aż do bólu, że w jego starym samochodzie nie ma klimatyzacji. Była to zarazem woda na młyn jego żony Line, która znowu zyskiwała dobry argument za tym, że muszą kupić nowy samochód.

Zazwyczaj nie przyszłoby mu do głowy, by jechać do pracy samochodem, bo jego dom znajdował się zaraz koło Bramy Południowej, zaledwie kilometr od miejsca pracy. Knutas pracował w policji w Visby od dwudziestu pięciu lat i na palcach jednej ręki można było policzyć te dni, kiedy nie przyszedł do pracy na piechotę. Czasami zatrzymywał się przy pływalni Solberga, wchodził tam i przepływał kilometr albo dwa. Lato nie stanowiło żadnego wyjątku. W sierpniu miał obchodzić swoje pięćdziesiąte urodziny i ostatnimi laty dostrzegł już wyraźną różnicę, od kiedy miał mniej ruchu. Przez całe życie udawało mu się jakoś zachować szczupłą sylwetkę i nie chciał, aby to się zmieniło. Tyle że teraz wymagało to już nieco więcej wysiłku. Pływanie utrzymywało go w formie i pomagało w myśleniu. Im bardziej skomplikowany był przypadek, nad którym przyszło mu pracować, tym częściej pojawiał się na pływalni. Ale od ostatniego razu minęło już dość dużo czasu. Sam nie wiedział, czy to dobrze, czy źle.

Tego ostatniego czerwcowego dnia rodzina zaplanowała wyjazd w góry do domku letniskowego w Lickershamn, aby skosić i podlać trawę. Knutas zamierzał urwać się z pracy trochę wcześniej i odebrać żonę ze szpitala, gdy skończy już swój dyżur na porodówce. Ich prawie trzynastoletnie bliźniaki, Petra i Nils, wbrew wszelkim przypuszczeniom chciały jechać z nimi. Właśnie one, które teraz najczęściej wolały przebywać ze swoimi kumplami.

Kiedy wszedł przez drzwi wejściowe, uderzyło go przyjemne, chłodne powietrze. Na korytarzu wydziału kryminalnego panowała cisza. Zaczął się już sezon urlopowy, co dało się od razu zauważyć.

Najbliższa koleżanka Knutasa, inspektor policji kryminalnej Karin Jacobson, siedziała

w swoim pokoju i rozmawiała przez telefon, kiedy akurat przechodził obok niej. Knutas i Karin współpracowali od piętnastu lat i znali się dobrze na płaszczyźnie zawodowej. Karin była natomiast bardzo powściągliwa w kwestii swojego życia prywatnego.

Miała trzydzieści osiem lat i była singlem, a przynajmniej Knutas nigdy nic nie słyszał o żadnym jej chłopaku. Mieszkała sama z białą papugą kakadu w swoim mieszkaniu w Visby, a w wolnym czasie najczęściej grała w piłkę nożną. Teraz siedziała, wymachując rękoma i mówiąc głośno zgrzyźliwym tonem. Była niewysoką brunetką o ciepłych i bystrych brązowych oczach. Między przednimi zębami widać było sporą szparę. Jej humor bywał dość zmienny i nie za bardzo się starała okiełznać swój ostry temperament. Była dość barwną, energiczną postacią, a jej gwałtowna gestykulacja kontrastowała ostro z niezbyt porywającym otoczeniem, na które składały się opuszczone żaluzje i szare półki na książki.

Knutas usiadł na krześle i zaczął przeglądać pocztę, która uzbierała się w ciągu ostatnich dni. Wśród anonimowych listów urzędowych znalazł kolorową pocztówkę z Grecji. Na obrazku widać było typowe danie greckie: kurczak z różną, sos tzatziki w miseczce oraz butelka wina na okrągłym stoliku. W tle był zachód słońca, odbijający się w jednym z dwóch kieliszków stojących na tymże stoliku pomalowanym na niebiesko.

Treść była następująca: „To coś innego niż cielęcina z grilla w korzennym sosie – nie sądzisz, Knutte? Jestem na Naxos od dwóch tygodni i wypoczywam sobie. Trzymaj się na razie, a potem może będzie okazja, by się spotkać. Martin”.

Knutas nie mógł powstrzymać uśmiechu. To typowe dla Martina Kihlgårda, że wysyła widokówkę z motywem kulinarnym. Śledczy z Centralnego Biura Śledczego był największym żartokiem, z jakim Knutas kiedykolwiek miał do czynienia – cały czas się po prostu obzerał. Współpracowali ze sobą już nieraz przy różnych morderstwach, kiedy Knutas zwracał się o wsparcie do CBS.

Jego rozmyślanie przerwało pukanie do drzwi. Sekundę potem w otwartych drzwiach pojawił się inspektor policji kryminalnej Thomas Wittberg, kolega Knutasa, młodszy od niego o ponad dwadzieścia lat. Konsekwentnie unikał ścięcia swej blond czupryny, do czego ciągle aż do znudzenia namawiali go koledzy z pracy. Biały, obcisły podkoszulek uwypuklał opalony tors Wittberga, który poddawany był regularnie ćwiczeniom na policyjnej siłowni. Wittberg był typem bałamuta i wykorzystywał to w kontaktach z turystkami, jak tylko zaczynał się sezon. Młody inspektor nieraz żartował sobie, iż jego celem jest poznanie kobiet ze wszystkich krain szwedzkich, od Laponii po Skanię. Knutas nie miał cienia wątpliwości, iż jego kolega osiągnie ten cel. Z tego, co mu było wiadomo, żaden związek Wittberga nie przetrwał dłużej niż kilka tygodni. Każdego lata dzwoniły do niego różne kobiety i szukały go

w komendzie, a niektóre zjawiały się bez zapowiedzi, by się z nim spotkać.

Również w pracy jego powodzenie u kobiet przynosiło mu pewne korzyści – nieraz już pomogło ono policji posunąć się do przodu w różnych dochodzeniach. Thomas Wittberg szybko awansował od szeregowego policjanta poprzez wydział do spraw przemocy aż do policji kryminalnej, a od paru ładnych lat był stałym członkiem głównego zespołu Knutasa. Jego ciemnoniebieskie oczy sygnalizowały tym razem, że stało się coś szczególnego.

– Posłuchaj tego – powiedział i rozsiadł się na krześle Knutasa przeznaczonym dla gości, trzymając w ręku jakiś papier. Knutas zdążył tylko zauważyć, że papier był cały zapisany nieczytelnymi notatkami Wittberga.

– Na pastwisku w Petersviken natknięto się na konia z odciętym łbem. Znalazły go dziś rano jakieś dwie dziewczynki.

– A niech to!

– Około dziewiątej, kiedy jechały rowerem na plażę na poranną kąpiel, spostrzegły, że brakuje jednego z koni. Znalazły go leżącego na pastwisku bez łba.

– Czy jesteś pewien, że nie zmyśliły całej tej historii?

– Ich dziadek i właściciel pastwiska poszli z dziewczynkami, aby przekonać się na własne oczy. Niedawno do nas zadzwonili.

– Co to za koń i kto jest jego właścicielem?

– Zwyczajny kucyk. A właścicielem jest rolnik Jörgen Larsson. Ma cztery konie, które rodzina wykorzystuje do przejażdżek, pozostałe trzy są nadal na pastwisku.

– I nie mają żadnych obrażeń?

– Wygląda na to, że nie.

Knutas pokiwał głową.

– Dziwna sprawa.

– Jest jeszcze jedna rzecz – powiedział Wittberg.

– Jaka?

– Nie dość, że odcięto zwierzęciu łeb, to na dodatek gdzieś on przepadł. Rolnik przeszukał cały teren i nic nie znalazł. W każdym razie łba nie ma nigdzie w pobliżu.

– Czy chcesz powiedzieć, że sprawca zabrał koński łeb?

– Tak chyba należałoby przypuszczać.

– Czy sam rozmawiałeś z tym rolnikiem?

– Nie, te informacje przekazał mi dyżurny.

– Mam nadzieję, że rolnik nie przeczesuje teraz całego pastwiska, zacierając ślady – mruknął Knutas i sięgnął po marynarkę. – Pojedźmy tam od razu.

Kilka minut później Knutas, Wittberg i technik z wydziału kryminalnego, Erik Sohlman, siedzieli w radiowozie, jadąc na południe. Sohlman był obok Karin jednym z tych współpracowników, których Knutas cenił najbardziej. Oboje charakteryzowali się temperamentem i interesowali się piłką nożną, ale Sohlman w przeciwieństwie do Karin miał żonę i dwójkę małych dzieci.

– Co za sprawa! – powiedział technik. Odgarnął swe rude, kręcone włosy z czoła. – Ciekaw jestem, czy zrobił to jakiś psychopatyczny dręczyciel zwierząt, czy coś innego się za tym kryje.

W odpowiedzi Knutas mruknął coś pod nosem.

– A pamiętacie tamtego konia ciągnącego dwukólkę, o którym było głośno na zawodach na torze Skrubbs, bo wypadł z trasy? – Wittberg pochylił się do przodu na tylnym siedzeniu. – Woźnica wyleciał ze swojego sulky, a ten gnał dalej. Jeśli się nie mylę, to szukaliśmy go chyba z tydzień.

– Tak, to był ten koń, którego potem znaleziono martwego w lesie w Follingbo – wtrącił Knutas. – Powóz zaklinował się pomiędzy dwoma drzewami i koń padł z pragnienia.

– Cholera, nie był to przyjemny widok – wzdrygnął się Sohlman.

Posuwali się dalej w ciszy drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża, przejeżdżając koło Klintehamn i Fröjel oraz małej osady Sproge z pięknym białym kościołem. Potem skręcili w zwirową drogę, biegnącą na dłuższym odcinku prosto ku morzu, porośniętą z obu stron niskimi sosnami i świerkami. Niebawem dotarli do Petersviken. Gospodarstwa leżały jeden obok drugiego i miały widok na morze. W zagrodach pały się zwierzęta, panował tu spokój i cisza jak każdego dnia.

Koło posiadłości Jörgena Larssona, na zwirowym placu stała zaparkowana ciężarówka oraz jakiś nowszy model opla. Na trawniku było kilka klatek na króliki, do których podbiegł pies rasy beagle, wesoło machając ogonem. Jakiś człowiek w roboczym kombinezonie i czapce wyszedł na ganek, gdy samochód wjeżdżał na podwórko. Zgodnie ze starym zwyczajem mężczyzna zdjął czapkę, witając przybyłą trójkę policjantów.

– Jestem Jörgen Larsson. To może od razu tam pójdziemy. To jakaś paranoja! Aż się wierzyć nie chce, że to prawda, a moja córka nie może dojść do siebie. To był jej ulubiony kucyk, a wiedzą panowie, jak to jest z dziewczynkami w jej wieku i z ich konikami. Pontus był dla tego biednego dzieciaka wszystkim, więc teraz tylko siedzi i cały czas płacze. Nie mogę zrozumieć, jak ktoś może zrobić coś takiego, zupełnie tego nie pojmuję.

Wyrzucał z siebie te słowa bez przerwy, jednym tchnieniem, i żaden z policjantów nie zdążył się nawet odezwać, gdy rolnik ruszył przez podwórze ku wygonowi.

– Tak. Żona i dzieciaki są tak zasmucone, że szkoda gadać. Są po prostu zupełnie zszokowane.

– To zrozumiałe – zgodził się Knutas.

– A Pontus, wie pan, to był wyjątkowy koń – ciągnął dalej Larsson. – Dzieciaki mogły na nim jeździć, ile tylko chciały i robić z nim, co tylko chciały. Ze świeczką szukać drugiego takiego łagodnego kuca. Był tak łagodny, że aż dzieciakom dawał sobie włożyć na głowę, rozumie pan? Lgnęły do niego, kiedy były małe, nieraz wytargały mu grzywę i za ogon ciągnęły, a on nic, wie pan. No, nie był już, rzecz jasna, najmłodszy, bo miał piętnaście lat, tak że prędzej czy później poszedłby pewnie na rzeź, ale z kilka lat jeszcze mógłby pożyć, a nie skończyć w taki sposób. Nigdy nikt sobie nie wyobrażał czegoś takiego.

– Nie – wtrącił Knutas. – A wie pan...?

– Tak, kupiłem tego konia, kiedy urodził się nam pierwszy syn. Uważałem, że będzie fajnie, jak będzie miał na czym jeździć, wie pan. Właściwie mamy tu na wsi tylko zwierzęta. Mamy też sukę, która właśnie się oszczeniła. Ciągłe pojawiają się też nowe kociaki, bo kocica miała już chyba czwarty czy piąty miot. Chyba trzeba będzie coś z nią zrobić. Wie pan, o co mi chodzi. Kupiliśmy również króliki, które też już mają małe. Dzieciaki nie mają się właściwie czym innym zająć, a że ciekawią je zwierzęta, więc chętnie pomagają przy krowach i cielętach i trzeba to oczywiście docenić. Że się interesują.

– Ale... – mruknął Knutas.

Rolnik nie zwrócił na niego uwagi, tylko kontynuował swoje wywody.

– Najstarszy syn ma szesnaście lat i pracuje jak prawdziwy gospodarz, jak wraca ze szkoły. Wie pan, codziennie, jak amen w pacierzu. Mamy czterdzieści krów mlecznych i dwadzieścia pięć cieląt. Mój brat i bratowa też mają gospodarstwo, wspólnie gospodarzymy, oni mieszkają tam po drugiej stronie, gdzie żeście skręcali z drogi. Mają trzech synów, więc pełno ich tam w domu i wszystko robimy razem. Teraz właśnie pojechali na urlop na Majorkę, ale wracają jutro, dlatego nie zadzwoniłem do nich i nie powiadomiłem ich jeszcze o tym strasznym zdarzeniu. Niepotrzebnie by się martwili. Można z tym jeszcze poczekać. Ale tego nie da się znieść, wie pan, nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem.

Knutas patrzył na Larssona, któremu ledwo udawało się zaczerpnąć powietrza podczas tego słowotoku. Podeszli do bramy i Larsson wskazał swoim grubym palcem w kierunku zagajnika.

– Koń bez łba leży tam. Tak, to jest najokropniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Ten diabeł musiał mieć problem jak cholera, żeby odciąć łeb. Nie wiem, czy go odpiłował, czy odrąbał, czy też jakoś inaczej to zrobił.

– A gdzie jest reszta koni!?! – wrzasnął Knutas, żeby przerwać wreszcie ten niekontrolowany monolog rolnika.

– A zapędziliśmy je do stajni. Może im też chciał zrobić krzywdę, nie wiadomo. Chociaż nie widać było żadnych obrażeń. Owce zostawiliśmy na dworze – powiedział Larsson, jakby usprawiedliwiając się. – Im chyba nic nie będzie.

Knutas zrezygnował z próby zadania rolnikowi jakichś pytań i milczał. Trzeba było z tym poczekać na później.

Jörgen Larsson wyciągnął skobel i zdecydowanymi ruchami odpędził owce, które tłoczyły się wokół jego nóg.

Próbowali dotrzymać mu tempa, kiedy sążnistymi krokami przemierzał pastwisko.

W miejscu, gdzie leżał koń, stado wron krakało nad padliną.

W samym środku tego sielskiego obrazka przedstawiającego wybieg, porośnięte zielenią zbocze i mieniącą się w promieniach letniego słońca zatokę morską leżał muskularny kucyk, z dużym brzuchem i puszystym ogonem, lecz na końcu jego szyi widać było jedną wielką, krwawą ranę.

– Co tu się, do jasnej cholery, stało!?! – wykrzyknął Knutas.

Po raz pierwszy Larssonowi zabrakło słów.

Dla reportera telewizyjnego Johana Berga ów środowy poranek nie zapowiadał się zbyt dobrze, jeśli chodzi o nowe wydarzenia. Nie działo się absolutnie nic. Siedział przy zakurzonego biurku w redakcji małego regionalnego oddziału Telewizji Szwedzkiej w centrum Visby. Przewertował poranną prasę, posłuchał wiadomości w lokalnym radiu i nie mógł się nadziwić, w jaki sposób redakcyjom udawało się zapełnić gazety i audycje radiowe wiadomościami, mimo iż nie zawierały one ani krzty nowych informacji. Zadzwoił do gotlandzkiej fotografki, którą była Pia Lilja. Współpracował z nią latem, a teraz powiedział jej, że może przyjść później. Nie było sensu, aby oboje siedzieli tu beczynnie.

Bez entuzjazmu szperał wśród pism gminnych oraz protokołów sprzed kilku dni, mając niewielką nadzieję na to, że znajdzie tam cokolwiek. Zadanie, jakie otrzymał tego dnia od redaktora Maxa Grenforsa z centrali w Sztokholmie, było absolutnie niewykonalne: miał znaleźć jakiegoś newsa i napisać reportaż do wieczornej audycji. Najlepiej taki, który będziemy mogli zaprezentować na samym początku. Cienko u nas, więc potrzebujemy jakiegoś materiału od ciebie. Stara śpiewka!

Johan pracował jako reporter wydarzeń kryminalnych w lokalnym oddziale Telewizji Szwedzkiej od dwunastu lat. Wiadomości regionalne obejmowały Sztokholm, Uppsalę i Gotlandię. Oprócz pracy w charakterze reportera kryminalnego miał zbierać również wszelkie informacje o wydarzeniach na Gotlandii, począwszy od informacji o krowie, która zbiegła z pastwiska, aż po pożar w szkole i brak miejsc na oddziale ratunkowym w miejscowym szpitalu. Wcześniej śledzono te wydarzenia bezpośrednio ze Sztokholmu, ale Telewizja Szwedzka postanowiła tytułem próby przywrócić na okres lata redakcję lokalną na Gotlandii i dlatego Johan dostał tu pracę w charakterze reportera. Od dwóch miesięcy mieszkał więc na wyspie i nie zamieniłby tego miejsca na żadne inne. Przywiodła go tu miłość i mimo że trzeba było jeszcze pokonać cały szereg przeszkód, był już prawie zdecydowany, że on i Emma Winarve, nauczycielka z Roma, będą razem. Poznali się i pokochali, gdy on śledził sprawę pewnego morderstwa. Emma była mężatką i matką dwójki dzieci, kiedy zaczął się ich

romans. Teraz była już świeżo upieczoną rozwódką i lada dzień spodziewała się narodzin dziecka. Ich wspólnego dziecka.

Do Johana nadal nie docierało, że będzie ojcem. To było coś zbyt wielkiego, zbyt niesamowitego. Ku jego wielkiemu rozczarowaniu Emma chciała jeszcze jakiś czas poczekać, zanim razem zamieszkają. Jak to określiła, musi uzbroić się w cierpliwość. Jej dzieci z poprzedniego związku, Sara i Filip, były jeszcze zbyt małe. Trzeba było dać im możliwość oswojenia się z nową sytuacją, przyzwyczajenia do tego, iż będą teraz mieszkać połowę czasu z tatą, a połowę z mamą. Również do tego, że będą mieć rodzeństwo. Emma chciała robić wszystko po kolei, więc Johan musiał być cierpliwy. Tak jak już nieraz wcześniej. Czasami miał wrażenie, że cały ich dotychczasowy związek polegał na czekaniu na nią.

Był wewnętrznie przekonany, że są na właściwej drodze, że będą wreszcie parą. Cały czas tak uważał, nawet jeszcze teraz. Emma zdecydowała się urodzić jego dziecko i to mu wystarczyło. Na razie.

Jeśli chodziło o jego pracę zawodową na Gotlandii, to jej charakter w dużym stopniu bardzo mu odpowiadał. Był niezależny, współpraca z Pią układała się dobrze i fajnie było nie mieć nad sobą zrzędliviego redaktora, choć presja centrali była czasem tak samo odczuwalna mimo dużej dzielącej ich od siebie odległości. Brakowało mu oczywiście trudnych przypadków kryminalnych, z jakimi miał do czynienia, pracując w Sztokholmie, mieszkania i kumpli, ale w jego życiu pojawiły się nowe okoliczności, które sprawiły, że to właśnie na Gotlandii przebywał teraz najchętniej.

Praca w małym zespole lokalnej redakcji również miała sporo zalet. Musiał przejawiać wiele własnej inicjatywy, a możliwość organizowania dnia pracy zgodnie ze swoim upodobaniem ogromnie go satysfakcjonowała. On i Pia codziennie starali się przygotować nowy materiał i jakoś to szło. Radzili sobie całkiem dobrze, pracując tylko we dwoje. A dopóki przesyłali reportaże nadające się do wykorzystania i jako tako ważne, redakcja była zadowolona.

Obecnie przygotowywali cykl artykułów na temat wysokich cen domów. Johana zainteresował fakt, że ludzie płacili po kilka milionów za mały domek usytuowany w obrębie murów Visby. Kwota, jaką trzeba było wydać na małe mieszkanie, była natomiast porównywalna z tymi, które widniały na tablicach z ogłoszeniami o nieruchomościach w najbardziej ekskluzywnych dzielnicach Sztokholmu. Jakkolwiek urocze by było średniowieczne Visby, to różniło się ono jednak znacznie od stolicy pod względem usług, możliwości pracy i rozrywki. Ponadto do Visby można dotrzeć tylko statkiem albo samolotem. Johan zastanawiał się, kto tworzy grupę tych dwóch tysięcy mieszkańców

ściśłego centrum miasta, których stać było na takie niepojęte, przynajmniej jak na warunki życia na Gotlandii, kwoty. Przy swoich zwykłych zarobkach miejscowi mogli bowiem tylko pomarzyć o zamieszkaniu w centrum, jeśli czegoś nie odziedziczyli.

Johan przebywał na Gotlandii od pierwszego maja i jak do tej pory nie odczuwał braku pomysłów na reportaż. Sporym problemem na wyspie było bezrobocie. W minionych latach wielu ważniejszych pracodawców zredukowało liczbę miejsc pracy lub w ogóle je zlikwidowało, przenosząc swoją działalność poza Gotlandię. Ostatnim ciosem była decyzja rządu o likwidacji pułku P18 w ramach zakrojonej na szeroką skalę fali oszczędności w wydatkach na obronę kraju.

Obecnie jednak od kilku już dni nie byli w stanie zebrać żadnego materiału i Johan coraz wyraźniej odczuwał presję ze strony Grenforsa ze Sztokholmu.

Kiedy zadzwonił telefon, odebrał go bez większego entuzjazmu.

W słuchawce odezwał się podekscytowany głos jego koleżanki fotografa. Słysząc było, że dzwoni, prowadząc jednocześnie samochód.

– Wiesz, co się stało? Na jednym z pastwisk znaleziono konia z odciętym łbem!

Pia zazwyczaj pomijała zwroty powitalne, które uważała za zbędne, zwłaszcza kiedy się spieszyła i miała coś ważnego do powiedzenia.

– Kiedy?

– Dziś rano. Jakies dwie dziewczynki znalazły go na pastwisku koło Petersviken. Czy wiesz, gdzie to jest?

– Pojęcia nie mam.

– To w południowej części wyspy, na zachodnim wybrzeżu, jakies sześćdziesiąt kilometrów od miasta.

– A skąd to wiesz?

– Mam koleżankę, która tam mieszka. Zadzwoniła do mnie.

– Kto jest właścicielem tego konia?

– Zwykła chłopska rodzina.

– No to chyba najlepiej pojedźmy tam od razu. Jak szybko możesz się u mnie pojawić?

– Już wyjechałam z domu.

Johan odłożył słuchawkę i natychmiast zadzwonił bezpośrednio do komisarza Knutasa. Nie doczekał się jednak odpowiedzi, a na centrali powiedziano mu, że całe kierownictwo oddziału dochodzeniowego jest zajęte przed południem.

Koń z odciętym łbem. Niezbyt sensownie to brzmiało, ale właśnie czegoś takiego potrzebował. Zgarnął notatnik i długopis, po czym zamknął drzwi do redakcji. Postanowił

zaczekać z telefonem do Grenforsa w Sztokholmie, gdyż nie miał nic przeciwko temu, aby potrzymać redaktora trochę w niepewności.

Siedział w kuchni i zastanawiał się, jak bardzo może się zmienić pokój w zależności od tego, kto się w nim znajdował i co się w nim działo. Melancholia, która niegdyś emanowała ze ścian oraz poczucie winy i wstydu, które ogarniały jego myśli, zniknęły. Kiedyś ściany zapadały się i zagrażały jego bezpieczeństwu, gdy siedział na swoim ciągle tym samym miejscu. Spożywanie stojących na stole potraw nie sprawiało mu żadnej przyjemności, a jedzenie pęczniało w ustach do tego stopnia, że miał trudności z przełykaniem go. Niczym talerz strachu ukrytego pod ciemnym sosem.

Teraz, kiedy mógł robić, co chce, było inaczej. Przygotował sobie solidne śniadanie, gdyż poranny wysiłek wymagał sporego zastrzyku energii.

Na talerzu stojącym przed nim na stole leżały trzy grube kromki usmażonego, ociekającego tłuszczem białego chleba z plasterkami parówki i jajkiem. Polał je sporą ilością keczupu, posolił i popieprzył. Kocur zamiauczał łakomie, ocierając się o jego nogi. Rzucił mu plasterki parówki.

Zegar na ścianie wskazywał za kwadrans dziesiątą. Przez zakurzoną szybę okienną widział, jak na zewnątrz promienie słońca rozświetlają podwórko. Jadł z apetytem śniadanie, wlewając w siebie zimne mleko. Kiedy skończył, odsunął talerz i głośno beknął. Wyciągnął się na krześle i zażył tabaki.

Był zmęczony, miał obolałe ramiona. To było trudniejsze, niż mu się wydawało. Przez chwilę już nawet myślał, że nie da rady. W końcu jednak mimo wszystko udało się. Dokończenie roboty zajęło mu sporo czasu, lecz teraz uporał się z nią już definitywnie.

Wstał, odkręcił kran, po czym starannie spłukał resztki jedzenia z talerza i umył go.

Nagle poczuł się tak bardzo zmęczony, że musiał się położyć i trochę przespać. Wypuścił na dwór kota, który bezszelestnie ruszył przed siebie. Wszedł po trzeszczących schodach na piętro, do pokoju znajdującego się na samym końcu przy frontowej ścianie domu. Nigdy go nie odremontowano po pożarze. Na ścianach nadal było widać okopcone plamy, nawet spalone łóżko stało jeszcze w kącie niczym wielki, zwęglony stos. Wydawało

mu się, że wciąż jeszcze czuje lekki swąd spalonych przedmiotów. Być może było to tylko takie wrażenie. Na podłodze leżał stary materac, na którym się wyciągnął. Czuł się dobrze w tym pokoju, tu ogarniał go spokój, jakiego nigdzie indziej nie doświadczał. Zasnął na dobre.

Knutas nigdy nie przestawał się dziwić temu, jak szybko rozchodzą się po okolicy nowe wieści. Dziennikarze, zarówno ci z lokalnego radia, telewizji, jak i z gazet, zgłaszali się do niego, by dowiedzieć się, co się stało. Wiadomość o odcięciu koniowi łba wstrząsnęła mieszkańcami Gotlandii. Z własnego doświadczenia wiedział, że nic tak nie porusza opinii publicznej jak okrucieństwo wobec zwierząt.

Ledwie o tym pomyślał, a już zjawilo się Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt. Z pewnością też niebawem zaczną wydzwaniać do niego wiele innych organizacji działających w obronie praw zwierząt. Rzecznik prasowy policji, Lars Norrby, wyjechał na urlop, tak więc Knutas sam musiał zająć się dziennikarzami. Sformułował krótką notatkę prasową i na centrali zostawił wiadomość, że będzie nieuchwytny przez kilka najbliższych godzin.

Powróciwszy do wydziału po porannej wyprawie do Petersviken, kupił sobie kanapkę w automacie stojącym w pokoju, w którym podczas przerwy pito kawę. O lunchu nie miał nawet co marzyć. Knutas zadzwonił do swoich najbliższych współpracowników, wzywając ich na odprawę o godzinie pierwszej. Również Sohlman miał powrócić wtedy z miejsca przestępstwa, gdyż obecnie w policji pracowało dwóch techników kryminalistycznych.

Zebrawali się w jasnym, przestronnym pokoju, pośrodku którego stał duży stół. Po niedawnym remoncie komendy wyposażono ją w nowe meble w prostym skandynawskim stylu. Knutas wolał jednak ich stare, zużyte już meble sosnowe. Widok z okna pozostał w każdym razie taki sam. Przez szerokie okna widać było parking przy galerii Coop Forum, mury obronne i morze.

– Dopuszczono się czegoś naprawdę obrzydliwego – zaczął Knutas i opowiedział o tym, co zobaczyli w Petersviken. – Zarówno samo pastwisko, jak i otaczający je teren zostały zabezpieczone blokadą. Obok pastwiska biegnie droga, na której szukamy śladów ewentualnego pojazdu. Jeżeli osoba czy też osoby, które odcięły zwierzęciu łeb, zabrały go potem ze sobą, to musiały mieć, logicznie rzecz biorąc, samochód. Przesłuchujemy sąsiadów i

ludzi z okolicy, tak więc zobaczymy, czego dowiemy się w ciągu dnia.

– W jaki sposób zabito konia? – zapytała Karin.

– Więcej informacji na ten temat przekaze Erik.

Knutas zwrócił się do technika.

– Zobaczymy kilka zdjęć konia. Uważaj, Karin – powiedział Sohlman – mogą one być dość drastyczne. Zwrócił się akurat do Karin nie dlatego, że najgorzej z nich wszystkich znosiła widok krwi, lecz dlatego, iż była zagorzałą miłośniczką zwierząt.

Wyświetlił na projektorze zdjęcia sponiewieranego tułowia zwierzęcia.

– Jak widzicie, łeb został oderwany, a raczej odcięty i odrąbany. Weterynarz Åke Tornsjö zdążył już obejrzeć konia, dokładniejsze badania przeprowadzi później, ale wypowiedział się już na temat tego, jak – jego zdaniem – mogło do tego wszystkiego dojść. Przypuszcza, że sprawca, jeżeli był nim człowiek, najpierw tak mocno uderzył konia w czoło zwykłym młotkiem, młotem kowalskim albo siekierą, że ten padł nieprzytomny na ziemię. Potem jakimś większym nożem, takim, jakiego używają rzeźnicy, przeciął mu szyję i to właśnie wykrwawienie się było bezpośrednią przyczyną śmierci zwierzęcia. Aby oddzielić łeb od kręgów szyjnych, uszkodził je. Znaleźliśmy resztki kości, zmiżdżone – jak sądzę – siekierą. Ślady na ziemi wskazują, że koń żył jeszcze jakiś czas po pierwszym uderzeniu. Leżał tutaj i wierzgał nogami, walcząc ze śmiercią, bo trawa jest przygnieciona, a ziemia rozkopana. Szyja jest cała poszarpana i umorusana wokół, co wskazuje, że zabrało to sprawcy trochę czasu. Miał on dość dobre pojęcie o tym, co chciał zrobić, ale brakuje mu dokładniejszej wiedzy o anatomii konia.

– O, jak dobrze. Możemy zatem wykluczyć wszystkich weterynarzy – mruknął Wittberg.

– Nie pasuje mi tu tylko jedna rzecz – Sohlman ciągnął niewzruszenie. – Skoro została przecięta tętnica szyjna, to koń powinien stracić cholernie dużo krwi. I widać, co prawda, na zdjęciach, że ściekała mu ona po karku i tułowiu, ale na ziemi jest jej bardzo mało. Prawie wcale. Nawet gdyby wsiąkła częściowo w ziemię, powinno być jej więcej.

Reszta zebranych spojrzała pytająco na technika.

– W jaki sposób można to wytłumaczyć? – zapytała Karin.

– Jedynym wyjaśnieniem, jakie przychodzi mi do głowy, jest to, że sprawca zebrał krew.

– Tylko po co miałby to robić? – zaoponował Wittberg.

– Pojęcia nie mam. – Sohlman podrapał się po brodzie. – Właściciel widział swojego konia po raz ostatni wczoraj wieczorem około jedenastej. Weterynarz twierdzi, że koń nie żył

już od pięciu lub sześciu godzin, gdy znalazły go te dziewczynki. Tak więc czynu tego musiano dokonać około północy albo też kilka godzin potem. Jeśli zaś chodzi o samo pastwisko i teren wokół niego, to są one przeszukiwane z pomocą psów. Na razie jednak nie udało się odnaleźć łba. Będziemy kontynuować poszukiwania w dalszej okolicy.

Karin się skrzywiła.

– To odrażające! Sprawca zabrał zatem ze sobą i głowę, i krew – powiedziała. – Co wiemy o koniu?

Knutas rzucił okiem na swoje papiery.

– Piętnastoletni kuc, wykastrowany, a więc wałach. Układny, spokojny koń, dotychczas nie notowany przez policję.

Wittberg uśmiechnął się szyderczo. Dla Karin nie było to wcale tak zabawne.

– A właściciel?

– Nazywa się Jörgen Larsson, żonaty, trójka dzieci, przejął gospodarstwo wspólnie z bratem dziesięć lat temu. Jest to zatem ich dom rodzinny. Jedno skrzydło domu zajmują ich rodzice. Gospodarstwo jest dość duże, mają czterdzieści krów i sporo cieląt. Nie wydaje się, aby coś dziwnego działo się w tej rodzinie. Przez całe lata zajmowali się spokojnie swoim gospodarstwem. Ani Jörgen Larsson, ani nikt z jego rodziny nie figuruje w rejestrze podejrzanych.

– Weterynarz sądzi, że czynu dokonała osoba, która dorastała na gospodarstwie lub też miała wcześniej styczność z rzeźnictwem czy ubojem zwierząt – powiedział Sohlman. – Uważa, że takiego zabójstwa nie da się łatwo dokonać. Wymaga ono zarówno dokładnego zaplanowania, jak też odwagi i determinacji, a przy tym jeszcze siły fizycznej. Trzeba porządnie przywalić, żeby pozbawić konia przytomności, a także wiedzieć, gdzie należy uderzyć. Mózg znajduje się dość wysoko w górnej części głowy. Według Åke Tornsjö sprawca musiał już wcześniej wykonywać podobne czynności.

Wszyscy zebrani przy stole przysłuchiwali się z uwagą.

– Czy ten rolnik albo ktoś z jego rodziny otrzymywał kiedyś jakieś pogróżki? – zapytał Wittberg, kiedy Sohlman zamilkł.

– Z tego, co wiemy, to nie.

– Można się zatem zastanowić, czy czyn ten był wymierzony przeciwko samemu rolnikowi, czy też sprawcą jest jakiś wariat, który po prostu miał ochotę rzucić się na pierwsze lepsze zwierzę – powiedziała Karin.

– Czy może to być tylko jakiś zwykły chuligański wybryk? – zapytał Wittberg.

– Z nożem rzeźnickim, siekierą i pojazdem, który posłużył do transportu łba? –

powiedziała Karin. – Nigdy w życiu. Zastanawiam się natomiast nad tym, którzy ze znanych nam pacjentów zakładu psychiatrycznego przebywają obecnie poza zakładem.

– To akurat już zdążyliśmy sprawdzić – odrzekł Knutas. – Pamiętacie Gustawa Perssona, tego co łąził po pastwiskach i wbijał koniom gwoździe w kopyta? Wbijał je tylko trochę, a kiedy koń postawił nogę, gwoździe wbijał się coraz głębiej. Nie zadowalał się jednym gwoździem, ale wbijał ich cały szereg, tak iż zwierzę w końcu nie było w stanie utrzymać się na nogach. Zwodził policję przez parę ładnych tygodni, zanim wpadł. Zdążył okaleczyć kilkadziesiąt zwierząt. Mamy też Annę z Bingeby. Zabijała wszystkie koty, jakie tylko zobaczyła, i wieszala je na płocie.

– Ale ona jest niewielkiego wzrostu i szczuplutka – wtrąciła Karin. – Nigdy nie dałaby rady zrobić coś takiego, przynajmniej nie sama. Ja w porównaniu z nią jestem słoniem. Ona nie waży chyba więcej niż czterdzieści kilo.

Knutas podniósł brwi, słysząc taką przesadną opinię. Karin sama była drobnej postury i miała zaledwie około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu.

– Nie uważam absolutnie, aby była to jednorazowa sprawka jakiegoś chorego psychicznie człowieka – zaprotestował Wittberg. – Ten czyn jest zbyt wyrafinowany. Aby popełnić takie przestępstwo w samym środku lata, w pobliżu budynków mieszkalnych, kiedy na dworze jest najjaśniej i kręci się mnóstwo ludzi, trzeba to szczegółowo zaplanować, tak jak mówi Sohlman. Nie rozumiem, jak sprawca odważył się tak bardzo zaryzykować, wiedząc, że ktoś może go zauważyć. Droga wiodąca do pastwiska biegnie tuż obok gospodarstw. To prawie tak, jakby chciało się wjechać wprost na ich podwórko. Gdyby ktokolwiek się obudził, mógłby zobaczyć i usłyszeć samochód.

– Oczywiście, ale odkryliśmy, że na pastwisko można też się dostać z innej strony – powiedział Sohlman. Rzucił na ekran fragment mapy tego terenu. – Kiedy dojeżdża się do Petersviken, droga kończy się przecież i rozdziela na dwie inne. Zamiast skrócić w prawo i przejechać obok gospodarstw, można pojechać w lewo. Kawałek dalej zaczyna się droga dla traktorów biegnąca wzdłuż pola. Okala ona cały teren i przebiega koło pastwiska, ale po drugiej jego stronie. Jeżeli sprawca wybrał tę drogę – a jestem przekonany, że tak właśnie postąpił – to nikt z mieszkańców pobliskich gospodarstw nie mógł go dostrzec i spokojnie, bez żadnego ryzyka mógł dostać się na pastwisko, a potem również zbiec. Z okien gospodarstw w Petersviken nie widać bowiem, czy jakiś samochód jedzie tą drogą. Sprawdziliśmy to. W tej chwili badamy tam ślady samochodów, ale nie jest to łatwe, bo ziemia jest bardzo sucha.

– Dobrze – zgodził się Knutas. – Przesłuchujemy sąsiadów i wszystkich, którzy

przebywają w tej okolicy. Mamy więc nadzieję, że w ten sposób uzyskamy jeszcze jakieś informacje. Sprawca z pewnością miał samochód. Inaczej musiałby sam dźwigać siekiere, nóż, a być może i jakieś inne narzędzia, no i koński łeb.

– Prawdopodobnie sam się przy tym dość mocno zakrwawił – dorzucił Sohlman.

– Niewykluczone, że wszedł do wody, aby się umyć – morze jest przecież o rzut kamieniem – wysunęła hipotezę Karin.

– Czy to nie byłoby jednak zbyt nierozważne? – Wittberg spojrzał na nią z powątpiewaniem. – Czy poszedłby się kąpać, ryzykując stuprocentową wpadkę? Nawet jeśli popełnił ten czyn w nocy. Teraz, kiedy letnie noce są takie jasne, ludzie nieraz chodzą się kąpać w nocy. Szczególnie gdy jeszcze jest tak ciepło.

– Z drugiej strony teren ten znajduje się trochę na uboczu – dorzucił Knutas. – W tych gospodarstwach mieszkają chyba nie więcej niż trzy czy cztery rodziny, których członkowie stale się tam kręcą. No i może jeszcze jedna czy dwie osoby z domów, które stoją dalej przy drodze. Nie jest to taki teren, po którym człowiek włóczy się ot tak sobie. No cóż, powinniśmy przyjrzeć się dokładniej rodzinie tego rolnika. Albo to, że zabito konia właśnie Larssonowi, ma jakieś znaczenie, albo stało się tak całkiem przypadkowo. Musimy jednak zbadać wszystkie możliwe hipotezy.

– Myślisz, że winowajcą jest ktoś z rodziny? – zapytała Karin. – Żona mszcząca się na mężu albo odwrotnie?

– Wydaje się to chyba trochę naciągane – odparł Knutas. – Trzeba być poważnie chorym, żeby popełnić takie przestępstwo. Ale wykluczyć tego oczywiście nie możemy. Mieliśmy już wcześniej nauczkę. Musimy raz jeszcze porozmawiać z tym rolnikiem. Jest gadatliwy jak rzadko kto, ale byliśmy tam przecież tylko w przelocie. Myślę, że ktoś z nas powinien tam jeszcze raz pojechać. Te dziewczynki, które znalazły konia, też trzeba jak najszybciej przesłuchać.

– Ja mogę jechać od razu. – Wittberg już się podnosił z krzesła.

– Ja też pojadę – oznajmiła Karin. – Jeśli nie masz dla mnie jakiegoś innego zajęcia.

– Jedźcie – powiedział Knutas. – Ja zostanę tutaj i zajmę się prasą.

Martina Flochten pokręciła się po swoim ciasnym pokoju, a następnie wydobyła kosmetyczkę i ręcznik. Zamierzała wziąć szybki prysznic i przebrać się. Po południu uczestnicy kursu nie musieli prowadzić wykopalisk, ponieważ w Visby gościł akurat amerykański profesor archeologii, który miał wygłosić wykład w tamtejszej szkole wyższej. Pośpiech Maruny wynikał z zupełnie innego powodu, choć pozostali uczestnicy kursu nic o tym nie wiedzieli.

Chcieli wykorzystać okazję. Pałaca tęsknota za nim powodowała, że serce jej kołatało. Wyrzuciła już z pamięci swojego chłopaka w Holandii. Coraz częściej dzwonił do niej na komórkę. Im rzadziej odbierała jego telefony, tym bardziej stawał się uparty. Pewnego wieczora, kiedy zapomniała zabrać ze sobą telefon i zostawiła go w pokoju, dzwonił do niej dwadzieścia osiem razy. To było chore i jej zdaniem stawiało w niezręcznej sytuacji współlokatorkę Ewę, która była tego wieczora w domu i leżąc w łóżku, próbowała czytać. Martina zamierzała zakończyć ten związek po powrocie do domu. Jakoś nie mogła się przemóc, aby zrobić to przez telefon. To byłoby zbyt żałosne.

Jej ojciec również do niej dzwonił. Miał przyjechać na Gotlandię za tydzień. Prowadził jakieś interesy w Visby i zamierzał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Być może martwił się też o nią. Martina była bardzo związana ze swoim ojcem, mimo iż uważała, że bywał chyba nadopiekuńczy. Dała mu jednak niejednokrotnie powód do obaw. Martina była ambitną i pilną uczennicą, na studiach też radziła sobie doskonale, mimo że w wolnym czasie nie unikała rozrywki, a w kręgach studenckich na uniwersytecie w Rotterdamie co chwila odbywało się jakieś party. Próbowała też narkotyków, choć tylko tych lżejszych.

Zainteresowanie Martiny archeologią zaczęło się na dobre, kiedy obejrzała jakiś program telewizyjny o wykopaliskach w Peru. Zaimponowała jej cierpliwa, systematyczna praca archeologów oraz to wszystko, co mogła opowiedzieć im ziemia.

Kiedy zaczęła studiować ten kierunek, szybko skupiła swoją uwagę na epoce wikingów. O ich życiu czytała wszystko, na co się tylko natknęła. Przemawiała do niej ich

religia z wieloma bogami zwanymi Asami. Fascynowały ją nie tylko ich okręty i łupieżcze wyprawy po całym świecie, ale również rozległa działalność handlowa, jaką prowadzili choćby na Gotlandii.

Kurs zachęcił Marunę do tego tematu jeszcze bardziej i już teraz zdecydowała się pogłębiać dalej swoją wiedzę o tej epoce po ukończeniu studiów archeologicznych. W tym celu chciała podjąć studia w szkole wyższej w Visby.

Kiedy była wreszcie gotowa, inni zdążyli już wyjść do autobusu, którym mieli pojechać na wykład. Powiedziała im, że źle się czuje i powinna raczej zostać w domu. Ewa wyglądała na rozczarowaną, ponieważ planowały wyskoczyć po wykładzie na piwo, korzystając z okazji, że są akurat w mieście.

Kiedy autobus odjechał, wróciła szybko do pokoju i wzięła torebkę, przeglądając się po raz ostatni w lustrze. Dobrze wyglądała. Gotlandzkie słońce nadało skórze piękny kolor, a długie włosy były jeszcze jaśniejsze niż zwykle.

On chciał, aby umówili się w porcie. Nie mogła się już doczekać spotkania, więc szybkimi krokami przemierzyła drewniany most za schroniskiem młodzieżowym, który prowadził na teren portu.

Petersviken leżało na południowo-zachodnim wybrzeżu i było oddalone o spory kawał drogi od Visby. Johan i Pia szybko wyjechali z miasta. Pia prowadziła i skinęła głową w stronę tablicy z napisem Högklint, kiedy mijali zjazd w tym kierunku.

– To jest coś, czym możemy się jeszcze zająć na tym przepelnionym już rynku nieruchomości. Czasem wydaje mi się, że powraca po prostu boom mieszkaniowy z lat osiemdziesiątych. Czy słyszałeś o tym luksusowym hotelu, który mają tam budować?

– Oczywiście, pisaliśmy o tym nieraz. Czekają chyba już tylko na decyzję władz gminy, która ma zapisać jesienią, aby potem od razu zacząć prace, prawda?

– Tak jakby. Budowa rozpocznie się chyba przed końcem roku. Ma tu powstać wielki kompleks hotelowy ze suitami, apartamentami, luksusową restauracją i klubem nocnym. Pięciogwiazdkowy.

– Można się tylko zastanawiać, czy jest na to rzeczywiście jakieś zapotrzebowanie.

– Oczywiście, że jest. Wśród Szwedów na stałym lądzie aż roi się od piewców romantycznej Gotlandii. Ludzie, którzy spędzali tu urlop za młodu, chcą powrócić na wyspę z rodziną i odkrywać ją ponownie, ale w wygodniejszych już warunkach. A bogatych ludzi jest dużo w tym kraju.

– To zapewni miejscowym pracę i nie tylko, choć mogę sobie wyobrazić, że są też przeciwnicy tej inwestycji. Zdaje się, że Högklint jest chronionym rezerwatem przyrody.

– Mają niczego nie budować tam daleko, na klifie, bo tam naturalnie nie wolno im tego robić. To nieprawdopodobne, ale plany budowlane i tak są zatwierdzane. Najgłośniej protestują oczywiście ci, którzy tam mieszkają. Ostre dyskusje zaczynają się już nawet wtedy, gdy ktoś chce odmalować drzwi. Oprócz nich wśród sprzeciwiających się temu projektowi najwięcej jest chyba ekologów, którzy ostrzegają przed wymieraniem zwierząt i roślin. Na wiosnę w górach koło Högklint wylęga się wiele różnych gatunków ptaków. Jest to również jeden z najpiękniejszych punktów widokowych na wyspie. Wydaje mi się też, że wielu ludzi uważa, iż ta część Visby jest już wystarczająco wyeksploatowana przez ośrodek w Kneippby i

wszystkie pozostałe.

– A czy właściciel nie jest obcokrajowcem? – zapytał Johan.

– Zdaje mi się, że będzie kilku właścicieli. Kilku zagranicznych inwestorów i gmina.

– Musimy to później dokładniej sprawdzić, jak będziemy mieli czas. Ta sprawa bez wątplenia zasługuje na dłuższy reportaż.

Trzy kwadransy później przybyli do Petersviken.

Pastwisko było ogrodzone taśmą policyjną, a pilnowało go kilku funkcjonariuszy stojących u bramy. Żaden nie chciał odpowiadać na pytania Johana w sprawie konia bez łąba. Odsyłali go do Knutasa.

Pia w tym czasie robiła już zdjęcia, co Johana wcale nie zdziwiło. Miała temperament ta dziewczyna, oj miała! Polubił ją od razu, kiedy tylko spotkali się pierwszego dnia w redakcji. Wyglądała na twardą sztukę z tymi swoimi krótkimi, czarnymi, rozwichrzonymi włosami, kolczykiem w nosie i ostrym makijażem wokół ciemnobrązowych oczu. Przywitała się bez ceregieli i od razu zaprezentowała kilka swoich własnych pomysłów. Dobrze to wróżyło na resztę lata. Urodziła się i wychowała w Visby, znała zatem Gotlandię jak własną kieszeń. A że pochodziła z licznej rodziny, więc jej krewni i przyjaciele mieszkali rozsiani po różnych miejscowościach na całej wyspie. Miała co najmniej sześcioro rodzeństwa. Wszyscy pozostali na wyspie i założyli tu rodziny, tak więc jej sieć kontaktów była rozległa. Jakościowo jej zdjęcia może nie były tak dobre jak te, do jakich przywykł Johan, ale robiła ich dużo i często wynajdywała własne motywy. Z czasem na pewno zajdzie daleko, jeśli dalej będzie pracowała z takim zapałem i tak wielką energią. Była młoda, ambitna i całkiem świadomie dążyła do celu, jakim był stały angaż w którymś z liczących się kanałów telewizyjnych w Sztokholmie. Jak na razie pracowała krócej niż rok, ale udało się jej już objąć dłuższe zastępstwo w Telewizji Szwedzkiej, co było nie bez znaczenia. A teraz zniknęła za rogiem.

Johan miał ochotę przejść dalej pod taśmą policyjną, ale wiedział, że jeżeli go złapią, to jego dobre stosunki z policją mogą się skończyć, a na to nie mógł sobie absolutnie pozwolić. Wiedział, że jego szefostwo w Sztokholmie rozważało przywrócenie pełnego etatu dla reportera na Gotlandii. Tak więc wynik jego pracy tego lata może mieć ogromne znaczenie przy podejmowaniu decyzji w tej sprawie. A Johan niczego innego tak nie pragnął, jak pozostać na wyspie.

Rozejrzał się, gdzie podziała się Pia, lecz ona jakby zapadła się pod ziemię. Dziwne, zwłaszcza zważywszy, że kamera telewizyjna jest tak duża i nieporęczna. Nie jest też z pewnością przedmiotem, który można nosić sobie wkoło w byle jaki sposób. Ruszył wzdłuż

plotu.

Pastwisko było zbyt duże, by mógł dostrzec, gdzie się kończy. Jego koniec przesłaniało mu pasmo lasu. Wodził akurat po nim wzrokiem, kiedy nagle zobaczył Pię. Przeszła przez blokadę policyjną i właśnie fotografowała pastwisko. Najpierw wściekł się, bo to jemu się dostanie, gdy ukaże się to w telewizji. Ale już w następnej sekundzie zmienił zdanie. Wykonywała przecież tylko swoją robotę najlepiej, jak potrafiła, aby uzyskać dobre zdjęcia. A on przecież chciał, żeby tak właśnie pracował fotograf. Zbyt zażyłe kontakty z policją skutkowały tym, iż człowiek zaczynał zwracać przesadną uwagę na to, co robi. Zakres możliwości był duży: od ukazywania tego, co najlepsze dla widzów, aż po konflikt z siłami porządkowymi. A tego absolutnie nie chciał i wiedział, że trzeba uważać. Jednak jego nagły wybuch złości ustąpił miejsca wdzięczności. Pia była diabelnie dobrym fotografem.

Kiedy skończyła, zatrzymali się przy pobliskich gospodarstwach. Nikt nie chciał im udzielić wywiadu i Johan podejrzewał, że dostali takie polecenie od policji. Już myślał, że nic z tego i chciał wracać, kiedy zauważył idącego drogą dziesięcio-, a może jedenastoletniego chłopca. Johan opuścił szybę w samochodzie.

– Cześć, mam na imię Johan, a to jest Pia. Pracujemy w telewizji i filmowaliśmy to pastwisko, na którym zabito konia. Czy słyszałeś, co się tam stało?

– Pewnie, że słyszałem – odrzekł chłopiec. – Mieszkam tam, niedaleko stąd.

Ruchem głowy wskazał drogę.

– A czy znasz te dziewczynki, które go znalazły?

– Tak trochę, chociaż one tu nie mieszkają. Przyjeżdżają tylko w odwiedziny do swoich dziadków.

– A czy wiesz, w którym domu one mieszkają?

– Tak, to niedaleko. Mogę pokazać.

Zaproponowali mu, aby wsiadł do samochodu, ale chłopiec nie przyjął ich zaproszenia. Szedł przed nimi drogą, a oni jechali za nim w żółtym tempie.

Niebawem dotarli na miejsce.

Starannie przystrzyżony żywopłot otaczał dom należący do dziadków dziewczynek. Obie dziewczynki siedziały przed nim na wielkim kamieniu, wymachując nogami.

Johan przedstawił siebie i Pię, która nadeszła chwilę później.

– Nie wolno nam rozmawiać z dziennikarzami – powiedziała Agnes. – Babcia tak powiedziała.

– A czemu tu siedzicie? – zapytał Johan, nie zrażając się.

– A tak sobie. Chciałyśmy nazbierać trochę kwiatków dla mamy i taty. Przyjadą do nas

dziś wieczorem.

– To bardzo ładnie z waszej strony – powiedziała Pia. – Po tej strasznej rzeczy, która się tu wydarzyła. Nie rozumiem, jak można uczynić zwierzęciu coś takiego. Przecież to Bogu ducha winne zwierzę. A z tego, co słyszałam, to on był taki fajny i taki milusiński.

– Był najfajniejszy na świecie. Najśłodszy kucyk na świecie.

Głos Agnes posmutniał.

– Jak się nazywał?

– Pontus – odpowiedziały chórem dziewczynki.

– Pomożemy policji, jak tylko będziemy umieli, żeby złapali tego, kto to zrobił. Obiecuję wam – ciągnęła dalej Pia. – Czy to nie był okropny widok, kiedy go znalazłyście?

– To było paskudne – powiedziała Agnes. – Łba w ogóle nie było.

– Żałuję, że w ogóle tam poszłyśmy – dodała Sofie.

– Nie, nie, poczekajcie chwilę. Pomyślcie sobie tak: to właśnie wy obie tam weszłyście i tak naprawdę bardzo dobrze zrobiłyście, bo inaczej być może trwałoby o wiele dłużej, zanim Pontus... tak on się nazywał, prawda?

Dziewczynki skinęły potakująco.

– Inaczej być może trwałoby to o wiele dłużej, zanim ktoś znalazłby Pontusa. A dla policji bardzo ważne jest, żeby móc zbadać takie sprawy jak najszybciej.

Agnes popatrzyła ze zdumieniem na Pię.

– Tak, no jasne, ale my nie pomyślałyśmy o tym – powiedziała z ulgą. Sofie też wyglądała na nieco bardziej zadowoloną.

Johan zastanawiał się przez kilka sekund nad okazją do przeprowadzenia wywiadu z tymi jedenasto albo dwunastoletnimi dziewczynkami bez zgody ich rodziców. Był zawsze szczególnie ostrożny, gdy chodziło o wywiady z dziećmi. A ten przypadek był akurat na granicy. Postanowił nie przeszkadzać Pii i podyskutować o tym później.

– Nasza praca, moja i Johana – ciągnęła Pia łagodnym głosem – polega na robieniu reportaży dla telewizji, kiedy dzieją się takie rzeczy jak ta. I chcemy robić to dla ludzi, którzy nas oglądają, ale oczywiście nie zmuszamy nigdy nikogo, żeby był w telewizji. Chociaż najlepiej jest, jak świadkowie zdarzenia opisują sytuację, jaka się wydarzyła, bo to może sprawić, że inni też coś sobie przypomną, zgłoszą to policji i naprowadzają na jakiś trop. Wydaje nam się, że gdyby ludzie oglądający telewizję zobaczyli was obie, jak opowiadacie o znalezieniu Pontusa, toby się bardziej zaangażowali w rozwiązanie tej sprawy niż wtedy, kiedy tylko Johan sam by o tym opowiadał. Wtedy po prostu bardziej by się tym przejęli.

Dziewczynki słuchały uważnie.

– Dlatego zastanawiamy się, czy możemy wam zadać kilka pytań dotyczących tego, co się wydarzyło dziś rano. Ja będę kręcić film, a Johan będzie zadawał wam pytania. Jeśli będziecie uważać, że nie potraficie udzielić odpowiedzi albo że to jest dla was zbyt wyczerpujące, to przestaniemy. Same zadecydujecie. Potem zrobimy z tego wywiad, tak że nic się nie stanie, jeżeli się pomylicie. Okej?

Sofie szturchnęła Agnes łokciem i zaczęła jej szeptać do ucha: – Przecież nie możemy.

– Wiem o tym, ale nie obchodzi mnie to – powiedziała Agnes zdecydowanym głosem i zeskoczyła z kamienia. – W porządku.

Kiedy Pia i Johan odjeżdżali stamtąd, mieli nagrany na taśmie wywiad, w którym dziewczynki opowiadały o tym, co widziały. Ponadto ujawniły fakt, że łeb nie tylko odrąbano, ale że również zniknął bez śladu.

W drodze powrotnej Johan obserwował Pię, która znów prowadziła.

– Nie zdziw się, jak nas za to ochrzanią.

– Co masz na myśli?

– Policja będzie wkurzona. Nie żebym się tym specjalnie martwił. Ja tylko chcę cię ostrzec, abys wiedziała, co cię może spotkać.

– Nie kapuję, o czym mówisz. – Pia obrzuciła Johana wzrokiem pełnym oburzenia. – Wykonujemy swoją pracę i tyle. Nie ma co przesadzać, chodzi przecież o konia, a to, do diabła, nie to samo co człowiek.

– To na pewno. Ale wywiady z dziećmi to delikatna sprawa.

– Gdybyśmy je wypytywali na przykład tuż po śmierci ich mamy, wówczas rozumiałabym twoje opory. – Sądząc po głosie, Pię ogarniała chyba coraz większa złość.

– Nie zrozum mnie źle – zaprotestował Johan. – Chodzi mi tylko o to, że trzeba bardzo uważać przy wywiadach z niepełnoletnimi. My jako dziennikarze ponosimy za to diabelną odpowiedzialność.

– To nie nasza wina, że ludzie chcą się wypowiadać przed kamerą. Nikogo nie zmuszaliśmy. Poza tym dzięki rozmowie z tymi dziewczynkami dowiedzieliśmy się całkiem nowych rzeczy, na przykład o tym, że zaginął gdzieś koński łeb.

Opuściła okno i wypluła prymkę tytoniu. Następnie w demonstracyjny sposób nastawiła głośniejszą muzykę. Wszystko wskazywało na to, że skończyła dyskusję. Pia była zdolna i pewna siebie, ale powinna być chyba trochę bardziej pokorna, skoro dopiero co zaczęła pracę. Johan miał nieodparte wrażenie, że jego koleżanka będzie się kiedyś wyróżniać wśród innych fotografów. W tym dobrym i złym znaczeniu.

W sadzie w Roma Emma Winarve siedziała na hamaku podparta kilkoma poduszkami, odchylona do tyłu w pozycji półleżącej. Próbowwała znaleźć sobie jak najwygodniejszą pozycję. Ale w bardzo zaawansowanej ciąży nie było to takie proste. Było jej gorąco i pociła się cały czas, mimo iż siedziała w cieniu. Wysokie ciśnienie, jakie miała w zeszłym tygodniu, zrobiło swoje. Czuła się teraz jak niekształtny kolos, choć ważyła i tak o wiele mniej, niż kiedy była w ciąży z dziećmi z poprzedniego związku. Dotychczas nie przybrała więcej niż dwanaście kilo. Tym razem jej ciąża była inna. Przedtem dzieci były wyczekiwane i nie miała żadnych wątpliwości, że będzie chciała je urodzić. Dziecko, które obecnie rosło w jej łonie, mogło równie dobrze skończyć jako zakrwawiony płód po skrobance, kiedy był jeszcze na to czas. Teraz oczywiście była zadowolona, że tak się nie stało. Do rozwiązania pozostały jeszcze dwa tygodnie, jeżeli wszystko odbędzie się w wyznaczonym terminie.

Zjadła właśnie wraz z dziećmi sałatkę owocową składającą się z melona, kiwi, ananasa i karamboli. Owoce tropikalne nigdy tak bardzo jej nie smakowały jak właśnie teraz, kiedy była w ciąży.

Patrzyła na Sarę i Filipa, pochłoniętych grą w krykieta na trawniku. Dopiero co skończyli pierwszą i drugą klasę, a już przyszło im przeżywać rozwód rodziców.

Czasem miała ogromne wyrzuty sumienia, a jednocześnie nie sądziła, że mogła postąpić inaczej. Pocięszała się, że nie tylko jej dzieci były w takiej sytuacji – prawie połowa dzieci z ich klas pochodziła z rozbitych małżeństw.

Kiedy zeszłego lata poznała Johana Berga, zakochała się po uszy. Ona, która nigdy nie sądziła, że może być niewierna. Najpierw tłumaczyła to szokiem i rozpaczą po tym, jak zamordowano jej najlepszą przyjaciółkę Helenę. Była pierwszą ofiarą seryjnego mordercy, a Johan był jednym z reporterów, którym Emma udzielała wywiadu jako przyjaciółka zamordowanej.

W tym czasie zaczęła na serio negować sens własnego małżeństwa. Takich uczuć, jakie żywiła względem Johana, nie doznała nigdy przedtem. Kilka razy próbowała zerwać z

nim i wracała do Ollego, który mimo wszystko jej wybaczał.

Podczas jednego ze spotkań z Johanem, kiedy jeszcze ukradkiem wracała do niego, zaszła w ciążę. Na początku myślała o usunięciu dziecka. Kiedy opowiedziała o tym Ollemu, był on nawet gotów raz jeszcze zapomnieć o jej kolejnej niewierności. Ale warunkiem, jaki jej postawił, aby ratować ich małżeństwo, była aborcja. Umówiła się na zabieg i skończyła z Johanem raz na zawsze.

Rodzina spędziła razem święta Bożego Narodzenia w spokoju i miłej atmosferze. Dzieci były niezmiernie szczęśliwe, że wszystko znów było po staremu, a Emma dostała w prezencie świątecznym od Ollego wymarzonego szczeniaczka.

Ale nagle w ich domu w Roma pojawił się Johan i wyrócił ich życie do góry nogami. Kiedy Emma zobaczyła obu mężczyzn swego życia razem, sytuacja przybrała nowy, ostry zwrot. Nagle zrozumiała, dlaczego tak trudno było jej zerwać z Johanem. Bo po prostu to jego kochała. Jej związek z Ollem był już przeszłością i było już za późno, aby usiłować cokolwiek jeszcze z tym zrobić.

Dwa dni później zadzwoniła do Johana i powiedziała mu, że zamierza urodzić ich dziecko.

Teraz siedziała tutaj, świeżo upieczona rozwódka, z dwójką dzieci co drugi tydzień i z trzecim w swoim łonie. Fakt, że postanowiła je urodzić, nie oznaczał jednak automatycznie, że Johan i ona będą tworzyć rodzinę, na co on najwyraźniej liczył. Johan niczego innego tak nie pragnął, jak tylko od razu wprowadzić się do jej domu i zostać ojczymem Sary i Filipa. Ale Emma potrzebowała czasu. Nie czuła się jeszcze gotowa, aby wejść w nowy układ rodzinny. Na razie odkładała na później kwestię, w jaki sposób dałaby sobie sama radę z kolejnym dzieckiem.

Przejechała ręką po swej cytrynowej bawełnianej sukience. Piersi wydawały się ciężkie i wielkie, gotowe już do czekającego je zadania, nie czuła na wpeł zdrętwiałych nóg. Zmiana krążenia krwi w czasie ciąży z kiepskiego na wręcz fatalne była przynajmniej jedną taką samą rzeczą jak w poprzednich ciążach. Krew zdawała się zatrzymywać swój bieg w organizmie, Emma była blada, miała zimne palce u rąk i nóg. A że mało się ruszała z powodu ociążałości, więc jej stan wcale się nie poprawiał. Miała w zwyczaju trenować przynajmniej trzy razy w tygodniu. Była też nałogową palaczką, ale przestała palić, gdy tylko dowiedziała się, że jest w ciąży. Tak było również z poprzednimi ciążami.

Nie ciągnęło ją nawet do nikotyny, ale przypuszczała, że zacznie znów palić, jak tylko przestanie karmić piersią.

Natężenie nałogu nikotynowego zmieniało się w zależności od ilości problemów w jej życiu. Mówiąc najprościej: im więcej miała problemów, tym więcej paliła. Jakoś tam musiała się w końcu pocieszyć, kiedy życie dawało jej w kość. Nie była w stanie przewidzieć, w jaki sposób poradzi sobie z rozwodem. Miała tego dopiero doświadczyć z całą brutalnością.

Była przygotowana, że z Ollem nie pójdzie jej łatwo, ale nie sądziła, że będzie to tak parszywe, gorzkie i żałosne przeżycie. Wszystkie te wyczerpujące kłótnie z Ollem i jego robienie z siebie ofiary niemalże wykończyły ją tej wiosny.

Cudem obeszła się bez palenia.

W każdym razie udało im się dość dobrze rozwiązać kwestię mieszkania. Olle dostał duże mieszkanie w centrum Roma i zamieszkał niedaleko ich domu. Uzgodnili, że dzieci przynajmniej na razie będą przebywać z każdym z nich po dwa tygodnie. A potem mieli zobaczyć. Olle był jednak na tyle dojrzały, że nie chciał dostarczać dzieciom więcej stresu, niż to było konieczne.

Podniosła wzrok znad krzyżówki, w którą się wpatrywała, podczas gdy poszczególne litery zlewały się w jakąś niezrozumiałą całość. Sara i Filip byli całkowicie pochłonięci grą w krykieta. Nawet ani razu się nie pokłócili. Taki był właśnie nieoczekiwany skutek tych wszystkich wydarzeń, które ostatnio miały miejsce – dzieci były teraz jakby spokojniejsze. Tak jakby stały się bardziej odpowiedzialne i zmieniła się już ich przestrzeń życiowa, gdy wszystko wokół się waliło. Wyrzuty sumienia znów się w niej odezwały. Do tego rozwodu doszło z jej winy. Takiego zdania była cała rodzina, w tym również jej rodzice, choć nikt tego otwarcie nie powiedział.

Dzieciom starała się wszystko wytłumaczyć najlepiej, jak tylko potrafiła, nie próbując usprawiedliwiać swego postępowania. Ale czy to wystarczyło? Czy kiedykolwiek zrozumieją?

Popatrzyła na ich gładziutkie twarze. Sara ze swoimi nieco ciemniejszymi włosami i ciemnobrązowymi oczami była żywym, lecz zarazem posłusznym dzieckiem. Rozmawiała głośno ze swoim młodszym braciszkiem, podczas gdy ten próbował skoncentrować się na przepchnięciu kuli przez koronę. Filip miał jaśniejszą i cerę, i włosy. Był wesołym pędziwiatrem i największym wisusem w rodzinie.

Zastanawiała się, czy będzie w stanie kochać swoje nienarodzone jeszcze dziecko taką samą bezwarunkową miłością.

Pokój służbowy Knutasa znajdował się na drugim piętrze komendy policji. Był przestronny i jasny ze ścianami pomalowanymi na piaskowy kolor i jasnymi meblami z drewna brzoźowego. Wyjątek stanowiło jego stare, zniszczone dębowe krzesło biurowe z siedzeniem obitym miękką skórą. Nie był w stanie rozstać się z nim, kiedy w zeszłym roku odremontowano komendę i zamierzano wymienić cały sprzęt na nowy. Przez wszystkie te lata, kiedy na nim siedział wiele razy udawało mu się poskładać elementy skomplikowanych układanek w jedną całość. Obawiał się, że siedząc na nowym krześle, nie będzie już myślał równie dobrze, nawet gdyby miało ono być zdrowsze dla jego kręgosłupa.

Kołysał się powoli do przodu i do tyłu, zastanawiając się nad tym zdarzeniem z odciętym łbem kuca. Na Gotlandii przestępstwa popełniane na zwierzętach należały do ogromnej rzadkości. Oczywiście zdarzały się przypadki niewłaściwego opiekowania się nimi, kiedy ludzie nie dawali zwierzętom pożywienia czy nie posprząтали w klatkach albo w boksach, ale ta sprawa była zupełnie inna. Być może chodzi o jakiegoś szaleńca, któremu sprawiało przyjemność dręczenie zwierząt? Z takimi przypadkami miał już wcześniej do czynienia, ale chyba jeszcze nie tej wagi. Być może zabito konia w przyływie złości – ale przeciwko komu była ona wówczas skierowana?

Jednocześnie cała sprawa wydawała się zaplanowana z zimną krwią. Czynu dokonano wtedy, kiedy wszyscy spali, ale było już też wystarczająco jasno. Według rolnika sprawca najprawdopodobniej dał zwierzęciu coś do zjedzenia, aby w spokoju móc go bestialsko zamordować. To zaś ułatwiło mu spokojne zabicie i zbezczeszczenie zwierzęcia. Pytanie tylko, w jakim celu sprawca zabrał potem ze sobą jego łeb. Chyba nie po to, aby łowić węgorze, jak to dawno temu Knutas widział w jakimś filmie.

Wydobył fajkę, nabił ją starannie i ssał, nie zapaliwszy jej. Zawsze tak robił, kiedy musiał się nad czymś głębiej zastanowić. Rzadko kiedy ją w ogóle zapalał, tym bardziej że w budynku komendy i tak nie wolno było palić. Lekkie szurnięcie krzesłem sprawiło, iż miał teraz widok na przepełniony parking przy Coop Forum. Teraz, po nocy świętojańskiej sezon

turystyczny zaczął się już na dobre. Na wyspie zamieszkiwało na stałe pięćdziesiąt osiem tysięcy ludzi, ale w miesiącach letnich przybywało kolejnych osiemset tysięcy. W połowie sierpnia napływ turystów kończył się tak samo nagle, jak się zaczął.

Poprosił Wittberga i Karin, by po południu jeszcze dokładniej przyjrzeni się właścicielowi konia. Technicy z Sohlmanem na czele byli na miejscu, rozpoczęły się też przesłuchania sąsiadów i innych osób, które mogły coś zauważyć.

Zadzwoniła Line, oznajmiając podekscytowanym głosem, że mają na porodówce pełno roboty i że będzie w domu później. Knutas odpowiedział, że sytuacja u niego wygląda podobnie.

Żona Knutasa – Dunka o imieniu Line – była położną w szpitalu w Visby, a mieszkanki wyspy rodziły tak dużo dzieci jak nigdy dotąd. Wyglądało na to, że na wyspę zawitał kolejny wyż demograficzny. Od kilku tygodni pracowała codziennie, a końca nadal nie było widać. Knutas i bliźniaki musieli radzić sobie sami, tak jak potrafili. Nie było zresztą żadnych problemów, gdyż dzieci w większości przypadków były już całkiem samodzielne. Petra i Nils spędzali do tej pory wakacje, kąpiąc się i grając w piłkę nożną i nie mieli nic przeciwko temu, że dostawali pieniądze na pizzę czy hamburgera. Woleli to niż zajadać posiłki niezupełnie fachowo przyrządzone przez Knutasa. Kroplą, która przepełniła czarę goryczy, był dzień, w którym po raz kolejny zaserwował im danie nazywane przez niego z dumą „taty specjalną zapiekanką z makaronu”. Była to potrawa zupełnie pozbawiona smaku, wodnista, a do tego jeszcze przypalona na brzegach.

Z punktu widzenia Knutasa wiosna była okresem stosunkowo małej aktywności zawodowej. Przez jakiś czas odchorowywał głośnie morderstwo popełnione zimą, kiedy to pewna dziewczyna najpierw zaginęła, a potem znaleziono ją martwą. Bardzo się przejął wtedy tą sprawą i wziął ją sobie ogromnie do serca. Na ile miało to wpływ na jego ocenę sytuacji, tego nie można było stwierdzić już po fakcie, ale obawiał się, że źle ją ocenił i w ten sposób przyczynił się do śmierci dziewczyny. Ciężko było żyć z takim poczuciem winy.

Przez pewien czas miał wrażenie, że wpada w jakąś głębszą depresję. Najbardziej wyraźnym jej objawem była bezsenność. Często miał kiepski nastrój i był apatyczny, co również było do niego zupełnie niepodobne. Poza tym nagle stał się tak porywczy, że głośnie wybuchy złości ze strony Line były mysim piskiem w porównaniu z jego wybuchami. Wkurzała go byle błażostka. A kiedy reszta rodziny reagowała na jego nieuzasadnioną wściekłość, czuł się urażony i traktowany niesprawiedliwie. Skończyło się tym, że Line zaciągnęła go do psychologa. Po raz pierwszy w życiu Knutas korzystał z profesjonalnej pomocy przy rozwiązywaniu swoich osobistych problemów. Nigdy nie myślał, że będzie

musiał to kiedykolwiek robić. Nie spodziewał się zbyt wiele, ale był zaskoczony. Pani psycholog była tylko do jego dyspozycji i poświęcała czas tylko jemu. Słuchała, nie doradzając mu niczego ani też nie oceniając go. Czasem zadawała jakieś pytania, aby naprowadzić jego myślenie na inne tory. Dzięki terapii nieco inaczej zaczął patrzeć na samego siebie i na swój stosunek do otoczenia, a poczucie winy powoli ustępowało. Dopiero wtedy zaczął czuć się trochę lepiej.

Jego rozmyślenia przerwał dźwięk kolejnego telefonu. Centrala pytała, czy może przyjąć u siebie ekipę Telewizji Szwedzkiej. Westchnął, ale się zgodził. Miał bardzo ambiwalentny stosunek do Johana Berga. Natarczywość tego reportera doprowadzała go wprawdzie do białej gorączki, ale z drugiej strony musiał przyznać, że Berg dobrze wykonywał swoją pracę. Często udawało mu się docierać samemu do jakichś informacji, a poza tym miał niesamowity talent do wyciągania z ludzi większej ilości informacji, niż początkowo zamierzali powiedzieć. Nawet z samego komisarza.

Johan wydawał się zestresowany, kiedy zjawił się na korytarzu. Pewnie spieszył się do tych swoich audycji. Jego czarna grzywka kleiła się do czoła, a bawełniana koszula była pomięta i poplamiona. Na tej podstawie Knutas się domyślił, że prawdopodobnie on też był już na miejscu zdarzenia w Petersviken i że pewnie prosto stamtąd przyjechał tutaj. Miejmy tylko nadzieję, że nie znalazł tam nikogo, kto udzielił mu wywiadu. Knutas nie chciał nic mówić o tej sprawie, a nie miał też prawa wtrącać się do pracy dziennikarzy. Ich praca polegała na pozyskiwaniu jak największej ilości informacji, on zaś miał za zadanie nie dopuścić do tego, aby wyciekło zbyt wiele. Przygotowywał się na trudne pytania i czuł, jak mu się zaciskają szczęki, zanim jeszcze wywiad się rozpoczął.

Wraz z Johanem przyszła ta nowa fotograf, która wyglądała jak punk ze swoimi czarnymi włosami sterczącymi na wszystkie strony. Miała też kolczyk w nosie.

Pia nie zadowoliliła się stanem w korytarzu, lecz zachęciła ich do wyjścia na balkon dobudowany podczas remontu komendy. Chciała skłonić Knutasa do opowiedzenia o tym okropnym czynie na sielskim tle, które tworzyły letnia zieleń, mury miejskie oraz morze. To typowe dla ludzi z telewizji – oni myślą tylko o swoich zdjęciach.

Najpierw Johan zadał rutynowe pytania dotyczące tego, co się wydarzyło, a potem – choć nie do końca niespodziewanie – padło pytanie: – Czy znaleźliście łeb?

Knutas zagryzł wargi i nic nie odpowiedział. Zniknięcie łba policja postanowiła utrzymać w tajemnicy. Osobom, które wiedziały o tym, że go tam nie ma, surowo zakazano mówić cokolwiek o tej sprawie.

– Jestem ciekaw, czy znaleźliście łeb – uparcie powtórzył Johan.

– Na ten temat nie udzielamy informacji – odpowiedział zirytowany Knutas.

– Wiem, że go nie ma. Wiem o tym z pewnego źródła – oznajmił Johan. – Może pan więc chyba potwierdzić tę informację.

Knutas aż poczerwieniał ze złości. Zrozumiał, że policja nic już nie zyska, jeżeli zaneguje ten fakt.

– To prawda, nie znaleźliśmy łba – przyznał, wzdychając zrezygnowany.

– A czy domyślacie się, gdzie się podział?

– Nie.

– To znaczy, że sprawca zabrał go ze sobą?

– Przypuszczalnie tak.

– Na co może to zatem wskazywać?

– Na tym etapie śledztwa nic jeszcze nie można powiedzieć.

– A do czego pana zdaniem potrzebny jest koński łeb człowiekowi lub też ludziom, którzy to zrobili?

– Na ten temat można tylko spekulować, a my w policji nie zajmujemy się spekulacjami. Naszym zadaniem jest teraz jak najszybsze ujęcie sprawcy.

– Jak pan osobiście zareagował na to wydarzenie?

– To straszne, że ktoś może wyrządzić zwierzęciu taką krzywdę. Policja traktuje oczywiście sprawę bardzo poważnie i użyjemy wszelkich dostępnych nam środków w celu ujęcia sprawcy bądź sprawców. Będziemy apelować do opinii publicznej o przekazywanie policji wszelkich informacji, które mogą mieć jakikolwiek związek z popełnionym czynem.

Knutas zakończył wywiad.

Było mu gorąco i czuł się porytowany. Mimo iż zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że nic nie wskóra, próbował przekonać Johana, aby ten pominął w swoim materiale informację o braku łba. Reporter oczywiście nie ustąpił i wyraził pogląd, że ta informacja wzbudza tak duże zainteresowanie społeczne, że należy ją opublikować.

Kiedy Pia i Johan wrócili do redakcji, musieli się pośpieszyć z montażem materiału, aby zdążyć na wieczorną audycję. Siedzieli razem w jedynym pokoju montażowym, jaki mieli do dyspozycji. Johan zadzwonił do Grenforsa, który nie widział niczego niestosownego w tym, iż zrobili wywiad z dziewczynkami. Były już jego zdaniem wystarczająco duże, a poza tym podzielał zdanie Pii, że chodziło w końcu tylko o konia. Z drugiej jednak strony Grenfors nie był raczej znany w dziale informacyjnym jako ten, którego cechuje szczególna ostrożność.

– Mam tylko nadzieję, że nikt inny nie wyniucha, że nie ma tego łba – mruknęła Pia, kiedy w pełnym skupieniu naciskała przyciski. Mieli jeszcze pół godziny do pierwszego skrótu najnowszych wydarzeń w wiadomościach lokalnych, a przyrzekli redaktorowi, że dostarczą materiał, który będzie trwał przynajmniej minutę i trzydzieści sekund. Za dziesięć szósta przesłali gotowy materiał w formie pliku elektronicznego do swojej macierzystej redakcji w Sztokholmie.

Po audycji zadzwonił Grenfors.

– Dobra robota – pochwalił ich. – Super, że dotarliście do tych dziewczyn. Wypadły cholernie dobrze i mam wrażenie, że nikt inny do nich nie dotarł.

– Nie. O ile wiem, to gadały tylko z nami.

– Swoją drogą, jak wam się udało nakłonić je do mówienia?

– A, to zasługa Pii – powiedział Johan. – Przekonała jakoś te dzieciaki.

– Aha. – W głosie Grenforsa słychać było zaskoczenie. – Przekaż jej, że była to jak diabli dobra robota. – Co zamierzacie jutro?

Johan widział oczyma wyobraźni redaktora, który siedzi tam teraz i kołysze się na krześle przy biurku w redakcji lokalnej w siedzibie telewizji w Gärdet w Sztokholmie. Wysoki, wysportowany pięćdziesięciolatek o farbowanych włosach i ogólnie rzecz biorąc, nadgorliwiec.

Nieźle przyspieszył w ostatnim czasie – pomyślał Johan. Grenfors stawał się coraz to

bardziej nerwowo. Swoje obawy o to, iż nie otrzyma na czas materiałów nadających się do emisji, wyrażał w różny sposób. A to ciągle wypytywał ich w rozmowach telefonicznych, jak posuwa się robota, to znów robił im długie wykłady na temat tego, jak powinno się robić reportaż, a często gęsto dzwonił też sam do osób, z którymi byli już umówieni na wywiad, aby jeszcze osobiście upewnić się, że wywiad faktycznie dojdzie do skutku.

Co prawda, Grenfors zawsze przejawiał tendencję do zbytniego wtykania nosa we wszystko, ale nie w takim zakresie jak ostatnio. Johan zastanawiał się, czy było to spowodowane większym stresem i uszczuplonymi funduszami w redakcji. Cięcia finansowe odbijały się negatywnie na wiadomościach w stosunkowo równych odstępach czasu. Obcinano coraz więcej środków. Coraz mniej osób miało przygotowywać coraz więcej materiałów. Ceną było zestresowanie pracowników i gorsza jakość materiałów.

Jedną z ogromnych zalet pracy na Gotlandii było to, że człowiek nie odczuwał ciągłego strachu Grenforsa. Teraz przynajmniej był on daleko od Johana.

Czwartek, 1 lipca

Obawy Knutasa potwierdziły się w stu procentach. Informacja na temat konia z odrąbanym łbem wywołała duży odzew.

Telefony wprost się urywały, gdy tylko o wpół do ósmej przyszedł do pracy. Po przedstawicielach mediów przysłała kolej na odzew ze strony gminnych polityków, hodowców koni, najbardziej zagorzałych obrońców zwierząt, wegan i najzwyczajniejszych obywateli. Wszyscy żądali, aby policja jak najszybciej złapała drania, który dopuścił się takiego czynu.

Zebrani na odprawie o godzinie ósmej szeleścili już porannymi gazetami, kiedy Knutas wszedł do pomieszczenia.

Lars Norrby wrócił właśnie ze swego dwutygodniowego urlopu na Wyspach Kanaryjskich. Przyjechał dopiero wczoraj późnym wieczorem, więc siedział pochłonięty lekturą porannej gazety. Rzecznik prasowy policji był wysokim, ciemnowłosym mężczyzną, a do tego miał teraz twarzową opaleniznę. Pracował w policji w Visby tak długo jak Knutas i był jego zastępcą. Choć flegmatyk, to jednak dokładny i można było na nim polegać. Nie należał do tych, którzy są w stanie czymś zaskoczyć, ale Knutas zawsze mógł na niego liczyć.

Odprawa zaczęła się od dyskusji na temat tego, co wywęszyły lokalne media.

– To nieprawdopodobne, że dziewczynki wystąpiły w telewizji – powiedziała Karin. – Przecież wyraźnie im mówiliśmy, żeby nie zgadzały się na żadne wywiady.

– Ten cały Johan Berg z wiadomości lokalnych to niezły dupek, skoro manipuluje dziećmiakami w taki sposób – wściekał się Wittberg. – Cholerny idiota.

– Nie możemy powstrzymać ani dorosłych, ani dzieci od rozmów z prasą, skoro mają na to ochotę – powiedział Knutas. – Jednocześnie wcale nie musi się to okazać złe. Miejmy nadzieję, że wystąpienie dziewczynek zaowocuje jakimiś sygnałami ze strony społeczeństwa. A przydałyby się, bo na razie coś cienko z tym. Gorzej, że wszyscy już wiedzą, że nie ma łba. To spowoduje całą masę spekulacji.

Sohlmann wyglądał na zmęczonego. Prawdopodobnie pracował do późnej nocy.

– Przyjrzelśmy się dokładniej śladom samochodów i możemy wyróżnić ślady dwóch

pojazdów. Jeden z nich można łatwo zidentyfikować, bo są to ślady samochodu rolnika. Porównaliśmy głębokość rowków ogumienia i nie mamy wątpliwości. Jeśli chodzi o te drugie ślady, to z nimi jest nieco gorsza sprawa. Opony są grube i całkowicie zjechane. Prawdopodobnie więc są to opony jakiejś mniejszej ciężarówki czy pickupa. Ale mogą też być na przykład od jakiegoś kombi.

– A inne ślady? – zapytała Karin.

– Zebraliśmy ich całkiem sporo. Są wśród nich torebki plastikowe, odłamki szkła, niedopałki, jakieś butelki. Nic ciekawego.

– Powinniśmy udać się do innych właścicieli koni w pobliżu i popytać, czy nie zauważyli czegoś podejrzanego – zaproponowała. – Czasem trzeba przecież pochodzić po ludziach.

– Nie wiem, na ile powinniśmy angażować się w tę sprawę – powiedział Knutas. – W końcu chodzi tylko o zwierzę.

– Co to znaczy: tylko? To przykład ohydneho okrucieństwa względem zwierząt – oburzyła się Karin. – Czy mamy odpuścić tylko dlatego, że nie dotyczy to człowieka?

– Ktoś, kto jest w stanie uczynić coś takiego zwierzętom, może być niebezpieczny również dla ludzi – dodał Wittberg.

– Tak czy inaczej, telewizji udało się porządnie nastraszyć ludzi po tej wczorajszej audycji. Domagają się, abyśmy zrobili wszystko, co w naszej mocy, żeby znaleźć mordercę tego konia. Telefon dzwoni bez przerwy. Wydaje mi się, że tyle samo czasu będziemy potrzebować na uspokojenie oburzonych ludzi, jak i na prowadzenie śledztwa. Jakkolwiek by było, musimy zająć się również sprawą odrąbania końskiego łba. Jakiego pokroju człowiek mógłby dopuścić się takiego czynu?

Knutas przejechał wzrokiem po zebranych.

– Mnie się wydaje, że to jest czyjś osobisty odwet na rolniku. Na przykład żony albo choćby najstarszego syna. – Norrby w zamyśleniu pocierał swoją gładko ogoloną brodę. – Jest to rodzaj groźby, to dla mnie jasne. Taka dziwna wendetta.

– Tak, ale pozostaje jeszcze kwestia tego, czego nie pozostawiono na pastwisku, czyli łba – zaoponował Knutas. – Co sprawca zamierza z nim zrobić? Może powinniśmy raczej pójść w tym kierunku? Sprawca nie chce chyba wykorzystać tego łba jako swego trofeum i zawiesić go nad kominkiem. Może to być ktoś, kto ma na pieńku z rodziną Larssonów i chce ich postraszyć.

– To brzmi jak z „Ojca chrzestnego” – stwierdziła Karin. – Czy pamiętacie tego faceta, któremu podrzucono koński łeb do łóżka?

Cała reszta zebranych przy stole uśmiechnęła się krzywo.

– Być może tam na południu po kryjomu wyrosła nam gotlandzka mafia – szydził Norrby. – Tak jak na Sycylii.

– Tak, jest przecież więcej podobieństw między Gotlandią a Sycylią – dodał Knutas, krzywiąc się w uśmiechu. – Mamy sporo owiec. I baranów.

Piątek, 2 lipca

Śmigłowiec wylądował na krajowym lotnisku Bromma w Sztokholmie tuż po godzinie trzeciej po południu. Mężczyzna z ciemnoniebieską sportową torbą wstał, gdy tylko samolot skończył kołować. Nosił ciemne okulary i mocno wciśniętą na czoło czapkę. Na szczęście miał dwa miejsca tylko dla siebie, więc nie musiał się obawiać, że ktoś będzie chciał z nim pokonwersować. Stewardessa chyba wyczuła jego niechętny stosunek do otoczenia, gdyż tylko raz zapytała dyskretnie, czy nie chciałby napić się kawy, po czym zostawiła go już w spokoju. Kiedy taksówka ruszyła w kierunku Sztokholmu, westchnął cicho pełen nadziei. Czekał na to spotkanie od dawna.

Poprosił taksówkarza, aby zatrzymał się kilka przecznic wcześniej. W Sztokholmie w pełni sezonu aż roiło się od turystów, toteż na chodnikach było mnóstwo kawiarnianych ogródków, w których ludzie delectowali się filiżanką kawy czy kieliszkiem wina. Woda przy ulicy Strandvägen połyskiwała w słońcu, przy nabrzeżu zacumowane były stare kutry rybackie, burta w burtę obok wytwornych motorówek i promów pasażerskich, które w godzinach szczytu dowoziły mieszkańców miasta i turystów na pobliskie wyspy szkierowe.

Nigdy nie czuł się dobrze w stolicy, ale w takim dniu jak dziś nawet on wykazywał pewnego rodzaju zrozumienie dla tych, którzy kochali Sztokholm. W dzielnicy, w której się znalazł, ludzie byli porządnie ubrani i niemal nie dało się spotkać ani jednej osoby, która nie nosiłaby okularów słonecznych. Zadowolony uśmiechnął się do siebie. To typowe dla mieszczuchów, którzy przy najmniejszym choćby kontakcie z naturą muszą się w jakiś sposób chronić, opancerzać.

W mieście czuł się obco, jakby był z innego świata. Trudno mu było pojąć, że ci wszyscy elegancko odziani ludzie, spieszący wokół niego ulicami w ściśle określonym celu, rzeczywiście są jego rodakami. Tutaj każdy wiedział, dokąd zmierza.

To tempo życia nieco go irytowało. Wszystko musiało być szybko, szybko. Kiedy zatrzymał się, by kupić w kiosku pudełko tabaki i odliczał gotówkę, poczuł już zniecierpliwienie sprzedawczyni i szybko rosnącą za jego plecami kolejkę.

Dom znajdował się w jednym z najwytworniejszych zakątków Sztokholmu, a drzewa porastające skraj ulicy dodawały temu miejscu jeszcze piękną oprawę. Nauczył się na pamięć

kodu. Masywna brama dębowa ustąpiła lekko, co go zdziwiło. Na schodach wewnątrz domu panowała cisza i spokój. Z sufitu zwisał kryształowy żyrandol, a na podłodze leżał gruby, czerwony dywan, ciągnący się przez całe schody. Wysokość klatki schodowej była imponująca. Pompatyczny wystrój i uderzająca cisza onieśmieliły go. Zatrzymał się na chwilę i wpatrywał w nazwiska figurujące na eleganckiej tablicy umieszczonej na ścianie: von Rosen, Gyllenstierna, Bauerbusch.

Nagle poczuł się jak mały, zażenowany chłopczyk. Ogarnęło go to samo poczucie niższości i braku własnej wartości jak wtedy, kiedy dorastał. To nie było miejsce dla niego, był kotem wśród gronostajów, nie pasował do tego miejsca, nie był na tyle dostojny, by stać w tej pięknej marmurowej bramie wśród wyśmienitych osobistości mieszkających za tymi bejcowanymi na ciemno drzwiami. Przez chwilę stał i walczył ze sobą. Nie mógł się teraz obrócić na pięcie i wyjść znów na ulicę, skoro przyjechał tu aż z tak daleka. Musi się wziąć w garść i zacisnąć zęby. Tak robił już wcześniej. Usiadł na najniższym stopniu, ukrył twarz w dłoniach i zamknął oczy. Usiłował się skoncentrować, obawiając się zarazem, że ktoś może zjawić się w bramie. Wreszcie zmobilizował się i ruszył.

Postanowił, że wejdzie na czwarte piętro po schodach, mimo iż w budynku była winda. Zawsze bał się wind. Przed drzwiami stanął, aby nabrać powietrza. Jego wzrok zatrzymał się na lśniącej mosiężnej tabliczce z wygrawerowanym ozdobnymi literami nazwiskiem. Znow ogarnął go lęk. Wprawdzie spotykali się już wcześniej, ale nie tu. Prawie się nie znali. A jeżeli człowiek, który na niego czekał, nie był sam? Niezgrabnymi ruchami palców wyciągnął z wewnętrznej kieszeni chustkę do nosa. Z sąsiednich pomieszczeń nie dochodził żaden dźwięk. Żadna oznaka życia.

Ponownie ogarnęła go niechęć i narastała coraz bardziej, aż pociemniało mu w oczach. Oby się to tylko teraz znów nie powtórzyło – pomyślał.

Schludne ściany dookoła niego jakby kurczyły się i przybliżały. Myśli kłębiły mu się w głowie. Chyba nie da rady, musi zawrócić. Drzwi były niczym jego wrogowie, tworzyły mury, które go odgradzały od tego miejsca, jakby go tutaj nie chciały. W oknie porcelanowa doniczka z okazałą białą azalią zdawała się spoglądać na niego szyderczo i mówić: nie masz tu czego szukać, uciekaj na swoje podwórko, skąd przyszedłeś.

Stał niczym sparaliżowany i całą uwagę skupił na złapaniu oddechu, próbował uspokoić rozszalały rytm swojego serca. Napady paniki zdarzały mu się, odkąd tylko pamiętał. Postanowił, że pójdzie dalej. Tylko musi najpierw zebrać siły, skoncentrować się, żeby nie zemdleć. To by dopiero było, gdyby dostał tutaj napadu i znaleźliby go leżącego na kamiennej posadzce. Ale byłaby sensacja!

Usłyszał, jak brama na dole otworzyła się i znów zamknęła. Czekał w napięciu. Dom miał pięć pięter, a on stał na czwartym. Jeśli ma pecha, to osoba, która właśnie weszła, mieszka na ostatnim piętrze.

Nagle usłyszał kroki kogoś, kto szedł schodami na górę. Jeżeli ten człowiek zmierzał na czwarte piętro albo wyżej, to na pewno się spotkają. Kroki stawały się coraz głośniejsze. Za kilka sekund mógł pojawić się na schodach, a on za wszelką cenę chciał uniknąć tego, aby go tu zobaczono. Szybko otarł z grubsza pot z czoła i wziął głęboki oddech. Musi teraz wejść, trzeba zmusić się do normalnego działania. Rezerwowo nacisnął dzwonek.

Wszystkie pokoje na oddziale położniczym były do siebie podobne. Emma zastanawiała się, czy w tym właśnie pokoju urodziła Sarę i Filipa. To było już prawie dziesięć lat temu. Jej się wydawało, że to niemal cała wieczność, kiedy wprawnymi ruchami rąk przenoszono ją na łóżko dla rodzących. Rozwarcie było na siedem centymetrów i wszystko szło szybko. Młoda, ubrana na biało pielęgniarka miała wesołe oczy i blond włosy upięte na środku głowy. Uspokajająco poklepała Emmę po ramieniu, notując zarazem zapis bólów na krzywej.

– Położymy panią od razu tutaj, bo to już nie potrwa niedługo. Niebawem nastąpi całkowite rozwarcie.

Bóle pojawiały się niczym wybuch wulkanu, wzmagaly się stopniowo i aż się jej ciemno przed oczami robiło, kiedy nagle eksplodowały niczym fajerwerki cierpienia, aby po chwili powoli ustąpić. Potem krótki oddech przed kolejnym atakiem. Bóle nadchodziły i zanikały niczym morskie fale za oknem.

Mimo iż Johan miał do szpitala zaledwie pięć minut drogi, Emma nie zadzwoniła do niego, kiedy zaczęły się bóle, mimo iż mu to obiecała. To wszystko było tak skomplikowane, że wmówiła sobie, iż najlepiej będzie, jeżeli urodzi dziecko bez niego, ale teraz żałowała swojej decyzji. Przecież to fakt, że Johan jest ojcem jej dziecka. Co by się zatem stało, gdyby pozwoliła mu udzielić jej teraz wsparcia? Jej duma graniczyła z oślim uporem. Leżała teraz zboląta całkiem sama i mogła winić za to tylko siebie. To ona zadecydowała, że ma go nie być tutaj w tej chwili, by dzielił z nią to doświadczenie. A mógłby potrzymać ją za rękę, pocieszyć, pomasować jej obolałe plecy.

Oddychała tak, jak zalecano na kursach w szkole rodzenia, kiedy była w ciąży z Sarą. Jednak teraz wszystko było inaczej. Wtedy oboje – i ona, i Olle – byli tacy szczęśliwi. Jego twarz mignęła jej przed oczami. Ćwiczyli wspólnie, jak należy oddychać i przygotowywali się przez kilka tygodni do radzenia sobie z bólami, a ona pokazywała mu, w jaki sposób ma ją masować.

– To już tylko kwestia kilku minut – łagodnie powiedziała pielęgniarka i otarła Emmie pot z czoła.

– Chcę, żeby przyszedł Johan – zajęczała Emma. – Ojciec dziecka.

– Aha. A jak można go powiadomić?

– Można zadzwonić do niego na komórkę. Bardzo panią proszę.

Kobieta zrozumiała, o co chodzi, i szybko wyszła. Powróciła niebawem z przenośnym telefonem. Emma podyktowała numer.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, zanim otworzyły się drzwi i zobaczyła w nich twarz Johana, pełną napięcia i niespokojną. Chwycił ją za rękę.

– No, jak tam?

– Przepraszam – powiedziała, zanim kolejny ból przeszył ją jeszcze mocniej i uniemożliwił dalszą rozmowę. Ścisnęła jego dłoń tak mocno, jak tylko była w stanie.

– Umieram – pomyślała. – Umieram.

– Szyjka jest już całkiem otwarta – powiedziała położna. – Proszę teraz oddychać głęboko. Głęboko. I jeszcze nie przeć.

Emma oddychała niczym zgoniony pies. Bóle porodowe wręcz ją rozrywały, chciały ze sobą porwać. Musiała zbierać wszystkie siły, aby się nie poddać.

– Nie wolno przeć – usłyszała ostrzeżenie położnej.

Jak przez mgłę zauważyła, że wszedł lekarz położnik i oboje z pielęgniarką usiedli gdzieś tam pomiędzy jej szeroko rozchylonymi nogami. Okryto ją prześcieradłem, tak iż w każdym razie zaoszczędzono jej tego okropnego widoku. Jej, która zamierzała urodzić na stojąco albo przynajmniej siedząc przykucnięta. Co za wstyd! Nogi niemal odmówiły jej posłuszeństwa.

Od czasu do czasu budziła się z odurzenia, odzyskując świadomość i widząc, że Johan jest koło niej i trzyma ją za rękę.

Straciła poczucie czasu i miejsca. Słyszała swój histeryczny, mocny dech. Tylko on powstrzymywał ją od parcia. Nagle poczuła, jakby coś z niej eksplodowało. Z trudem do niej dotarło, że załatwiła się pod siebie, nic sobie z tego nie robiąc. Teraz toczyła się walka o życie lub śmierć.

– Proszę jeszcze nie przeć! Nie przeć!

Uparcie powtarzane słowa położnej dźwięczały niczym echo w jej uszach.

Nagle Emma usłyszała znajomy głos. Do pokoju weszła jeszcze jedna położna. Ten duński akcent pamiętała ze swoich wcześniejszych porodów.

– Teraz zrobimy w ten sposób.

Nie obchodziło jej wcale, co się dookoła dzieje. Odplynęła w jakąś próżnię, gdzie nie czuła żadnego bólu. Było jej wszystko jedno, czy teraz tu umrze, czy też nie. Ta myśl przyniosła jej zbawienne ukojenie.

Nigdy nie czuje się śmierci tak blisko jak wtedy, kiedy wydaje się na świat nowe życie – pomyślała.

Nadeszła wyjątkowo ciepła noc. Powietrze wprost dusiło, a w tym ponadstuletnim budynku prawie nie było wentylacji. Schronisko młodzieżowe Warfsholm przypominało willę jakiegoś hurtownika z dziewiętnastego wieku i od początku miało pełnić funkcję łaźni. Był to osobny gmach położony nad samą wodą, który stanowił dodatek do znajdującego się kilkaset metrów dalej na cyplu głównego budynku mieszczącego pensjonat i stołówkę.

Przed schroniskiem rósł równiutko przystrzyżony trawnik, na którym stało trochę mebli ogrodowych. Był tam też mały parking i teren porośnięty prawie dwumetrowymi krzakami jałowca, rosnącymi niczym labirynt, za którym widać już było wysoką trzcinę i morze. Z tyłu budynku znajdował się dwustupięćdziesięciometrowy drewniany most dla pieszych, który prowadził nad wodę i dalej do portu. Wiodła też tamtędy droga do położonej pośrodku wyspy miejscowości Klintehamn.

O tej porze było tu pusto i cicho.

Wieczorem goście długo siedzieli na zewnątrz i napawali się wieczornym ciepłem, ale teraz wszyscy już poszli spać. Lampy oświetlały cały dom, choć właściwie nie było to potrzebne. Noce były o tej porze roku tak jasne, że tak naprawdę zmrok nigdy nie zapadał.

Korytarz na niższym piętrze był zupełnie pusty. Drzwi do pokoi ozdabiały piękne ręcznie malowane tabliczki z napisami: „Grötlingbo”, „Hablingbo”, „Havdhem”. Były to nazwy gotlandzkich osad. Drzwi były pozamykane i nawet najmniejszy dźwięk nie dochodził zza solidnie zbudowanych ścian.

Martina Flochten pociła się w swoim łóżku. Leżała tylko w samych majtkach, zdjęła powłokę z kołdry i otworzyła na oścież okno, ale niewiele to pomogło. Na drugim końcu wąskiego pokoju mocno spała Ewa.

Martinę coś obudziło. Może to ten skwar. Leżała cicho i przysłuchiwała się równemu oddechowi koleżanki. Tej, która mimo wszystko mogła spać. Chciało jej się pić i siusiać zarazem, aż w końcu straciła już nadzieję, że uda jej się ponownie zasnąć. Westchnęła, wstała z łóżka, wciągnęła przez głowę podkoszulek i wyjrzała przez okno. Liście na drzewach,

trawnik i szuwary nad wodą osnute były ciemną mgiełką. Słońce skryło się gdzieś za horyzontem, ale jego blask nie zgasł całkowicie.

Panowała zupełna cisza. O tej porze nie było słyhać nawet morskich ptaków. Spojrzała na zegar cyfrowy stojący na stoliku. Wskazywał godzinę za dziesięć drugą.

Poszła do toalety znajdującej się w połowie korytarza, a potem na palcach wspięła się do góry wąskimi, kręconymi schodami prowadzącymi do kuchni, nalała sobie szklankę wody, otworzyła zamrażalnik, wzięła kilka kostek lodu i wrzuciła je do szklanki. Wpadły do niej z delikatnym pluskiem. Uchyliła wszystkie okna, żeby wpuścić nieco tego przyjemnego nocnego powietrza. Trudno było jej sobie wyobrazić, że przebywa na półkuli północnej.

Ze szklanką w rękę i papierosem, który ukradła z paczki leżącej na kuchennym blacie, wyszła z kuchni i usiadła na trzeszczących drewnianych schodach.

Ta dziko i bujnie rosnąca letnia zieleń pięknie wyglądała w nocnym świetle. Martina naprawdę pokochała Gotlandię.

Jej matka opuściła wyspę, gdy miała osiemnaście lat, aby pracować jako opiekunka do dziecka u pewnej rodziny w Rotterdamie. Planowała zostać w Holandii przez rok, ale poznała ojca Martiny, studenta architektury. Pobrali się i niebawem urodziła się Martina oraz jej brat.

Rodzina co roku przyjeżdżała na wyspę na urlop, zatrzymując się u dziadków w Hemse albo w jakimś hotelu na mieście. Dziadkowie już od dawna nie żyli, a jej matka zginęła w wypadku samochodowym, kiedy Martina miała osiemnaście lat. Rodzina nadal jednak przyjeżdżała na Gotlandię każdego roku.

A teraz była jeszcze zakochana jak nigdy przedtem. Jeszcze miesiąc temu nie wiedziała o jego istnieniu, a teraz nie mogła wręcz bez niego żyć.

Z błogiej zadumy wyrwał ją nagle jakiś szelest dochodzący z zagajnika rosnącego obok schroniska. Opuściła rękę z papierosem i spojrzała w tamtym kierunku. Znow było cicho. To prawdopodobnie był jakiś jeź, bo one zawsze zjawiają się wieczorem. Teraz jednak trzasnęła gałązka. Czyżby ktoś tam był? Spojrzała na równiutki trawnik przed domem, stoły z ławkami, domek do zabaw dla dzieci, linkę do suszenia prania z wiszącym na niej samotnie ręcznikiem w niebiesko-białe paski, krzaki jałowca stojące niczym żołnierze na paradzie. Nagle ta cisza i ten spokój wydały się złowrogie.

Zgasła papierosa i posiedziała jeszcze chwilę, pilnie nadśluchując, lecz ponownie zaległa cisza. Być może tylko się jej wydawało. Nie była przyzwyczajona ani do takich jasnych, magicznych nocy, ani też do bycia zupełnie sama. Jaka ja jestem głupia! – pomyślała. Jestem przecież w słynącej z bezpieczeństwa Szwecji, tutaj nie ma się czego bać.

Nacisnęła kławkę i ciężkie drzwi otworzyły się ze zgrzytem.

Znow coś zaszeleściło, ale tym razem nie chciało jej się już sprawdzać, skąd dochodził ten dźwięk.

Sobota, 3 lipca

Poranne promienie słońca wpadały do wnętrza przez cienkie firanki. Wszędzie panowała cisza. Johan siedział na fotelu przy oknie ze swoją nowo narodzoną córką w ramionach. Leżała sobie tak niczym jakieś zawiniątko w miękkim bawełnianym kocyku, którym ją okryto. Twarz była maleńka i zaczerwieniona, oczy zamknięte, za to usta miała nieco rozchylone.

Pomyślał, jak szybko ona oddycha – jej serce pulsowało w klatce piersiowej niczym u jakiegoś pisklęcia. Trzymał ją w zupełnej ciszy i czuł ciepło oraz ciężar jej ciała. Po prostu nie mógł się na nią napatrzeć.

Johan nie wiedział, jak długo siedział w tej samej pozycji i wpatrywał się w nią. Nogi już dawno mu zdrętwiały. Nie mógł wprost uwierzyć, że ten mały człowieczek w jego ramionach to jego córka. Że będzie nazywać go tatą.

Emma spała w łóżku ułożona na boku. Jej twarz była odprężona i spokojna po tym wszystkim, co wycierpiała jeszcze kilka godzin temu. Próbował jej pomagać, jak tylko mógł. Nigdy nie byłby w stanie wyrazić, jak dramatycznym wydarzeniem może być poród. W samym środku akcji porodowej, kiedy trzymał rękę Emmy, a położna udzielała wskazówek i kierowała całą akcją, zrozumiał doniosłość tego wydarzenia. Emma rodziła nowe życie, to z jej ciała miał wyjść jakiś inny człowiek, by dzięki niemu życie mogło toczyć się dalej. Takie było prawo natury. Nigdy jeszcze nie czuł tak dobrze, co to znaczy żyć. A mimo to była to istotnie walka na śmierć i życie.

Przez kilka krótkich chwil, które mroziły mu krew w żyłach, bał się, że Emma umrze. Kilka razy traciła przytomność, a zatroskana mina położnej nie wróżyła nic dobrego. Problem polegał na tym, że część dróg rodnych była napuchnięta, co zamykało dziecku możliwość wydostania się na zewnątrz. Dlatego nie wolno było przecć, mimo iż szyjka macicy była już całkowicie rozwarta. Macica spuchłaby wtedy bowiem jeszcze bardziej i tym mocniej blokowałaby drogę. To komplikowało akcję porodową do chwili, gdy pojawiła się żona Knutasa, Line, której udało się usunąć ten problem.

Potem wszystko potoczyło się dobrze i po niecałej minucie było już po wszystkim. W tej samej chwili, kiedy dziecko zaczęło płakać, Emma się rozluźniła. Pierwszą rzeczą, jaką

zrobił Johan, było to, że ją pocałował. Podziwiał ją w tym momencie tak bardzo, jak z pewnością nigdy już nie będzie podziwiał żadnego innego człowieka.

Johan znów spojrzał na swoją córkę. Zadrżała jej bródka. Otworzyła jedną rączkę ze swoimi malutkimi paluszkami, rozchylając je niczym wachlarz, po czym znów ją zacisnęła. Wiedział już, że będzie ją kochał przez całe życie, niezależnie od tego, co się wydarzy.

Kiedy w sobotnie przedpołudnie Knutas wjeżdżał samochodem w boczną drogę wiodącą do Lickershamn, westchnął z ulgą. Weekend w domku letniskowym był dokładnie tym, czego potrzebował po całotygodniowym kręceniu się po przeludnionym Visby i poceniu się.

Letnisko było oddalone o niecałe dwadzieścia pięć kilometrów od miasta, a mimo to, kiedy tam przebywał, potrafił odciąć się od codzienności życia w Visby. W drodze do Lickershamn przejeżdżało się obok terenu, na którym obficie występowały strome skały wapienne zwane „raukar”. Knutas zawsze na krótko się tu zatrzymywał. Na tym obszarze znajdowało się kilkanaście większych oraz sporo nieco mniejszych skał. Niektóre z nich miały wysokość sześciu, siedmiu metrów, a część była porośnięta bluszczem, ową tak typową dla gotlandzkiego krajobrazu rośliną. Tablica informacyjna, którą ustawiły tu władze województwa, informowała, że skały te zostały ukształtowane przez Morze Litorynowe jakieś siedem tysięcy lat temu. Knutasa zawsze fascynowały owe skały, przypominające pewnego rodzaju niezgrabnie uformowane rzeźby kamienne. Historia ich powstania była również nie mniej interesująca.

Gotlandzkie podłoże skalne było zbudowane w dużym stopniu z raf koralowych powstałych w tropikalnym morzu czterysta milionów lat temu. Pomiedzy rafami zalegały pokłady skał wapiennych, a kiedy zaczął topnieć lodowiec pokrywający Gotlandię w okresie ostatniego zlodowacenia dziesięć tysięcy lat temu, rozpoczęło się wypiętrzanie lądu. W miejscach, gdzie ląd stykał się z morzem, fale morskie mogły formować skaliste podłoże wyspy. Same rafy były odporniejsze na działanie fal niż inne występujące obok nich skały i ostały się w postaci odizolowanych od siebie słupów.

Najbardziej imponująca skała nosiła nazwę „Dziewica” i królowała na szczycie klifu na wysokości dwudziestu sześciu metrów nad poziomem morza, tuż przy samym wejściu do portu. Dwunastometrowa „Dziewica” była najwyższą skałą wapienną na Gotlandii, a zarazem symbolem Lickershamn. Miejsce to było spokojne. Nieliczne domki były skupione nad

brzegiem małej zatoczki, w pobliżu dwóch pomostów, przy których cumowały łodzie rybackie i rekreacyjne.

Domek letniskowy rodziny Knutasa był położony parę kilometrów dalej. Otynkowany, szary budynek z kamieni wapiennych miał dwie kondygnacje z ościeżnicami okiennymi, futrynami oraz narożnikami w kolorze czerwonego wina. Otaczająca go roślinność była surowa i składała się z niskich, wykrzywionych, skarłowaciałych sosen oraz krzewów jałowca. Parcelę okalało kamienne ogrodzenie, jako że kamieni nigdy nie brakowało w tej części Gotlandii. Cały odcinek od Lumellunda aż po Fårösund na północy nazywano skalnym wybrzeżem.

Petra i Nils niezbyt chętnie dali się namówić na ten wyjazd. Knutas musiał ich skusić obietnicą, że będą mogli popływać łodzią, a wieczorem łowić ryby. Line wysiadła z samochodu i krzyknęła z zachwytu.

– Och, jak tu pięknie – powiedziała i wykonała głęboki wdech. – Poczujcie to powietrze, popatrzcie na morze.

Wnieśli torby z żywnością do domu. Dzieci i Line od razu chciały zejść na wybrzeże, by się wykapać, natomiast Knutas wolał pozostać w pobliżu domu i skosić trawę, mimo iż suche lato sprawiło, że nie było to aż tak pilne.

W ich domu w mieście to przeważnie Line zajmowała się ogrodem. Różnica była taka, iż tutaj, na prowincji Knutas miał święty spokój. Było cicho, nie zjawiał się żaden sąsiad i nie przeszkadzał mu w odpoczynku. Otworzył drzwi do szopy z narzędziami i uderzył go powiew wilgotnego powietrza. Wytaszczył toporną kosiarkę i nalał do niej benzyny. Udało mu się ją odpalić już po dwóch pociągnięciach linki.

Zamierzał posuwać się pasmo po paśmie, słuchać warkotu silnika i nie myśleć o niczym szczególnym. Wszyscy słyszeli hałas i starali się nie przeszkadzać mu w koszeniu. Dlatego się nie spieszył, starał się kosić trawę bardzo dokładnie.

Domek leżał w takiej odległości od pozostałych, że nie był w zasięgu wzroku sąsiadów. Za ogrodzeniem z tyłu domu znajdował się zaciszny kawałek zatoki z plażą, z której korzystali tylko oni, kilku sąsiadów, a czasami również jakiś zabłąkany turysta. Większa plaża w Lickershamn leżała na tyle daleko, że nie przeszkadzali im kąpiący się tam, a jednocześnie na tyle blisko, że dzieci mogły iść tam same, jeśli tylko miały ochotę. Knutas uważał, iż to usytuowanie było idealne. Kiedy skończył, był spocony, mimo iż koszenie samo w sobie nie wymagało większego wysiłku fizycznego. Kosiarka była, praktycznie rzecz biorąc, samobieżna.

Szybko przebrał się w kąpielówkę, zgarnął ręcznik i zszedł na plażę, gdzie reszta jego

rodziny pozostawiła już ręczniki i płaszcze kąpielowe poukładane niezbyt porządknie na jednym miejscu. Uśmiechnął się w duchu, gdy patrzył, jak brodzą w wodzie, wychodząc na brzeg.

Line spięła klamrą swoje długie, rude, kręcone włosy. Miała na sobie strój kąpielowy ze stonowanym kolorystycznie wzorem, dużymi i małymi kropkami w różnych odcieniach różu na błękitnym tle. Jej jasna skóra pokryta była piegami. Ona sama narzekała nieraz, że jest zbyt korpulentna i któregoś razu Knutas na serio wziął jej gadaninę o odchudzaniu. Było to jednak fatalne posunięcie, którego już nigdy nie powtórzy. Na urodziny kupił jej przyrząd gimnastyczny, karnet na serię ćwiczeń oraz informator z całym plikiem wskazówek dla tych, którzy chcą kontrolować wagę. Stwierdzenia, że jego żona nie doceniła takiego prezentu, nie można uznać za przesadzone.

Po ponad piętnastu latach bycia razem Knutas nadal, patrząc na nią, dziwił się, że są małżeństwem. Kochał ją i jej dziarskość. Sprzątała i gotowała z taką samą werwą jak dawniej. Tam, gdzie się pojawiała, wszystko było wielkie i wszystkiego było dużo. Wielkie półmiski, zamaszyste ruchy, wielki hałas. Było ją widać i słyszeć, zajmowała dużo miejsca. Tak jak teraz, kiedy pluskała się w wodzie.

Po kąpieli wypili po filiżance kawy.

Kiedy Knutas patrzył na Line, jak zrzuca z nóg drewniane chodaki i wdzięcznie kręci przy tym stopami, zauważył, że ma piegi nawet na jasnych kostkach. Zamknęła oczy, wystawiając twarz ku słońcu, a Knutas postanowił, że podczas weekendu nie będą rozmawiali o pracy.

Z kuchni czuć było swąd przypalonego mięsa i aromat mocnych przypraw, który docierał do wszystkich zakamarków i kątów. Studenci archeologii gotowali wspólny obiad. Chili con carne bulgotało w ogromnym saganie na kuchence, a wszyscy sobie nawzajem pomagali.

Menu nie było zbyt wykwintne, bo chcieli zdążyć na koncert grupy Ognisty Młyn, który miał się odbyć o godzinie dziewiątej na scenie na wolnym powietrzu koło pensjonatu.

Martina stała przy blacie kuchennym razem ze Stevenem i Ewą i obierała cebulę, aż jej łzy leciały z oczu. Nie tylko jednak z tego powodu. Po wypiciu kilku drinków z tequilą wszyscy mieli wyśmienity humor i co chwila wybuchali śmiechem, gdy ktoś opowiadał jakiś świński kawał.

W schronisku młodzieżowym mieszkało dwudziestu studentów, którzy w tej chwili okupowali całą kuchnię. Inni goście, gdy tylko zajrzeli do pomieszczenia znajdującego się nad krętymi schodami, od razu widzieli, że lepiej będzie poczekać. Właśnie nakrywano trzy stoły, a na stoliku stojącym w kącie przy sofie było pełno butelek i kieliszków. Ktoś przytasczył głośnik. Było wyraźnie słychać, że ten wiecznie eksploatowany magnetofon nastawiono na zbyt dużą głośność jak na jego możliwości. Ktoś pootwierał wszystkie okna z powodu upału, więc odgłosy dochodzące z kuchni słychać było w całej okolicy.

Martina była ubrana w krótkie dżinsy i czarną koszulkę. Rozpuściła swoje blond włosy. Nie przesadzała z makijażem, wiedziała zapewne, iż nie jest jej zbyt potrzebny. Tylko trochę tuszu i błyszczek, więcej nic. Nie mogła się już doczekać spotkania z nim. Nie sądziła, aby ktokolwiek z grupy domyślał się, jakie są ich zamiary. Czasem flirtowała z innymi, ale tylko po to, żeby go podrażnić i popatrzeć, jak się irytuje z tego powodu. Włóczyli się tam po wykopalisku i rzucali sobie w ukryciu krótkie spojrzenia. Zdarzało się też, że pogładził ręką jej ramię czy nogę.

– Czy możesz spróbować, czy czegoś tu jeszcze nie brakuje do smaku? – Ewa dała jej lekkiego kuksańca w bok i podsunęła łyżkę do ust. – Czy wystarczająco przyprawione?

– Jeszcze trochę – odpowiedziała Martina i dosypała więcej chilli. – Musi być mocno wyczuwalne w potrawie.

Wieczorny koncert nie mógł być bardziej udany. Ognistoczerwona tarcza słoneczna utrzymywała się na linii horyzontu, odbijając się niczym połyskujący dywan w morskiej wodzie. Zapach cieleciny z grilla, którą podano niedawno na obiad, nadal unosił się nad okolicą, gdzie odbywał się koncert, a różnorodna publiczność pchała się pod scenę. Dzieci biegały dookoła i bawiły się między rozłożonymi kocami. Kilka osób kapało się w wodzie lśniącej od promieni słonecznych. Grupa motocyklistów w dojrzałym wieku rozsiadła się z butelkami piwa w rękę, aby również posłuchać muzyki. Łagodne, pop-rockowe dźwięki grane przez zespół Ognisty Młyn tak porwały słuchaczy, że większość zaczęła wstawać i tańczyć.

Martina, będąc na lekkim rauszu, odpoczywała zadowolona po całodziennej harówce w terenie. A miała ku temu spore powody. Już prawie pod sam koniec pracy, gdy zbierali się do odejścia, znalazła monetę, arabski srebrnik datowany na 1012 rok. Wszyscy gratulowali jej tego znaleziska, a ją aż kusiło, żeby schować monetę do kieszeni i potem pokazać ją ojcu. Jednak stało się inaczej i zadowolona była tylko krótkim podziwianiem monety z epoki wikingów, którą trzymała w swej dłoni.

Łagodnym i chropowatym głosem wokalista śpiewał teksty piosenek, których nie rozumiała, mimo iż wysilała się, próbując wyłowić w nich coś więcej niż tylko poszczególne słowa. Szybko jednak dała sobie z tym spokój i zaczęła słuchać muzyki oraz tańczyć razem z innymi.

Od czasu do czasu rozglądała się za nim tego wieczora. Kilka razy zdawało jej się, że widzi jego twarz, ale już po chwili uświadamiała sobie zmartwiona, że się jednak pomyliła, że to wcale nie był on. Zastanawiała się, dlaczego nie przyszedł. Jonas wyrwał ją z tych rozmyślań, zapraszając na kufel zimnego piwa, na co z chęcią przystała.

Kilka godzin później siedziała wciśnięta pomiędzy Markiem i Jonasem, zdawszy sobie sprawę, że wypłała za dużo. Niektórzy z jej paczki zebrali się na werandzie w pensjonacie i kontynuowali imprezę wspólnie z kilkoma motocyklistami. Wieczorne powietrze było nadal ciepłe, mimo iż zbliżała się już pierwsza w nocy. Martina straciła nadzieję, że on przyjdzie. Mógł przynajmniej zadzwonić. Sięgnęła do torebki po telefon komórkowy, ale stwierdziła, że go tam nie ma. A że była lekko podpiła, więc się tym zbytnio nie przejęła. Pewnie leży gdzieś

w trawie, poszuka go potem. Dopija zawartość kieliszka i wstała, aby pójść do toalety znajdującej się za rogiem koło głównego wejścia.

Miała ochotę zapalić, ale papierosy jej się skończyły, a w pubie nie można ich było kupić. W pokoju miała jeszcze cały karton, więc postanowiła pójść po jedną paczkę.

Po wyjściu z toalety skierowała się do schroniska. Idąc tam, słyszała jeszcze głośnie i wesołe rozmowy swoich kumpli na werandzie oraz czyjeś brzdąkanie na gitarze.

Kiedy weszła na drogę dla pieszych, biegnącą wzdłuż morza, spostrzegła, jak wielka pustka ją otacza. Przedtem jakoś nie zwróciła uwagi na to, że nie ma tu żadnych zabudowań. Teraz to pustkowie wydawało się wprost namacalne. Krawędź drogi porastały krzewy i drzewa, a w ciemności, która już zapadła, słychać było niewidzialną orkiestrę świerszczy.

Po drugiej stronie, za wodą, hałasowały maszyny pracujące nocą w porcie. Wzdłuż nabrzeża jechała ciężarówka załadowana drewnem. Minęła biały wiatrak do wytwarzania prądu, którego śmigła obracały się bez przekonania na słabym wietrze. Gigantyczny dźwig portowy ze swoimi wielkimi szczypcami górował w powietrzu niczym jakiś potwór. Praca w porcie trwała chyba nieprzerwanie.

Im dalej szło się tą drogą, tym gęściej była ona zarośnięta. Najwyraźniej nikt nie przycinał wierzb rosnących po obu stronach, których wykrzywione gałęzie pochylały się nad drogą i splatały się ze sobą niczym kochankowie w objęciach. Tworzyły taki naturalny tunel, który dla osoby samotnie idącej tu nocą wydawał się przerażający. Martina otrzeźwiała nieco podczas tego spaceru i żałowała teraz, że wyszła z imprezy sama.

Obróciła się, spojrzała do tyłu i stwierdziła, że odległość od reszty towarzystwa była większa niż odcinek dzielący ją od jej pokoju. Czyli równie dobrze mogła już iść dalej. A w dodatku miała taką ochotę na papierosa. Przyspieszyła kroku i robiła wszystko, aby pozbyć się uczucia niepokoju.

Po przejściu paru kroków dostrzegła zarys jakiejś sylwetki majaczącej na jasnym tle jakieś trzydzieści metrów dalej, u wylotu tunelu z drzew. Obleciał ją strach, nagle zaczęła myśleć jasno i trzeźwo. Postać szła naprzeciw niej i powiększała się z każdym krokiem.

W pierwszej chwili chciała zawrócić, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Zmrużyła oczy, aby móc lepiej widzieć. Na początku nie była pewna, czy to mężczyzna, czy kobieta. Mogła jedynie wyróżnić z otoczenia ciemną postać z czapką na głowie, odzianą w czarną kurtkę i spodnie.

Nie było słychać kroków, gdyż ziemia była w tym miejscu bardzo wilgotna.

Kiedy dostrzegła już wyraźnie, że zmierza ku niej jakiś mężczyzna, strach sparaliżował ją tak, że aż rozboleł ją brzuch.

Mężczyzna szedł z lekko pochyloną głową, a pod daszkiem czapki nie widać było rysów jego twarzy.

Mechanicznie podążała do przodu, tak jakby nie było już żadnego odwrotu, żadnej alternatywy. Myśli kłębiły się w jej głowie niczym wystraszone wróble. Co on tu robi w środku nocy? Koncert już dawno się skończył. Ogarnęła ją panika. Szła przed siebie niczym robot zaprogramowany na samounicestwienie.

Nie miała odwagi podnieść wzroku i spojrzeć na jego twarz, kiedy był już teraz tak blisko. Gdy się mijali, wstrzymała oddech. Jeszcze tylko kilka centymetrów, a musnąłby jej ramię. Poczowała jakiś ostry, nieco stęchły zapach, którego nie umiała określić.

Ku jej zaskoczeniu przeszedł obok niej i nic się nie stało.

Metr za metrem wzrastała odległość między nimi, nieznajomy mężczyzna szedł przed siebie ciągle w tym samym tempie i zaczął znikać w oddali. Powoli wrócił jej spokojny oddech.

Naraz zrobiło jej się głupio, że sama dała się tak nastraszyć. Mój Boże, może to był jakiś niewinny facet, który mieszka w pensjonacie i wracał właśnie do siebie. Czasem nawet żał jej było mężczyzn, których podejrzewano o wszystkie możliwe czyny tylko dlatego, że są mężczyznami.

Ścieżka rozszerzała się i Martina ujrzała już światło nad drzwiami wejściowymi do schroniska. Doznała takiej ulgi, że aż jej się nieco zakręciło w głowie. Nie był to ktoś niebezpieczny – przekonywała samą siebie. Ale drugi raz już nie wyjdę – pomyślała. Teraz pragnęła już tylko znaleźć się w swoim bezpiecznym łóżku.

Dostrzegła, że ów mężczyzna zawrócił i szedł za nią, ale zauważyła to dopiero wtedy, kiedy było już za późno.

Niedziela, 4 lipca

Ewa obudziła się, bo w pokoju był upał wprost nie do zniesienia. Z wielkim trudem przewróciła się na brzuch i zakryła głowę poduszką, aby skryć się przed niemiłosiernie rażącym światłem. Odczuwała nieustający ból gdzieś za oczami. Jak długo spała? Była niedziela, a zatem dzisiaj na szczęście nie pracowali przy wykopaliskach. Bulgot w żołądku przypomniał jej, że wypła o wiele więcej, niż powinna. Sądząc po położeniu słońca, była już co najmniej dwunasta. Spojrzała w stronę łóżka Martiny. Nadal było puste, tak jak nad ranem, kiedy Ewa wróciła z imprezy.

Ziewnęła, zwlokła się z łóżka i wyszła na korytarz, żeby wziąć prysznic. Kiedy wróciła, okazało się, że nie było jeszcze dziesiątej.

Mark i Jonas z trudem ukrywali swoje rozczarowanie, kiedy zdali sobie sprawę, że Martina nie wróci już do nich po tym, jak poszła do toalety. Obaj mieli najwyraźniej nadzieję, że jednak dojdzie do czegoś między nimi. Ewa myślała, podobnie jak oni, że Martina poszła spać. Trzeźwa przecież nie była. Tak się widać jednak nie stało. Pewnie kogoś spotkała.

Ewa wyrzała przez ono, jakby Martina miała w każdej chwili pojawić się na drodze. Poszła do kuchni, zrobiła sobie śniadanie i zaparzyła dzbanek mocnej kawy. Po chwili zjawił się też Jonas, usiadł koło niej z filiżanką herbaty i kilkoma tostami. Trochę pogadali o wczorajszym wieczorze, a on zaraz potem zaczął się zastanawiać, gdzie jest Martina.

– Tak naprawdę to nie wiem, gdzie ona jest. W każdym razie na pewno nie spała tej nocy w swoim pokoju.

Dobrze mu tak! Nie lubiła Jonasa, który był zadufanym w sobie, upartym typem i trzeba mu było dać trochę popalić.

– Nie spała w pokoju? – zastygł bez ruchu, trzymając w ręce szklankę, którą podnosił do ust.

– Nie. Jej łóżko jest nietknięte – odparła Ewa z kiepsko skrywaną, złośliwą satysfakcją w głosie.

– To może coś jej się stało.

– E tam, przestań. Spała pewnie u jakiegoś chłopaka. Było przecież kilku takich na koncercie, którym wpadła w oko. Nie widziałeś tego wysokiego blondyna ze Sztokholmu, z

którym tańczyła? Pewnie u niego siedzi. Mówiła, że fajny z niego gość.

Twarz Jonasa pobladła.

– Przecież to może być jakiś okropny typ, zupełnie nieznany facet. Czy on tu mieszka?

– Ależ mój drogi! Przecież Martina nie jest dzieckiem. Umie zadbać o siebie, przecież do licha jest dorosła. A zresztą, nie mam pojęcia, gdzie on mieszka.

Ewa spokojnie znów wzięła się do picia mleka.

W niedzielę po południu uczestnicy kursu zebrali się, żeby pograć trochę w siatkówkę na plaży, ale Martina nadal się nie zjawiała. Ewa kilkakrotnie próbowała dzwonić do niej na komórkę, ale nikt nie odpowiadał. Mogłaby przynajmniej dać znać – pomyślała poirytowana. Właściwie to nie znała Martiny dobrze, bo przebywały razem dopiero od paru tygodni. Wprawdzie łatwo się ze sobą dogadywały, zarówno w pracy przy wykopaliskach, jak i w wolnym czasie, ale Ewa tak naprawdę niewiele o niej wiedziała. Żadna z pozostałych osób nie widziała w tym nic dziwnego, że nadal jej nie ma.

Ewa próbowała uwolnić się od ogarniającego ją coraz bardziej uczucia niepokoju. Być może była głupia, ale jednak już całkiem na serio zaczęła się zastanawiać, czy jej koleżance coś się nie stało. Tym bardziej że Jonas i Mark kręcili się ciągle wokół niej, pytając, gdzie jest Martina.

Poniedziałek, 5 lipca

Kiedy następnego ranka Martiny nadal nie było, Ewa postanowiła zadzwonić do kierownika prac archeologicznych Staffana Mellgrena, mimo iż nie było jeszcze szóstej rano. Nie obchodziło jej, czy go obudzi, czy też nie. Większą część nocy przeleżała, nie zmrużywszy oka, gdyż coraz bardziej się bała. Zaspany Staffan odebrał telefon dopiero po kilkunastu dzwonekach. Szybko jednak obudził się na dobre, kiedy usłyszał, że jedna z jego studentek zniknęła.

– Nie ma jej już od sobotniej nocy? – zapytał zdenerwowany.

– Tak.

Ewa żałowała teraz, że nie zadzwoniła do Staffana wcześniej.

– Byliśmy na koncercie, a potem nasza paczka siedziała na werandzie w pensjonacie.

Martina poszła do toalety i już nie wróciła. Myśleliśmy, że poszła spać.

– Która była wtedy godzina?

– Pierwsza, a może druga. Nie patrzyłam na zegarek.

– A co wy wtedy robiliście?

– Siedzieliśmy i gadaliśmy.

– I nikt nie poszedł po nią, kiedy stwierdziliście, że nie wróciła?

– Nie.

– Jak długo jeszcze siedzieliście po jej odejściu?

– Godzinę, może dwie.

– Czy ktoś z was widział ją potem?

– Nie, w każdym razie żadna z osób, które tam wtedy siedziały.

– Czy Martina nie dała znaku od tej pory?

– Nie.

– Czy jesteś pewna, że nie spała w swoim łóżku przez dwie noce?

– Tak, oczywiście – powiedziała głosem, który zaczął lekko drżeć.

Nie mogła powstrzymać się od płaczu i w końcu się rozplakała.

Przeraził ją poważny ton głosu Staffana. Jego reakcja potwierdziła, że jej niepokój o koleżankę był jednak uzasadniony.

– Musimy zadzwonić na policję. To jedyna sensowna rzecz w tej sytuacji.

– Tak pan sądzi?

– Oczywiście. Coś musiało się jednak stać. Inaczej na pewno by się odezwała. Czy rozmawiałaś z recepcjonistką?

– Nie.

– To zrób to, a ja w tym czasie zadzwonię na policję.

Na miękkich nogach pobiegła do recepcji w budynku głównym. Recepcjonistka знаła Martinę, ale jej nie widziała. zaproponowała, że rano zapyta o to pozostały personel. Ewa rzuciła się na krzesło. Raz jeszcze wybrała numer komórki swojej koleżanki. Tym razem nie włączyła się już poczta głosowa, lecz usłyszała w słuchawce głos beznamiennie oznajmiający: „Połączenie z osobą, do której dzwonisz, nie jest obecnie możliwe”.

Knutas i Karin postanowili podjechać do Warfsholm, ponieważ Martiny Flochten nie widziano od ponad doby i nikt nie wiedział, gdzie mogłaby przebywać. Nie kontaktowała się ani z rodziną, ani ze swoim chłopakiem w Holandii.

Nie mieli też właściwie niczego ważniejszego do roboty. Nastąpiła letnia posucha, a śledztwo w sprawie odciętego końskiego łba toczyło się bardzo powoli. Nadal nie wiedzieli, kto popełnił ten czyn i gdzie podział się łeb.

Najpierw sprawdzili u recepcjonistki, czy nie zginęły rzeczy osobiste Martiny przechowywane w sejfie w budynku głównym. Było tam wszystko: paszport, karta kredytowa VISA i polisy ubezpieczeniowe. A więc nie opuściła kraju, a przynajmniej nie dobrowolnie.

Na schodach prowadzących do głównego budynku spotkali współlokatorkę Martiny, Ewę Svensson. Była to ciemna blondynka z włosami sięgającymi ramion, ubrana w białą bawełnianą koszulkę, spódniczkę i sandały. Idąc razem w kierunku schroniska, rozmawiali o Martinie.

– Czy ma chłopaka? – zapytała Karin.

– Ma chłopaka w Holandii, a przynajmniej miała, kiedy tu przyjechała. Mnie się jednak wydaje, że ona poznała kogoś tutaj, na Gotlandii.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo często nie było jej z nami, a czasem nawet ulatniała się bez słowa.

– Czyli to nie jest nic nadzwyczajnego, że zniknęła?

– Z tą tylko różnicą, że tym razem nie zadzwoniła. A dotąd zawsze to robiła.

– Czy dobrze znasz Martinę?

Knutas z uwagą obserwował młodą kobietę.

– Dość dobrze. Od razu przypadłyśmy sobie do gustu i fajnie nam było ze sobą na początku. Przez dwa pierwsze tygodnie tego naszego kursu uczyliśmy się teorii w szkole wyższej w Visby i wtedy cały czas chodziłyśmy razem do miasta. A potem Martina zaczęła wieczorami zniknąć gdzieś sama. W drugim tygodniu prawie już jej nie widywałam.

- Czy w Visby też mieszkaliście razem?
- Nie, każdy miał w akademiku własne mieszkanie i dlatego wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy tyle o sobie. A potem, jak nas przenieśli tutaj, do Warfsholm, to często znikawała gdzieś sama. Tłumaczyła się, że ma różne sprawy do załatwienia albo że musi trochę pomedytować na osobności, ale ja tam w to nie wierzę. To nie jest ten typ człowieka.
- Czy przedtem też już znikawała na całą noc?
- W zeszłym tygodniu raz spędziła całą noc poza schroniskiem. Twierdziła, że ma się spotkać z przyjaciółmi swojej rodziny w Visby. Bo oni tu przyjeżdżają na urlop.
- Czy wiesz, co to są za ludzie? Ci przyjaciele?
- Nie, właściwie nigdy jej o to nie pytałam, a ona sama też nic nie mówiła. Ja nie jestem przecież stąd, więc mnie by to i tak nic nie powiedziało.
- Czy możliwe, że po prostu jest teraz znowu u nich?
- Nie sądzę. Zadzwońmy.
- Skoro ma tutaj chłopaka, to kto mógłby nim być? – zastanawiała się Karin.
- Nie mam pojęcia. Próbowałam wycząć podczas naszego kursu, czy łączy ją coś z kimś z grupy, ale trudno to ocenić, bo ona rozmawia i żartuje ze wszystkimi.
- Dlaczego jej nie zapytałaś?
- Próbowałam, ale ona od razu zmienia temat, gdy tylko zaczyna się poruszać tę kwestię.
- Z kim oprócz uczestników kursu oczywiście mogłaby się jeszcze spotykać? Życie tu w dość dużym odosobnieniu od reszty, prawda?
- Tak, to prawda, ale są też przecież i inni goście, na przykład w pensjonacie i na kempingu, który jest niedaleko stąd. A poza tym może to być też ktoś, kogo poznała w Visby już wcześniej.

Kiedy przekroczyli próg schroniska, od razu zauważyli, że budynek zachował swój tradycyjny charakter, mimo iż poddano go renowacji. W hallu wisiała tablica ogłoszeń z regulaminem omawiającym wszystkie kwestie, począwszy od imprez, aż po wyprawy na ryby i pralnię. Z górnego piętra czuć było zapach grzanek, słychać też było przytłumione głosy. Pokój Martiny i Ewy znajdował się na parterze, prawie na końcu korytarza. Był dość długi, ciasny i miał okno na jednej z krótszych ścian. Po każdej stronie stało niezbyt okazałe, metalowe łóżko piętrowe i prawie nie było już między nimi miejsca. Na jednej ścianie zamontowano umywalkę i nad nią lustro. Wszystkie wolne miejsca były zavalone jakimiś rzeczami: na szerokim parapecie okiennym stał magnetofon, a także lakier do włosów,

szminki, perfumy, lakier do paznokci, torebki chipsów i płyty CD. Ubrania były porozkładane dookoła lub też wisały na łózkach. Kilka książek o epoce wikingów zdradzało, że zamieszkują tu studenci archeologii. Knutas zrezygnował z oględzin pokoju już w drzwiach, gdy tylko zobaczył cały ten bałagan, i pozwolił Karin samej przeszukać pokój. I tak zresztą nie byłoby w nim miejsca dla nich obojga.

Usiadł na zewnątrz, tym razem zapalił fajkę, co było dla niego nietypowe, i przeprowadził kilka rozmów telefonicznych, aby upewnić się, czy rozpoczęto blokadę. Rozmawiał też z Erikiem Sohlmanem, który chciał jeszcze poczekać ze zbieraniem dowodów w pokoju Martiny. Jak na razie nic bowiem nie wskazywało na to, iż dokonano zbrodni.

W tym czasie Karin na własną rękę przeszukiwała pokój. Ewa wskazała, która część należy do Martiny, i Karin rozpoczęła systematyczne przeszukiwanie jej rzeczy. Była tam kosmetyczka ze szczoteczką do zębów i blister tabletek antykoncepcyjnych, z którego można było wnioskować, że Martina nie wzięła tabletki od piątku, drugiego lipca, czyli od kilku dni. Gdyby sama planowała jakieś wyjście, wzięłaby ze sobą kosmetyczkę – pomyślała Karin i otworzyła torbę podróżną wciśniętą pod łóżko. Oprócz ubrań było tam kilka książek, napoczęty karton papierosów i zestaw szminek. W jednej kieszeni znalazła zdjęcie młodego mężczyzny o ciemnych włosach i piwnych oczach. Karin odwróciła fotkę, ale na odwrocie nie było żadnego opisu.

Schowała sobie to zdjęcie, aby potem zapytać o nie Ewę, i rozejrzała się po ciasnym pokoju. Nie było dużo więcej przedmiotów do przeszukania. Oprócz łóżka oczywiście. Ostrożnie uniosła kołdrę ze wzorem w małe kwiatki. Coś zaszeleściło i pod poduszką znalazła stronę wyrwaną z gazety. Usiadła na brzegu łóżka i rozłożyła poskładaną kartkę. Był to artykuł z gazety „Gotlands Allehanda”, który donosił o pierwszym letnim kursie archeologicznym. W artykule była mowa o tym, czym się będą zajmować uczestnicy i skąd pochodzą. Jedno ze zdjęć ukazywało kierownika prac archeologicznych Staffana Mellgrena oraz kilku uczestników kursu pracujących na terenie wykopalisk. Karin ze zdumieniem przyjrzała się artykułowi. Dlaczego Martina trzymała go pod poduszką?

To jest przecież chyba takie miejsce, gdzie – może nawet w tajemnicy – chowa się to, co jest dla człowieka bardzo wartościowe?

Staffan Mellgren uśmiechał się szeroko do aparatu, reszta była widoczna w tle. Musiał mieć ze dwa razy tyle lat co Martina. Wiedziała, że jest żonaty i ma dzieci. Był znaną osobą na Gotlandii, bo pracował w szkole wyższej i prowadził wykopaliska archeologiczne. Czyżby coś ich łączyło? Czy miał jakiś związek z jej zniknięciem?

Karin wyszła pośpiesznie, żeby poszukać Knutasa.

Johana obudziło jakieś trzaśnięcie na dworze. Z trudem zwłókł się z łóżka i odsłonił żaluzję.

Do cukierni znajdującej się po drugiej stronie ulicy przywieziono właśnie, jak zresztą co dzień, świeże pieczywo. Samochód dostawczy stał zaparkowany pośrodku wąskiej uliczki, a kierowca wyjmował skrzynki, które umieszczał na wózku. Pracownik cukierni zabierał wózek i z łoskotem znikał w drzwiach prowadzących na zaplecze. Oznaczało to, że nie ma jeszcze szóstej. Johan powrócił do łóżka, jęcząc i naciągnął kołdrę na głowę. Dostawy docierały o szóstej rano w dni robocze i o ósmej w pozostałe. Tego zdążył się już tutaj nauczyć. Gdyby z góry wiedział, jak bardzo będzie tu „terroryzowany” każdego ranka, to zażądałaby od centrali w Sztokholmie wynajęcia innego mieszkania.

Otulony ciepłą kołdrą, leżał i myślał o Emmie i o swym nowo narodzonym dziecku. Przez weekend był z nimi praktycznie bez przerwy. Nie pozwolono mu przenocować w szpitalu, gdyż był już przepełniony i Emma musiała dzielić pokój z dwiema innymi kobietami w położu.

Poród Emmy był jak dotychczas największym wydarzeniem w jego życiu. Fakt, że został ojcem, oszołomił go bardziej, niż kiedykolwiek mógłby to sobie wyobrazić.

W sobotę jego matka przyleciała ze Sztokholmu razem z jego najmłodszym bratem. Wprost nie posiadała się ze szczęścia, iż została babcią. To była jej pierwsza wnuczka. Ojciec Johana zmarł kilka lat temu i od tej pory matka prowadziła coraz bardziej samotny tryb życia. Johan zawsze był bardzo z nią związany i wiedział, że brakuje jej go teraz, kiedy pracował na Gotlandii. Jako starszy syn w pewnym sensie zastępował zmarłego ojca.

Wraz z przyjściem na świat jego dziecka zrozumiał, że to się zmieni. Od tej pory będzie musiał na pierwszym miejscu stawiać własną rodzinę. Nagle został ojcem z całkowicie nowym zakresem odpowiedzialności. Ta myśl zarówno go fascynowała, jak i przerażała.

Macierzysta redakcja w Sztokholmie przesłała mu kwiaty, ale Grenfors oczekiwał, że Johan powróci do pracy zaraz po weekendzie. Uzgodnili, że skoro przebywa ciągle na

wyspie, to swój urlop „tacierzyński” wykorzysta dopiero jesienią. Teraz żałował tej decyzji, bo chciał spędzać jak najwięcej czasu ze swoją rodziną.

Natrętny sygnał komórki przerwał jego rozmyślania. Trzeba zmienić dzwonek – pomyślał, wstając z łóżka i wygrzebując telefon spod ubrań leżących w nieporządku na krześle. Teraz już inaczej niż dotychczas reagował na sygnał telefonu, bo to przecież mogła być Emma.

Tym razem dzwonił jednak Niklas Appelkvist, jeden z niewielu przyjaciół od serca, jakich Johan miał na Gotlandii. I chociaż Niklas był od niego o dziesięć lat młodszy, to jednak bardzo lubili spędzać czas razem, do czego zapewne przyczyniało się ich wspólne zainteresowanie muzyką rockową z lat sześćdziesiątych. Johan poznał młodego studenta archeologii rok wcześniej, gdy zajmował się sprawą pewnego morderstwa. Niklas był sąsiadem fotografa prasowego, który przeszedł na wcześniejszą emeryturę i którego znaleziono zabitego w piwnicy. Pomógł wtedy Johanowi w pracy, udzielając mu szeregu ważnych informacji. Kiedy Johan przeprowadził się na wyspę, zaczęli się widywać częściej.

– Hejka. Co u ciebie?

– Wszystko w porządku – odrzekł Johan, po czym odchrząknął i wstał z trudem. – W piątek zostałem ojcem.

– No to super! Naprawdę? A co ci się urodziło?

– Dziewczynka – odpowiedział Johan i poczuł, jak się uśmiecha.

– Czy wszystko poszło dobrze?

– Przez pewien czas sytuacja była dość krytyczna, ale potem już jakoś poszło. Fajna jest, waży trzy kilo siedemdziesiąt i ma pięćdziesiąt jeden centymetrów długości.

– Świetnie! A jak się czuje Emma?

– Dobrze, choć jest oczywiście zmęczona.

– No to musimy to oblać! – krzyknął z entuzjazmem Niklas. – Stawiam piwko wieczorem.

– Dzięki, ale dzisiaj to nie wypali. Odbieram Emmę i dziecko z porodówki. Musimy to przełożyć na inny dzień.

– Okej. Wiesz co, słyszałem o takiej jednej dziewczynie, która może cię zainteresować.

– A dlaczego?

– Zaginęła dziewczyna, studentka archeologii. Jest na obozie archeologicznym organizowanym przez naszą uczelnię. Ludzie z całego świata przyjeżdżają i pracują w lecie przy wykopaliskach.

– A od jak dawna już jej nie ma?

– Od sobotniej nocy. W schronisku Warfsholm, gdzie mieszka, wszyscy są nieźle podenerwowani. Wszystko wskazuje na to, że znikła po koncercie Ognistego Młyna w sobotę, bo od tego czasu nikt jej już nie widział. Znam jedną dziewczynę, która też tam się udziela i pomaga w tym kursie. To ona właśnie mi o tym powiedziała.

– To ktoś przychodzi do ciebie w gości o tak wczesnej porze?

– Powiedzmy raczej, że tak późno ode mnie wychodzi.

– Jak ona się nazywa?

– Ta dziewczyna, która zaginęła, czy mój gość?

– Ta, która zniknęła, oczywiście.

– Martina jakoś tam.

Johan usłyszał, jak Niklas gadał z kimś w oddali.

– Martina Flochten. Pochodzi z Holandii.

– Flochten – powtórzył Johan. – Ile ma lat?

– Jest dość młoda. Tak koło dwudziestki.

– Okej. Dzięki ci!

Cholera, ale źle się składa! Niczego bardziej nie pragnął, jak pojechać do Emmy i do dziecka, ale był też jedynym reporterem telewizyjnym na wyspie. To zniknięcie trzeba sprawdzić, nawet jeżeli jeszcze niewiele wiadomo na ten temat. Zadzwoił do szpitala. Pielęgniarka, która odebrała telefon, poinformowała go, że Emma i dziecko czują się dobrze i w tej chwili oboje śpią. Muszą jednak pozostać na porodówce dłużej, niż planowano, bo laktacja nie jest jeszcze taka, jak trzeba.

Kobieta musiała wyczuć w jego głosie zaniepokojenie, bo zapewniła go, że tak niekiedy bywa i że nie ma powodu do obaw. Laktacja na pewno unormuje się w ciągu kilku dni. Zastanawiał się, czy jego życie, odkąd został ojcem, będzie teraz tak właśnie wyglądać, że będzie się ciągle o wszystko obawiał.

Była za kwadrans dziewiąta. Zadzwoił do Knutasa, ale dowiedział się tylko tyle, że komisarz jest zajęty przez całe przedpołudnie i że nikt inny nie może czy też nie chce się wypowiadać w sprawie zaginionej kobiety. Wziął zatem prysznic, ogolił się, szybko zjadł kanapkę i wypił kawę, a potem zadzwonił do Pii. Miała przyjechać po niego za piętnaście minut. Postanowili na razie pojechać do pensjonatu i schroniska Warfsholm.

Pensjonat mieścił się w drewnianym, pomalowanym na żółto budynku z przełomu wieków, zwieńczonym piękną wieżyczką. Leżał na cyplu nad samym morzem. Z jednej

strony budynku znajdowała się sielankowa piaszczysta plaża. Za nią widać było ptasi rezerwat o nazwie Vivesholm, którego cypel prowadził prosto do morza. Od drugiej strony dość ostro kontrastował z nim port z silosami i elektrownią wiatrową.

Kiedy Johan i Pia zatrzymali się na parkingu, dostrzegli samochód policyjny oraz dwóch umundurowanych policjantów chodzących po plaży i rozmawiających z wypoczywającymi tam rodzinami z dziećmi. Zeszli nad wodę i podziwiali panoramę ptasich wysp – Wielkiej i Małej Wyspy Karla.

– Co to jest? – zapytał Johan, wskazując na coś, co sterczało z wody kawałek przed wejściem do portu.

– To wrak barki o nazwie „Benguela”, która osiadła tu na mieliźnie. Było to już chyba ze dwadzieścia lat temu.

– Co się z nią stało?

– Płynęła z Södertälje do Klintehamn. Wypadek zdarzył się zimą i jeśli się nie mylę, wczesnym rankiem. Była mgła i silny wiatr, a barka weszła na mieliżnę tak głęboko, że nie udało się jej ściągnąć.

– A co się stało z załogą?

– Wydaje mi się, że wszyscy się uratowali.

– Dlaczego nigdy jej stąd nie ściągnęli?

– Chodziło chyba o jakąś lukę prawną, która powodowała, że armatora nie można było pociągnąć do odpowiedzialności, a właściciel twierdził, że nie stać go na ściągnięcie statku. Dlatego został tam na dobre.

– Nie do wiary – Johan pokiwał głową.

– Prawda? Przedtem było widać znacznie więcej. Pewnie rdzewieje i rozsypuje się. Nie potrwa długo, jak w końcu całkiem zniknie pod wodą.

Na razie dali spokój policjantom i poszli w stronę wejścia do pensjonatu, gdzie byli umówieni z właścicielką Kerstin Bodin.

Była to drobnej postury brunetka, która na ich widok uśmiechnęła się przyjaźnie, choć było po niej widać zmęczenie.

Usiedli przy stoliku stojącym na wolnym powietrzu. Było stąd widać port. Pia nie usiadła zbyt długo i zaraz gdzieś zniknęła ze swoim aparatem.

– To taka przykra sprawa – powiedziała Kerstin. – Oczywiście jeszcze nie wiadomo na pewno, czy coś złego jej się stało. Ale wystarczy tylko pomyśleć. Boję się bardzo, że się utopiła i że ją tu gdzieś wyłowią. Nigdy nic nie wiadomo, a ona podobno była nieźle podpiita, gdy zaginęła.

– Zna pani Martinę?

– Trochę ze sobą rozmawiamy. Mam z nią chyba lepszy kontakt niż inni. To bardzo miła, otwarta i wesoła dziewczyna. A do tego jej matka pochodziła z Gotlandii i Martina nieraz już była tu u nas na wyspie.

– A skąd pochodziła jej matka?

– Z Hemse. Jednak zarówno matka, jak i dziadkowie już nie żyją. Martina mówiła, że nie ma już tutaj żadnych krewnych. Ale mimo to przyjeżdża tu latem na tydzień albo dwa.

– Czy wie pani może, gdzie się wtedy zwykle zatrzymuje?

– Z tego co wiem, to prawie zawsze mieszkają w hotelu Wisby. Mają tam pewnie do dyspozycji specjalny apartament. Mówiła, że jej ojciec zna właściciela tego hotelu.

– Aha. A jak on się nazywa? Albo ona. – Johan natychmiast się poprawił, bo w tej chwili siedział przecież naprzeciw właściciela hotelu, którym była kobieta.

Kerstin uśmiechnęła się lekko.

– Nazywa się Jacob Dahlén. Chodziliśmy razem do tej samej klasy w podstawówce.

– To może Martina jest właśnie tam?

– Nie sędzę – powiedziała Kerstin, potrząsając przecząco głową. – Dlaczego by się w takim razie nie odzywała? Przecież na pewno musi zdawać sobie sprawę z tego, jak tu się wszyscy o nią niepokoją.

– Tak, to prawda – zgodził się Johan.

Wątek właściciela hotelu w Visby był interesujący, więc trzeba by go później sprawdzić.

Z kieszeni na piersi swej płóciennej bluzki Kerstin wyciągnęła telefon komórkowy i wybrała jakiś numer. Kiedy ktoś się zgłosił, wstała i poszła w stronę ogrodzenia okalającego stoliki stojące na wolnym powietrzu. Podskoczyła, usiadła na ogrodzeniu i rozmawiała przez telefon. Siedząc tak i bujając nogami, wyglądała jak mała dziewczynka. Johan natychmiast zaczął myśleć o swojej nowo narodzonej córeczce. Za ileś lat ona też będzie mogła tak siedzieć. Kerstin powróciła do stolika.

– Jacob Dahlén nic nie wie – powiedziała. – Był zszokowany. Powiedział mi, że nawet nie wiedział, że Martina jest teraz na Gotlandii.

Znalezienie przez Karin pod poduszką Maruny kartki z gazety ze zdjęciem sprawiło, że postanowili pojechać jeszcze do Fröjel, leżącego niecałe dziesięć kilometrów od Warfsholm, i porozmawiać z kierownikiem prac archeologicznych Staffanem Mellgrenem.

Przy kościele Knutas skręcił z głównej drogi i zaparkował przy zlikwidowanej szkole. Obecnie mieściła się tam kawiarnia, a w trochę mniejszym pomieszczeniu prezentowano przedmioty pochodzące z wykopalisk.

Na teren samych wykopalisk prowadziła wąska ścieżka. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli Staffana Mellgrena krążącego wśród kopiących kursantów. Ziemia była podzielona na kwadraty głębokość kilkudziesięciu centymetrów. W niejednym wykopie widać było fragmenty szkieletów i inne przedmioty, których nie umieli zidentyfikować. Na podłużnym stoliku stojącym pośrodku tego terenu leżały plastikowe torby oznakowane różnymi etykietkami oraz teczki i mapy. Mellgren zatrzymał się i odnotował coś w jednej z teczek. Kiedy powiedzieli mu „dzień dobry”, podniósł głowę i spojrzał na nich. Był to wysoki mężczyzna o atletycznej budowie ciała, ciemnobrązowych oczach i gęstych, ciemnobrązowych włosach, leciutko już szpakowatych. Ma chyba czterdzieści kilka lat – pomyślała Karin i musiała przyznać, że świetnie wyglądał, był nawet bardziej atrakcyjny niż na tych zdjęciach, które widziała.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem o zniknięciu Martiny Flochten – rozpoczął Knutas.

– Oczywiście. Chwileczkę – powiedział Mellgren. Zwrócił się do młodej kobiety w sąsiednim wykopie, zapytał o coś, czego nie dosłyszeli i nagryzmoilił jakieś niezrozumiałe esy-floresy w jednej z teczek.

Na stole w torebkach plastikowych leżały różne przedmioty, fragmenty kości lub narzędzi. Karin aż wykrzyknęła z zachwytem, kiedy ujrzała woreczek ze srebrną biżuterią i drugi ze srebrnymi monetami.

– Co potem robicie z tym wszystkim? – zwróciła się do Mellgrena, który najwyraźniej

zakończył już robienie notatek.

– Każdy przedmiot, jaki znajdujemy, podlega dokumentacji – wskazał zamasyżycie ręką teren za nimi. – Te kwadratowe pola nazywamy wykopami. Dzielimy ziemię w ten sposób, aby ułatwić zarówno samo kopanie, jak i dokumentację. Przedmioty, które znajdujemy, umieszczamy w worku, na którym zapisujemy dokładnie, gdzie i kiedy dany przedmiot został wykopany, w którym wykopie i na jakiej głębokości. Pod koniec każdego dnia pracy wszystko jest zamykane w tych pojazdach, koło których przechodzili państwo, idąc tutaj. Następnie materiał zabiera się do naszego pomieszczenia na uczelni, gdzie jest sortowany i badany. Na koniec jest magazynowany w tak zwanej Sali Dawnej.

– Czy możemy gdzieś usiąść i porozmawiać? – zapytał Knutas.

– Oczywiście.

Mellgren zaprowadził ich ku jednemu z narożników na terenie wykopalisk, gdzie stał plastikowy stolik i kilka zwykłych krzeseł.

– Jak długo trwają wykopaliska w tym miejscu? – spytał z ciekawością Knutas, kiedy już usiedli.

– Chodzi panu o obecne wykopaliska, w trakcie kursu? Niebawem zaczynamy już trzeci tydzień.

– To znaczy, że się tu wszyscy już dość dobrze znacie?

– Raczej tak. Dość długo przebywamy ze sobą.

– Wieczorami też?

– Nie zawsze, ale są też wykłady wieczorne i inne zajęcia. Czasami jemy też razem obiad. Odpowiedzialność kierownika tych prac nie wygasa wraz z zakończeniem dnia pracy.

Mellgren uśmiechnął się lekko.

– Jakie jest pańskie zdanie o Martinie?

Kierownik prac archeologicznych znów spoważniał.

– Jest zdolna jak na swój wiek i ma sporą wiedzę na temat epoki wikingów. Poza tym jest uważna i pełna entuzjazmu, który udziela się też innym osobom w grupie. A więc to niezaprzeczalnie bardzo cenny członek naszej grupy.

– Co sądzi pan na temat jej zniknięcia? – zapytała Karin.

– Dla mnie to niezrozumiałe. Jestem pewien, że odezwałaby się do nas, gdyby wszystko było w porządku. Obawiam się, że stało jej się coś złego. Nie wiem, jak długo jeszcze będziemy mogli kontynuować wykopaliska, jeżeli wkrótce nie pojawi się znów wśród nas. Jej zniknięcie spowodowało ogromny niepokój w całej grupie.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

Knutas uważnie przyglądał się kierownikowi.

– W sobotę, pod koniec pracy w tym dniu. Pojechała do domu autobusem wraz z innymi uczestnikami. Zresztą tak jak zwykle.

– Która to była godzina?

– Coś koło czwartej, jak sędzę. Wszyscy mieli iść na ten wieczorny koncert i byli dość rozweseleni, kiedy odjeżdżali.

– Ale pan nie poszedł na ten koncert?

– Nie. Byłem w domu z rodziną.

– Ach tak.

Knutas zapisał coś w swoim notesie.

– Czy może pan opisać stosunki między panem a Martiłą?

– Są dobre. Jak już mówiłem, bardzo dobrze się sprawuje.

– Ale nie znacie się bliżej?

– Nie za bardzo.

Karin wyciągnęła z torby kartkę wyrwaną z gazety.

– Znaleźliśmy to pod poduszką w łóżku Martiny.

Mellgren przeleciał wzrokiem artykuł. Jego twarz nie miała żadnego szczególnego wyrazu.

– Cóż mogę na ten temat powiedzieć?

– Jak pan sądzi, dlaczego trzymała pańskie zdjęcie pod poduszką? – zapytał Knutas.

– Pojęcia nie mam. Zresztą artykuł jest o tym wszystkim, czym się zajmujemy, a nie tylko o mnie.

– Czy sądzi pan, że przechowywała to zdjęcie pod poduszką tylko z powodu zamięłowania do prac archeologicznych?

Głos Knutasa nabrał barwy lekko ironicznej. Mellgren wzruszył ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Nie znam tak dobrze moich podopiecznych.

– A więc nie łączyła pana żadna bliższa relacja z Martiłą? Można by bowiem tak podejrzewać, widząc to wszystko.

– Absolutnie nie. Chyba pan to rozumie? Jestem żonaty i mam czwórkę dzieci. Poza tym oczywiście nie mogę się zadawać z moimi podopiecznymi w taki sposób.

Karin sięgnęła po inną metodę.

– Czy to możliwe, żeby Martina zakochała się w panu?

– Raczej nie sędzę.

– Nie sygnalizowała tego w jakiś sposób?

– Nie.

– Być może chwalił ją pan za jej pracę, a ona zinterpretowała to w niewłaściwy sposób?

– To jest oczywiście możliwe, ale w każdym razie niezamierzone z mojej strony.

– Czy coś między wami się wydarzyło?

– To znaczy?

– Czy doszło między wami do czegoś?

– Nie, ale musimy już kończyć.

Mellgren chciał wstać, lecz Knutas go powstrzymał, chwytając za ramię.

– Nie pokłóciliście się, nie było jakiegoś nieporozumienia?

– Ależ drodzy państwo, proszę sobie już stąd iść. Traktuję Martinę tak samo jak wszystkich innych. Nie łączą nas ani nic więcej, ani nic mniej.

– A może ktoś inny? – zapytała Karin, żeby rozładować atmosferę. – Czy wiadomo panu coś o tym, że spotyka się z kimś z grupy?

– Na temat ich relacji osobistych mam bardzo ograniczoną wiedzę.

– Czy nie zauważył pan, czy nie popadła z kimś w konflikt?

– Nie. Kiedy widziałem ją ostatni raz, Martina była wesoła jak zwykle. Teraz mogę tylko żywić nadzieję, że wszystko z nią będzie w porządku.

Karin zrozumiała, że więcej się od niego niczego nie dowiedzą i zmieniła temat. Autentycznie zainteresowało ją to, co się działo tu dookoła.

– A może pan nam coś powiedzieć o tym miejscu i o samych wykopaliskach?

Mellgren westchnął i odchylił się nieco do tyłu na krześle, tak jakby chciał dojść do siebie po niedawnej irytacji. Najwyraźniej dostrzegł, że Karin rzeczywiście była tym zainteresowana, bo kiedy zaczął opowiadać, w jego oku pojawił się nowy błysk.

– To pole, które państwo widzą dookoła i które wygląda na pierwszy rzut oka jak każde inne zwykłe pole czy łąka, było niegdyś osadą z epoki wikingów, która naszym zdaniem ma jakieś sto tysięcy metrów kwadratowych. Tak więc jest to ogromny obszar. Wykopaliska trwają od końca lat osiemdziesiątych i jak dotychczas przebadaliśmy tylko małą część.

– A jak to się stało, że wiedzieliście od samego początku, że warto kopać właśnie tu? – była ciekawa Karin.

– Złożyło się na to wiele różnych przyczyn. Pewien rolnik prowadził właśnie zasiewy, kiedy nagle coś błysnęło mu w ziemi. Była to bransoletka z dziesiątego wieku. Ponadto archeolodzy zwrócili uwagę na położenie kościoła. – Wskazał ręką na stojący na wzniesieniu

otynkowany na biało kościół we Fröjel. – Nie zbudowano go w środku osady, tak jak inne kościoły, lecz na obrzeżu tamtejszej osady, nad morzem. Archeolodzy zaczęli się zastanawiać, dlaczego tak się stało, i doszli do wniosku, że prawdopodobnie było to podyktowane wcześniejszym istnieniem u jego podnóża portu, w którym prowadzono ożywiony handel i przewijało się sporo ludzi. Dlatego kościół zbudowano w pobliżu. Kolor ziemi zdradza nam też miejsca, w których mieszkali ludzie i zwierzęta. Zawiera ona bowiem sporo fosforanów i charakteryzuje się tym, że jest ciemniejsza. Po znalezieniu tamtej bransolety rozpoczęliśmy próbne wykopaliska i to doprowadziło nas do odkrycia śladów osady handlowej o regularnej zabudowie, mniej więcej takiej jak w mieście Birka w prowincji Mälaren. Odkryliśmy pozostałości domostw, kilka cmentarzy, kamień z rysunkami, monety, narzędzia i biżuterię. Od momentu rozpoczęcia wykopalisk znaleźliśmy w sumie ponad trzydzieści pięć tysięcy przedmiotów.

Karin aż zagwizdała, słysząc taką liczbę.

– A z jakiego okresu to wszystko pochodzi? – zapytał Knutas.

– Głównie z epoki wikingów, a więc z lat od około osiemset pięćdziesiątego do tysiąc pięćdziesiątego, ale znajdowaliśmy też przedmioty z siódmego i dwunastego wieku, tak więc chodzi tutaj o okres obejmujący jakieś pięćset lat.

– A skąd wiecie, gdzie należy kopać?

– Kiedy zaczynamy kopać, wybieramy pewien obszar, który – jak sądzą – jest interesujący. Potem dzielimy go na poszczególne wykopy, z których każdy ma dwadzieścia metrów kwadratowych, jak państwo tutaj sami widzą.

Kwadratowe pola były oddzielone sznurem.

– Każdy z uczestników kursu otrzymuje najpierw po kilka kwadratów i potem kopiemy je na głębokość dwudziestu, trzydziestu centymetrów. Ważne jest, abyśmy znajdowali przedmioty w miejscach, gdzie istotnie leżały. Znaleziska leżące płycej zostały na ogół zniszczone w wyniku uprawy ziemi, na przykład wskutek orki. Kiedy schodzimy niżej, usuwamy ziemię cienkimi warstewkami, tak jak się kroi ser przy użyciu noża do sera. Robimy to bardzo ostrożnie, by w ten sposób zminimalizować ryzyko uszkodzenia czegokolwiek. Trwało kilka tygodni, zanim osiągnęliśmy obecny stan, kiedy to dopiero zaczyna się robić ciekawe.

– Pojęcia nie miałam, że znaleźliście aż tyle – powiedziała zafascynowana Karin. – Czytało się wprawdzie i słyszało o tych wykopaliskach, ale ja przynajmniej nie wiedziałam, że ich zakres jest aż tak wielki.

– Boże – westchnął Mellgren i spojrzał ubawiony na Karin. – Nigdzie na świecie nie

znaleziono na przykład tak dużej liczby monet wikińskich jak tu na Gotlandii. W końcu wyspa leżała pośrodku ważnego szlaku handlowego łączącego Rosję z kontynentem, a jej mieszkańcy byli mistrzami w handlu towarami z różnych stron świata.

– A czym handlowano? – zaciekała się Karin.

Na twarzy Knutasa pojawił się wyraz napięcia. Nie przyjechali tutaj na wykład z archeologii, lecz żeby ustalać fakty, które pomogą im odnaleźć Martine Flochten. Demonstracyjnie oddalił się od tej dwójki, aby samemu wyrobić sobie jakiś obraz tego miejsca. Karin wydawała się bez reszty pochłonięta słowami Mellgrena. Knutas nie miał pojęcia, że aż tak interesowała ją historia. To była jej kolejna cecha, której jeszcze nie znał.

Usiadł na ławce stojącej na skraju terenu. Poniżej niego znajdował się wykop, w którym leżał szkielet człowieka, niczym nie przysłonięty pod gołym niebem.

Trudno mu było sobie uzmysłwić, że oto siedzi tu i spogląda na szkielet, który nie widział światła dziennego od tysiąca lat. Iluż to ludzi deptało po tej ziemi od tamtych czasów? Nie ukrywał, że i on sam odczuwał pewną fascynację tym wszystkim.

A więc Martina kilka dni temu też pewnie siedziała tu i kopała razem z innymi. Dokąd też ta dziewczyna mogła pójść? Czyżby odebrała sobie życie? To raczej bardzo mało prawdopodobne. Była przecież taką pogodną osobą, a przynajmniej wszystko na to wskazywało. Może uległa jakiemuś wypadkowi? Była najwyraźniej pijana, a więc może po prostu wpadła do wody? Jak na razie szukali jej tylko na łądzie, a sprawa była może bardzo prosta.

Knutas postanowił, iż w poniedziałek zleci nurkom poszukiwania Martiny, jeśli do tego czasu się nie odnajdzie.

W drodze powrotnej Karin była rozentuzjasmowana.

– Kurczę, zobacz, jakie oni tam rzeczy znajdują! To jest po prostu niewiarygodne. Miałam okazję trzymać w ręku bursztynowy brelok z dziesiątego wieku. Rozumiesz? W następnym wcieleniu z całą pewnością zostanę archeologiem.

– Przez chwilę myślałam już, że zostaniemy tam cały dzień – mruknął Knutas. – A mnie kiszki marsza grają. Czy ty nigdy nie jesteś głodna?

– Nie marudź; tak! Moim zdaniem to wszystko było diabelnie ciekawe. Kupimy coś po drodze. Co sądzisz o Mellgrenie i jego stosunkach z Martiną?

– Wydaje mi się, że jest uczciwy. Nie sądzę, żeby się zadawał z jakąś podopieczną. Ryzykowałby wtedy przecież nie tylko swoje małżeństwo, delikatnie mówiąc, ale i całą karierę zawodową.

– A może jest już zmęczony robotą – powiedziała Karin rzeczowym tonem. – Może to jakaś forma samozagłady, choćby i nieświadoma. W gruncie rzeczy może chce, żeby wszystko diabli wzięli.

– Albo po prostu nagle się zakochał – zasugerował Knutas, który był bardziej romantyczny niż jego koleżanka.

– O tak – uśmiechnęła się Karin. – Ale jedno nie musi wykluczać drugiego.

Gdy wrócili na komendę, zatrzymał ich Lars Norrby.

– Rozmawiałem z jednym świadkiem, który opowiedział coś ciekawego – poinformował.

– Chodźmy do mojego pokoju – odrzekł Knutas.

Usiedli na sofach stojących wzdłuż jednej z krótszych ścian pokoju.

– Zadzwoił jakiś mężczyzna. Któregoś dnia jechał rowerem drogą w kierunku na Warfsholm, bo tam właśnie miał zjeść obiad, jak zawsze w poniedziałki. A więc był to poniedziałek. Nagle zobaczył idącą drogą Martinę. Opisał ją dość dokładnie i był pewien, że to była ona.

– Czyżby? – Knutas wydawał się zniecierpliwiony.

– Szła skrajem drogi od strony pensjonatu. Powiedział, że chyba szła lewą stroną, ale nie był całkiem pewien. Była ubrana w niebieską spódnicę, to akurat zapamiętał bardzo dokładnie, ale nie przypomina sobie, co miała na sobie oprócz tego.

– Do rzeczy! – wrzasnął Knutas.

Rozwlekłość Norrby'ego i jego skłonność do prezentacji mało istotnych szczegółów doprowadzała go do szału. Urażony Norrby przeszył go wzrokiem.

– No tak. W każdym razie wsiadła do samochodu, który stał zaparkowany dokładnie przy wjeździe na pole do minigolfa.

– A skąd on może być taki pewny, że widział właśnie Martinę?

– Podobno jej koledzy z kursu chodzili po ludziach i pokazywali jej zdjęcia. Czy też tylko jedno zdjęcie, nie wiem.

– Ach tak, czyli prowadzą własne śledztwo?

– Otóż to. I przyniosło ono taki rezultat.

– Czy ten świadek widział, kto siedział w tym samochodzie? – zapytała Karin.

– Jego zdaniem jakiś mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu, może czterdziestu lat. Może starszy. Miał ciemne okulary słoneczne, więc nie było dobrze widać. Koloru włosów nie jest pewien, ale na pewno nie był to blondyn. Raczej szatyn.

– Kiedy to było?

– Tydzień temu. W zeszły poniedziałek, o jakiejś piątej albo wpół do szóstej.

– Martina zniknęła trzy dni temu, nie wcześniej – wtrąciła Karin.

– Tak, ale mimo wszystko to może być interesujące – zaprotestował Norrby. – Najwyraźniej ktoś stał na skraju drogi i czekał na nią.

– Można zadać sobie pytanie, dlaczego nie podjechał aż na parking koło pensjonatu. Nie chciał więc, żeby go widziano – powiedział Knutas.

– Wynika z tego, że miała jakiś potajemny romans – powiedziała Karin. – I nie trzeba za wiele główkować, aby dojść do wniosku, że ten facet może mieć związek z jej zniknięciem. I nieważne, czy poszła z nim dobrowolnie, czy też nie.

– No, dobrowolnie to chyba jednak nie – zaproponował Norrby. – Bo dlaczego nie daje znaku życia?

– Wszystko przemawia za tym, że została uprowadzona wbrew własnej woli – zgodził się Knutas. – Możemy tylko mieć nadzieję, że nie stało jej się nic jeszcze gorszego. Co to był za samochód?

– Świadek nie zna się na samochodach i sam nawet nie ma prawa jazdy. Mówi tylko,

że to był niebieski zwyczajny samochód osobowy i nie wyglądał na nowy.

Karin zwróciła się do Knutasa: – Jakiego koloru jest samochód Mellgrena?

– Pojęcia nie mam, ale oczywiście zaraz się tym zajmiemy.

– Czy widział ją więcej razy?

– Nie, tylko wtedy.

– W jakim kierunku pojechali?

– Samochód odjechał w stronę głównej drogi.

– A nie zapamiętał przypadkiem numeru rejestracyjnego?

– Nie. – Norrby lekko się uśmiechnął. – Aż tyle szczęścia to nie mamy.

– Chcę jak najszybciej porozmawiać z tym świadkiem.

– Mieszka i pracuje w Klintehamn, a więc łatwo można do niego dotrzeć.

– To dobrze.

Zadzwoił telefon i Knutas odebrał. W słuchawce najpierw szumiało i dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że dzwoni ojciec Martiny Flochten. Swoją łamaną angielszczyzną Knutas próbował jak najlepiej odpowiadać na pytania zaniepokojonego ojca. Umówili się na następny dzień, kiedy to Patrick Flochten miał przyjechać do Visby, żeby wziąć udział w poszukiwaniach swej córki.

Drzwi były zamknięte, kiedy nacisnął klamkę. Sięgnął więc po klucze i otworzył je. Wszystko wyglądało tak jak wtedy, kiedy żyli jeszcze rodzice: komoda w hallu była tak samo wypolerowana na wysoki połysk jak kiedyś, zegar kuchenny odmierzał czas tym samym miarowym tykaniem, chińskie talerzyki nadal wisiały na ścianie. Nawet stojak z papierem kuchennym był ten sam. Wszedł do salonu i oglądał go w ciszy. Różnił się od innych szwedzkich pokojów tego typu przede wszystkim tym, że brakowało w nim sofy. Wszyscy ją mieli, ale u nich w domu nigdy jej nie było. Na sofie toczyło się życie, na niej się siedziało i oglądało telewizję. Tutaj jednak jej nie było, bo to było nie do przyjęcia. Na sofie zachodziło bowiem ryzyko, że będzie się tak blisko siebie, iż dojdzie do kontaktu cielesnego. A to był grzech. Większość tych rzeczy, które sprawiały przyjemność, była grzechem. Nie mieli telewizora, bo to był grzech. Nigdy nie słuchali muzyki w radiu, bo to też był grzech. Komiksy i gry towarzyskie były taki samym grzechem jak śmiech w niedzielę. Nie obawiano się zresztą zbytnio, że ktoś się będzie śmiał w domu w niedzielę czy że ktoś w ogóle będzie się śmiał. Nie pamiętał, aby choć raz widział śmiejącego się ojca albo matkę. Dom przepełniony był ciszą i powagą, modlitwą, surowością i karami.

Potrzebował nieco czasu, aby się przemóc i tu przyjechać. Lecz za każdym razem, kiedy się tu zjawiał, czuł, jakby kawałek po kawałeczku tracił owo poczucie winy i wstydu, jakie znał jeszcze z okresu dzieciństwa. Wpływ rodziców powolutku się zacierał.

Wpadł na ten pomysł kilka miesięcy wcześniej. Gdyby tutaj się spotykali, to już całkiem zawiódłby swoich rodziców. Miało się to odbyć po raz pierwszy, a on był bardzo ciekaw, jak to będzie. Przygotował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Przeszedł do sąsiedniego pokoju i otworzył wielką szafę, jedną po drugiej wyjął figurki, trzymając je ostrożnie, zanim ustawił je szeregu na stole w pokoju. To właśnie tutaj się to odbędzie, tu i nigdzie indziej. Kiedy skończył, założył saboty i wyszedł na dwór. W oborze były drzwi prowadzące do składziku. Tam była schowana czara. Wziął ją i niósł ostrożnie, gdyż jej zawartość była drogocenna. Teraz znajdzie swoje zastosowanie, a następnym razem będzie

jeszcze lepiej.

Stanął przy oknie i wyglądał przez nie. Wieczorne słońce zabarwiło niebo na czerwono. Było tak ciepło, że część obrzędów można by sprawować na zewnątrz. I tak nikt by ich tutaj nie zauważył ani nie dostrzegł tego, co robią.

Odgłos silnika przerwał jego rozważania i niebawem za zakrętem ukazał się dobrze mu znany samochód. Wspaniale, że to akurat on przyjechał pierwszy. Może zdążą więc porozmawiać i przygotować część rzeczy razem. Ostatnio coraz częściej nie zgadzali się ze sobą, a ich różnice zdań tylko się pogłębiały, co go bardzo martwiło. Teraz, kiedy zaszli tak daleko, nie chciał, aby pojawiły się jakieś zatargi.

Walka o władzę pomiędzy nimi trwała od dawna i musi się skończyć. Zbliżał się moment, w którym tego wszystkiego nie da się już zatrzymać. Zawsze wierzył, że obaj tak samo się angażowali, ale ostatnio był zmuszony niestety stwierdzić, że tak nie jest. Miał nadzieję, że niechęć tego drugiego była spowodowana sprawami, które na dłuższą metę nie okażą się aż tak ważne. Że będzie w stanie przekonać go, iż jest tylko jeden sposób i że machina poszła już w ruch. Że już ruszyli i że nie ma odwrotu.

Wtorek, 6 lipca

Następnego dnia po raz pierwszy od co najmniej dwóch tygodni niebo było zachmurzone. Knutas jak zwykle przyszedł wcześniej w pracy. Nie było jeszcze piętnaście po siódmej, kiedy przekroczył próg komendy i przywitał się z oficerem dyżurnym. Pogadali chwilę, a następnie Knutas zniknął dwa piętra wyżej w wydziale kryminalnym. Zaparzył sobie kawę i przewertował lokalne gazety poranne.

Nie upłynęło wiele czasu, a pojawiła się i Karin, która – podobnie jak on – też była rannym ptaszkiem.

– Dzień dobry – powiedziała. – Chcesz kawy?

– Nie, dzięki. Już piłem.

Wyglądała na zmęczoną.

– No i jak tam?

Knutas spojrzął na nią badawczym wzrokiem.

– Okej, ale dziś w nocy prawie w ogóle nie spałam.

– Czy dlatego, że myślałaś o Martinie Flochten?

– To swoją drogą – przerwała i wypła łyk kawy.

Umiała mu w jakiś szczególny sposób łatwo dać do zrozumienia, że nie powinien jej już dalej wypytywać.

– I co, czy doszłaś do jakiegoś wniosku? – zapytał więc z innej strony.

– Niezupełnie. Zastanawiałam się nad kwestią tego samochodu.

– No i?

– Najwyraźniej wsiadła do samochodu dobrowolnie i była umówiona z tym nieznanym mężczyzną. Prawdopodobnie jest to ktoś, kogo poznała tutaj na Gotlandii. Ale po co ta cała tajemniczość? Wprawdzie ma chłopaka w Holandii, ale on jest teraz w Rotterdamie, więc nawet gdyby chciała się tu trochę zabawić, to przecież i tak o niczym by nie wiedział.

– Do czego zmierzasz?

– Nie daje mi spokoju sprawa tego człowieka, którego poznała. Jeżeli mają czy też mieli jakiś romans, to po co mieliby kombinować? Cóż, myślę, że są dwie odpowiedzi na to

pytanie. Albo on jest żonaty, albo ma jeszcze jakiś inny powód, aby utrzymywać ich związek w tajemnicy. Może to jakiś nauczyciel albo inna osoba związana z tym kursem. Wtedy ich związek byłby delikatną sprawą.

– Albo też jedno i drugie – zasugerował Knutas.

– Otóż to. Staffan Mellgren jest oczywiście głównym podejrzanym. Ale równie dobrze może to być ktoś inny. Sprawdziłam kolor samochodu Mellgrena i okazało się, że nie jest niebieski, tylko srebrnoszary. Albo więc skorzystał z innego samochodu, albo po prostu to nie z nim Martina się spotykała. Zanim zaczęli pracę przy wykopaliskach, uczestniczyli w dwutygodniowym kursie teoretycznym w Visby. W tym okresie mieli różnych nauczycieli. Do tego jeszcze najwyraźniej balowali prawie każdego wieczora. Martina miała zatem sporo okazji, żeby kogoś poznać. Inną dziwną rzeczą jest moim zdaniem to, że nie skontaktowała się z przyjacielem rodziny, Jacobem Dahlenem z hotelu Wisby. Właścicielka Warfsholmu, Kerstin Bodin, opowiadała nam, że jest on przyjacielem rodziny Martiny. Jeździli tam przecież każdego roku i zawsze mieszkali w jego hotelu. Wprawdzie jest to głównie przyjaciel ojca Martiny, ale czy to nie jest dziwne, że tym razem nawet tam nie zajrzała, żeby się choćby tylko z nim przywitać? A jest tu już od czterech tygodni, w tym dwa w samym Visby. Dlaczego się z nim nie skontaktowała? Przecież hotel leży do licha w samym środku miasta, rzut beretem od szkoły.

– Czy rozmawiałaś z Jacobem Dahlenem?

– Tylko przez telefon, bo wyjechał.

– Być może miała jeszcze zamiar się z nim zobaczyć, ale już niestety nie zdążyła. Wiesz chyba sama, jak to jest, kiedy jest się w jakimś miejscu, gdzie się kogoś zna tylko powierzchownie. Kurs trwa do połowy sierpnia. Mogła więc uznać, że ma jeszcze sporo czasu, by go odwiedzić.

– Jasne – zgodziła się Karin. – Mogło i tak być.

– A swoją drogą, gdzie ona mieszkała w Visby, gdy mieli ten kurs teoretyczny?

– Tam gdzie reszta uczestników. W mieszkaniach studenckich na Mejerigatan.

– Musimy więc pojechać i porozmawiać z mieszkającymi tam osobami i z gospodarzem. Być może ktoś coś zauważył. Dopilnuję tej sprawy – powiedział Knutas i sięgnął po telefon.

Patrick Flochten był roslym mężczyzną o ciemnobrązowych włosach sterczących we wszystkich kierunkach. Sądząc po kolorze skóry na jego twarzy, również i w Holandii była piękna pogoda. Nosił okulary w czarnej oprawce, która wyglądała na drogą, i był ubrany w jasny płócienny garnitur. Miał spocone dłonie i był bardzo spięty, kiedy siadał na sofie dla gości w pokoju Knutasa.

– To oczywiste, że ja i brat Martiny jesteśmy mocno zaniepokojeni. Chciałbym, żeby opowiedzieli mi państwo o wszystkim, co doprowadziło do zniknięcia mojej córki – mówił swoim płynnym angielskim. – *Everything!*

Knutas, który zbyt słabo znał angielski, aby poradzić sobie z takim przesłuchaniem, zawczasu przewidział ten problem. Dlatego poprosił Karin, aby była przy tym obecna. Zaczęła od tego, co policja do chwili obecnej wiedziała o zniknięciu. Jednocześnie zastanawiała się, dlaczego ten mężczyzna siedzący naprzeciwko niej wydaje jej się znajomy. Być może dlatego, iż córka i ojciec byli do siebie po prostu podobni, sądząc po zdjęciach Martiny, które widziała.

– Znam Warfsholm, byłem w tym pensjonacie z dziećmi. Jedliśmy tam niejednokrotnie posiłki, kiedy bywaliśmy na Gotlandii. W jaki sposób mogła stamtąd zniknąć, tak że nikt jej nie zauważył? Przecież tam w pobliżu jest pełno domków i ludzi. Poza tym wieczorami jest tutaj tak jasno, że nawet nie zapada całkowity mrok.

– Martina odłączyła się od swoich znajomych późno w nocy. Goście w tym czasie już spali. Poszła do toalety około pierwszej w nocy, kiedy prawie wszyscy, którzy byli na koncercie, pojechali już do domu. Grupka osób, które jeszcze były na nogach, siedziała w barze.

– I nikt niczego nie widział?

– Na to niestety wygląda. Oczywiście śledztwo prowadzone jest pełną parą. Poszukujemy pana córki z pomocą psów i helikopterów. Dzisiaj w ciągu dnia rozpoczniemy także przeczesywanie terenu. Przeszukamy okolicę na wylot.

Karin świadomie zdecydowała, że nie wspomni o nurkach. Wyglądałoby bowiem, że już nie mają nadziei na odnalezienie Martiny żywej.

– Czy jest możliwe, że udała się na kontynent?

– Nic nie wskazuje na to, żeby opuściła wyspę. Sprawdziliśmy listy pasażerów zarówno w firmie zajmującej się komunikacją morską, jak i na lotnisku. W każdym razie nie wyjechała pod własnym nazwiskiem. Recepcja w pensjonacie sprawuje pieczę nad przedmiotami wartościowymi należącymi do uczestników kursu. Nic z jej rzeczy stamtąd nie zginęło: ani paszport, ani karta kredytowa, ani nawet gotówka, którą tam zdeponowała.

Patrick Flochten spojrzał zrozpaczony na oboje policjantów.

– Wygląda na to, że zakładacie, iż padła ofiarą jakiegoś przestępstwa.

Karin i Knutas wymienili spojrzenia.

– Nie ma co się spieszyć i spodziewać się najgorszego – powiedziała Karin. – W ogóle nie wiemy, co się stało. Czasami ludzie znikają w najdziwniejszy sposób, a potem najzwyczajniej w świecie się odnajdują. Tak może być i w tym przypadku. Nie zapominajmy też, że Martiny nie ma dopiero od kilku dni. Co nam wiadomo? Mogła się zakochać po uszy albo mogło stać się cokolwiek innego. Teraz koncentrujemy się tylko na jednej rzeczy. Przede wszystkim chcemy ją znaleźć tak szybko, jak to tylko możliwe. Czy zdarzyło się już kiedyś, że Martina zniknęła, nie dając znaku życia?

Patrick Flochten wyglądał tak, jakby się nad czymś zastanawiał.

– No tak, to jasne. Była trochę narwana jako nastolatka. Zdarzyło się oczywiście parę razy, że nie wróciła na noc do domu, ale nigdy nie trwało to kilka dni z rzędu. No i z wiekiem się ustatkowała.

– Czy bierze narkotyki?

– Gdyby tak było, zauważyłbym to. Być może próbowała kiedyś, wolałbym w to nie wnikać, ale nigdy nie zażywała narkotyków w tym sensie, o jaki pani chodzi, jak sądzę.

– I nie było żadnych innych problemów z używkami czy z chorobami?

– Nie.

– Jak jej się układa z chłopakiem?

– Z tego, co wiem, dobrze. Są razem od ponad roku i wygląda mi to na ustabilizowany związek. On jest wystarczająco starszy od niej.

– Czy mówiła panu coś o jakimś nowym mężczyźnie, którego poznała?

– Nie, dlategoż miałaby to robić?

– Różne okoliczności wskazują na to, że związała się z kimś nowym. Jeden ze świadków przekazał nam relację, z której wynika, iż jest w kimś zakochana.

– Tak? A to dziwne! Na ogół otwarcie mówi o takich sprawach. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

Patrick Flochten zrobił podejrzliwą minę.

– Wiemy, że przyjeżdżacie tutaj na urlop i że najczęściej zatrzymujecie się w hotelu Wisby. Czy to prawda?

– Tak. Znam jego właściciela, Jacoba Dahléna, i to już od dawna. Prowadzimy wspólne interesy, a od wielu lat utrzymujemy ze sobą kontakt również na gruncie prywatnym.

Oczy Patricka Flochtena zrobiły się błyszczące, tak jakby nagle przypomniał sobie, że jego córka zaginęła. Przez chwilę panowała cisza.

– Czym się pan zajmuje zawodowo?

– Jestem architektem. Wspólnie z kolegą prowadzę firmę architektoniczną w Rotterdamie. Zajmujemy się również niektórymi sprawami związanymi z nieruchomościami, w tym także tu, na Gotlandii.

– Tak? A jakie to sprawy?

– Nasza firma uczestniczyła w projektowaniu nowych mieszkań w Södervärn. Będziemy jeszcze budować ten wielki hotel, który jest w planach.

– Ten koło Högklint?

– Właśnie. To ja zaprojektowałem ten hotel, a nasza firma również go współfinansuje.

Nagle Karin przypomniała sobie, gdzie widziała wcześniej Patricka Flochtena. Jedna z lokalnych gazet napisała reportaż o tej budowie i przedstawiała architekta z nazwiska, zamieszczając również jego zdjęcie. Teraz przyszło jej do głowy, że wspomniano wówczas też o jego dzieciach. Pisano o tym, że zmarła żona architekta pochodziła z Gotlandii.

– To będzie pan tu długo pracował?

– Tak sędzę.

– Ale wcześniej też już pan tutaj trochę bywał?

– Tak, w zeszłym roku spędziłem sporo czasu w Visby.

Zamilkł i skrył twarz w dłoniach.

– To byłoby na tyle – wtrącił się Knutas. – Czy jest jeszcze coś, o czym chciałby pan wiedzieć?

– Tak – odpowiedział mężczyzna obojętnym głosem. – Gdzie mogę zacząć poszukiwanie córki?

Kiedy Emma obudziła się rano, zajęło jej kilka chwil, zanim uprzytomniła sobie, że po porodzie powróciła już do domu. Ból w podbrzuszu przypominał jej o tym, co przeszła. Promienie słoneczne przedzierające się przez firanki oświetlały buzię jej nowo narodzonego dziecka, które leżało niczym miniaturowy człowieczek otoczony przewiewnymi poduszkami i przykryty kołderką. Emma obróciła się na bok i delikatnie położyła swoją dłoń na małym ramionku pokrytym meszkiem, które wysunęło się spod sweterka.

Twarz dziecka była nieco zaczerwieniona. Próbowwała doszukać się w jej rysach własnych cech i cech Johana. Miał wpaść do niej do domu na chwilę przed pracą. Z jednej strony chciała tego, a z drugiej jednak nie.

Wyraźnie wyczuwalna w domu cisza dawała jej poczucie jakiegoś oderwania od rzeczywistości. Zazwyczaj było tu gwarno, bo były dzieci i pies. Ale teraz więzi zostały zerwane, a tradycji też już nie było. Przerazało ją, że nie wie, jak będzie wyglądać jej dalsze życie. Nawet nie przyzwyczała się jeszcze, że Sara i Filip także mieszkają już gdzie indziej. Tęskniła teraz do nich i nie chciała czekać na spotkanie z nimi aż do następnego dnia, tak jak to było zaplanowane. Potem dzieci miały pojechać z Ollem na dwa tygodnie za granicę.

Rozwód okazał się gorszą rzeczą, niż sądziła. Jej ostateczna decyzja o urodzeniu dziecka, mimo iż postanowili ratować swoje małżeństwo, na początku niesamowicie go rozsierdziła. Z czasem zrozumiał, że nie ma większego wyboru i musi pogodzić się z jej decyzją, nawet jeżeli miało to nieuchronnie prowadzić do rozwodu. Niczym dwa automaty podpisywali wszystkie dokumenty i uzgadniali kwestie praktyczne. On wyprowadził się do innego mieszkania i oto została nagle sama w wielkim domu, mogąc przyjmować tu dzieci tylko co drugi tydzień.

W miarę upływu czasu, kiedy jej brzuch się powiększał, coraz gorzej mogła się dogadać z Ollem. Najmniejsza rzecz urastała do rangi problemu. Poczawszy od tego, jak mają spędzić Wielkanoc, aż po to, kto ma kupić Sarze nowe buty czy zawieźć Filipa na trening piłki nożnej. Wszystko było wałkowane tak długo, że aż dochodziło do absurdalnych sytuacji.

Wyglądało na to, że chciał ją ukarać. Z jego oczu mogła wyczytać, że ją oskarża i że uraziła jego dumę.

Z początku sądził, że będzie takim twardzielem. Chciał, aby podział majątku, tak jak i sam rozwód, był przeprowadzony jak najłagodniej, skoro już postawiono go przed faktem dokonanym. Ale gdy większość spraw była już wyklarowana i uzgodniona i wszystko zaczęło biec innym torem, wówczas do głosu doszły uczucia. Aby poradzić sobie jakoś z własnym cierpieniem, przerzucał całą winę i odpowiedzialność za to, co się stało, na nią. Odmówił opieki nad szczeniakiem, którego jej kupił, by chociaż w ten sposób próbować ratować ich małżeństwo. Na szczęście Emma miała przyjaciółkę, która zajęła się psem, kiedy ona sama była na porodówce.

Nie miała żadnych planów na lato. Dzieci miały być z nią później przez kilka tygodni, ale najpierw miały wyjechać z ojcem za granicę. Razem z kolegą, który również był po rozwodzie, Olle wynajął na dwa tygodnie domek letniskowy we Włoszech. Mieli polecieć do Nicei, wynająć samochód i zamieszkać we włoskiej wiosce w górach. Szkoda, że takie fajne rzeczy nie przychodziły mu do głowy, kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem – pomyślała z zazdrością. Teraz naprawdę potrafi być kreatywny i pomysłowy.

Johan mówił kiedyś, że chciałby gdzieś pojechać razem z nią. W tej chwili wydawało jej się to zupełnie obce.

Przez okno w sypialni zobaczyła, jak idzie przez ogród. W rękach miał papierową torbę i bukiet kwiatów. Kiedy dostrzegł ją w oknie, uśmiechnął się i pokiwał jej ręką.

Nie było chyba w tym nic szczególnie dziwnego, że nie miała teraz siły, aby od razu rozpocząć nowy związek. W tym momencie zaświtała jej w głowie pocieszająca myśl i poczuła, jak cały bagaż win spoczywający na jej barkach staje się lżejszy. Krok po kroku – pomyślała. Krok po kroku.

Johan uprzedził Pię, że przyjdzie do pracy trochę później. Nic specjalnego się nie działo, ale marzył o tym, by pospacerować razem z Emmą i córeczką. Wyszli przez furtkę i szli dalej wzdłuż ulicy, przy której stały wille. Okolica była spokojna, a i ruch samochodowy niewielki. Mimo to Johan wielokrotnie rozglądał się w obie strony, kiedy tylko musieli przejść na drugą stronę ulicy, zanim w końcu odważył się przejechać wózkiem. Emma, dla której nie była to już żadna nowość, była znacznie spokojniejsza.

– Czy spacerowanie tu teraz ze mną i z wózkiem nie jest dla ciebie trochę dziwne? – zapytał. – Przecież ty i Olle chodziliście tędy z dziećmi wiele lat czy to na plac zabaw, czy do lub z przedszkola albo też rozmawialiście z innymi rodzicami.

– Nie, naprawdę nie. – Emma wyglądała na zdziwioną, tak jakby zupełnie nie myślała o tym, że to był kiedyś teren jej i Ollego.

Przez chwilę szli w ciszy. Johan był przejęty niezwykłością tej sytuacji i nie odczuwał potrzeby konwersacji.

Poprzedniego wieczora przywiózł Emmę i dziecko ze szpitala do domu, po czym z wielkim trudem zmusił się do wyjścia stamtąd i zostawienia ich samych. Emma nie chciała, aby został na noc. – Jest jeszcze za wcześnie – powiedziała mu, kiedy protestował. Nic na to nie mógł poradzić, ale poczuł się zraniony. Nie spędził w domu w Roma jeszcze ani jednej nocy. Była to jedna z tych granic, które bardzo chciał przekroczyć. Jedną z tych przeszkód, które Emma stawiała na drodze ku dalszemu cementowaniu ich związku.

Szli dalej przez osadę. Przebywanie na świeżym powietrzu było dla dziecka dobre. Do tej pory było tylko w domu. Wyglądało na takie maleńkie, kiedy leżało przykryte bawełnianym kocykiem. Główkę otulała turkusowa bawełniana czapeczka, choć było prawie dwadzieścia pięć stopni. Ciemne włoski wystawały spod czapeczki, a oddech był szybki i leciutki. Tak przynajmniej ocenił go Johan, kiedy wsunął głowę do wózka i przybliżył policzek do twarzy swej córki.

Widział po Emmie, że jest zmęczona. Jej twarz była jednak taka piękna; te wystające

kości policzkowe, te ciemne oczy i mocno zarysowane brwi, które tak bardzo mu się podobały. Teraz jej cera była bledsza, a policzki nieco bardziej zaokrąglone niż zwykle. Podobało mu się to, dodawało jej jakiegoś łagodniejszego akcentu.

Zakochał się w niej, zanim jeszcze urodziło im się dziecko. Teraz, po jego narodzinach, to uczucie stało się tak mocne, że czasem aż bolesne.

Bywały takie okresy, kiedy czuł, że panowała między nimi równowaga, że kochali się wzajemnie równie mocno i że celem Emmy również był ich poważny, prawdziwy związek. Teraz jego sytuacja się pogorszyła. Emma nie chciała być z nim w swoim domu. – Jeszcze nie – powiedziała – dzieci muszą się najpierw oswoić. Dla nich byłby to za duży ciężar. Zbyt wiele ostatnio przeszły w związku z nowym rodzeństwem i w ogóle. – Spotykali się tylko wtedy, gdy była stosowna ku temu okazja, czyli kiedy Sara i Filip byli u swego ojca. Jego nadzieje zostały pogrzebane, bo nie zyskał niczego, na co liczył.

Wyczekiwał narodzin dziecka i miał nadzieję, że zaopiekuje się Emmą i maleństwem albo przynajmniej zwyczajnie będą ze sobą. Tak bardzo się mylił. To, że Emma zdecydowała się urodzić dziecko, nie oznaczało jeszcze, że była gotowa uznać siebie i jego za stałą parę. Twierdziła, że nie może tak od razu zacząć nowego związku. Tyle się wydarzyło w ciągu tego ostatniego roku, całe jej życie zostało wywrócone do góry nogami. Potrzeba czasu, żeby ochłonąć i przestawić się na nowe tory. Żeby odciąć się całkowicie od tego, co było.

Teraz szła koło niego i mimo wszystko wyglądała na dość zadowoloną. Zatrzymał się z wózkiem i pogładził ją po policzku.

– Kocham cię – powiedział całkiem szczerze.

Emma uciekła od niego wzrokiem, nic nie mówiąc. Kiedyś odwzajemniłaby ten gest albo przynajmniej odpowiedziała by podobnie.

Szli dalej w stronę boiska, rozmawiając o wszystkich możliwych sprawach, przede wszystkim zaś o tym, jakie nadadzą dziecku imię. Johan chciał, by to była Natalie, natomiast Emmie bardziej podobała się Elin.

– Ale ona bardziej wygląda jak Natalie – powiedział Johan. – Z tymi jej ciemnymi włosami i brązowymi oczami. Tak trochę egzotycznie. Na pewno będzie kiedyś piękna. Mając takich rodziców jak my – dodał i uśmiechnął się ironicznie. – Wyobraź sobie ładną dziewczynę z długimi, ciemnymi włosami, która ma na imię Natalie.

Emma aż się uśmiechnęła.

– No tak. Teraz ma ciemne włosy i oczy. Ale kto wie, może później zmieni się w jasną blondynkę o niebieskich oczach i wtedy to imię nie będzie już tak dobrze do niej pasować.

– Ech, jakie to ma znaczenie? To ładne imię.

– Oczywiście, ale jestem uczulona na tę modę, która teraz nastąpiła, by na chrzcie nadawać dzieciom same tylko międzynarodowe imiona. Nikola, Andżelika, Yvette – mieszkamy przecież chyba w Szwecji, a nie we Francji.

– No, ale teraz to już jesteś chyba nieco przesadną szowinistką. Czy wiesz, że co piąty Szwed jest z pochodzenia cudzoziemcem? Szwecja nie jest już krajem jasnoskórych, niebieskookich blondynów jedzących żytni chleb i tańczących tradycyjne tańce ludowe czy hambo. Jest społeczeństwem wielokulturowym. Nawet jeśli zgodziłbym się z tym, że tu na Gotlandii ten rozwój zdaje się przebiegać nieco wolniej – powiedział i uszczypnął ją żartobliwie w bok.

– A ja uważam, że Elin brzmi jednak lepiej – upierała się Emma.

Johan raz jeszcze zatrzymał się i objął jej twarz swoimi rękoma.

– Jeżeli tak bardzo tego pragniesz, to niech już będzie Elin. Żebyś tylko była zadowolona.

– Ale ja chcę, żeby tobie też to pasowało.

– Będzie pasować, obiecuję ci to. Tak się cieszę, że mam z tobą Elin. Uwierz mi.

Środa, 7 lipca

Rodzice Kallego Östlunda kupili w latach pięćdziesiątych domek letniskowy w pobliżu Björkhaga leżącego na północ od Klintehamn. Ich rodzina była jedną z pierwszych, która pojawiła się na tym niewielkim obszarze rekreacyjnym. Przeważnie bywali tu ludzie pochodzący z Gotlandii. Jedni opuścili wyspę i mieszkali teraz na kontynencie, ale chcieli mieć tu chociaż swój domek letniskowy. Inni mieszkali w Visby i byli zdania, że dobrze jest mieć daczę kilkadziesiąt kilometrów od miasta. Przez większą część roku okolica była spokojna. Latem ożywiała się, gdyż turyści wypuszczali się tutaj na spacer na cypel Vivesholm oraz żeby podziwiać liczne ptaki przesiadujące na plaży. Było to też popularne miejsce do obserwacji zachodów słońca, kiedy całe niebo zabarwiało się na czerwono, a po obu stronach cypla widać było otwarte morze. Nawet Kalle uważał, że to wspaniały widok, choć widział ten swoisty spektakl przyrody już z tysiąc razy. Dla niego nie było piękniejszego miejsca na ziemi. Lubił łowić ryby i tego ranka wybierał się, aby wyciągać sieć, w której – na co liczył – miało być pełno flader.

Nastawił budzik na piątą. Jego żona Birgitta spała jeszcze jak zabita, kiedy wstawał, za to pies był już na chodzie – żwawy i wesoły. Suka rasy lagotto o imieniu Lisa była jak burza, która pognałaby dosłownie wszędzie i tak też zresztą bywało. Lisa podskakiwała już wesoło wokół jego nóg, gdy wyruszał.

Otworzył wielką bramę wiodącą w kierunku cypla, gdzie krasule wychodziły na letni wypas. Niebo było intensywnie niebieskie, a obłoki nad budami rybackimi koło Kovik po drugiej stronie plaży wyglądały niegroźnie niczym kłębki wełny. Żwirowa, jasna droga prowadząca aż na cypel odcinała się na tle wapiennego podłoża. Okolice przypominała tutaj wrzosowisko, roślinność była niewysoka i składała się głównie z krzaków jałowca i niskopiennych kwiatów.

Teraz właśnie plażowa łąka mieniła się kwiatami goździków, które wyglądały jak małe różane piłeczki.

Wziął na wszelki wypadek smycz dla Lisy, ale idąc do łodzi, pozwolił jej się wyhasać. Okres lęgowy ptaków już się skończył, tak więc do ptasich jaj już się nie dobierze. Na cyplu były lęgowiska ptaków różnych gatunków, takich jak czaple, wielkie kormorany oraz różnego

rodzaju rybitwy i mewy.

Kiedy był w połowie drogi przez łąkę, Lisa zaczęła węszyć za jakimś królikiem i ruszyła w przeciwnym kierunku. Mignął mu mały królik, który kicał do przodu, walcząc o życie i uciekając przed szczekającym zajadłe psem. Kilkakrotnie zawołał psa, ale Lisa była zbyt zajęta polowaniem, aby zwracać na niego uwagę. Potrząsnął głową i dalej robił swoje. Już chyba czas, żeby wróciła. Przygotował łódkę, spoglądał od czasu do czasu w stronę cypla i wołał Lisę, ale bez skutku.

Kalle postanowił zaczekać. Usiadł na kamieniu i zażył grubą prymkę tytoniu, kładąc ją pod wargę. Od czasu do czasu słyszał, jak coś szeleściło w trawie i krzakach. To króliki i małe ptaszki opuszczały swe kryjówki lub powracały do nich. Kilka oharów ze swoimi charakterystycznymi, czerwonymi dziobami pływało tuż przy brzegu. Dalej, na skraju lasu rosnącego pośrodku cypla czasem przechodziły też krowy, choć teraz były od dawna na pastwisku. I całe szczęście, bo tak dziko biegająca dziś Lisa mogła równie dobrze zacząć polować na krowy. I mogłoby się skończyć tym, że zatłukłyby ją kopytami na śmierć.

Kiedy tak przesiedział z kwadrans, a psa nadal nie było, postanowił pójść go poszukać. Był już trochę zirytowany, bo jeżeli nie znajdzie psa w miarę szybko, to zrobi się zbyt późno. Wrócił przez łąkę, siedł przy ogrodzeniu wokół lasu, a potem w lesie między drzewami. I wtedy usłyszał szczekanie Lisy. Musiała być dość daleko w głębi lasu, bo nie słyszał jej wcześniej. Na tym ogrodzonym terenie było wciąż jeszcze widać ślady fosy będącej pamiątką z tego okresu, kiedy Vivesholm był ważnym portem i miał swoje umocnienia obronne.

Minął starą wieżę do obserwacji ptaków stojącą na skraju lasu. Las gęstniał coraz to bardziej. Dalej gleba przechodziła w mokradła, a potem pojawiło się morze. Można było stąd dostrzec pensjonat Warfsholm, bo w linii prostej nie było to nawet aż tak daleko. Szczekanie psa było coraz lepiej słyszalne. Lisa musiała więc być gdzieś tu całkiem blisko. Mignęło mu coś pomiędzy drzewami. Tam też pod sosną zobaczył Lisę z łbem zadartym do góry i wściekle ujadającą. Cóż do licha mogło tam być takiego ciekawego?

Kilka metrów dalej stanął jak wryty. Parę ładnych sekund zajęło mu zrozumienie tego, co zobaczył. Nie potrafił zmusić się, by dalej patrzeć na młodą, nagą kobietę z pętlą na szyi, kołyszącą się na wietrze. Miała głowę pochyloną do przodu, a blond włosy zwisały na dół, zakrywając jej twarz. Najpierw pomyślał, iż chodzi tu o jakieś tragiczne samobójstwo. Zrobiło mu się tak niedobrze, że aż musiał usiąść na ziemi. I wtedy zobaczył, że kobieta miała ślady krwi. Ktoś zadał jej długą ranę nożem w poprzek podbrzusza.

Niecałą godzinę później Knutas skręcał w żwirową drogę prowadzącą koło domków letniskowych ku morzu i do Vivesholm. Wraz z nim była też Karin Jacobson i Erik Sohlman. Zanim wyruszyli, Knutas skontaktował się z lekarzem sądowym, który miał przylecieć z kontynentu jeszcze tego samego dnia.

Przy furtce stał mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat. Ubrany był w szorty i sweter zrobiony na drutach, a na smyczy trzymał psa o jasnej, kędzierzawej sierści. Zaparkowali przed furtką i szli po trawie obok żwirowej drogi na cypel, tak aby nie zatrzeć ewentualnych śladów samochodu sprawcy. Kalle Östlund podniósł rękę ruchem wskazującym.

– Musiał minąć ten zakręt, bo inaczej widać by go było z domków, które leżą nad samą wodą – powiedział.

Skręcili za starszym człowiekiem w stronę mniejszego obszaru leśnego, a następnie wydeptaną ścieżką wzdłuż dawnej fosy. Gdźieniedzie rosła tu tarnina i głóg.

Było cicho, prawie bezwietrznie i słycać było jedynie ptasie krzyki nad morzem. Zauważyli ciało dopiero wtedy, gdy byli już tuż przed nim.

W otoczeniu najbujniejszej letniej zieleni na drzewie wisiała młoda kobieta. Włosy opadły jej na twarz, a szczupłe ciało zwisające bez oznak życia było różowawe. Ktoś zrobił jej kilkudziesięciocentymetrowe cięcie w poprzek płaskiego brzucha, a wyciekająca z rany krew zalała łono i nogi.

Kontrast pomiędzy jej młodością i urodą a wyrządzoną jej krzywdą był przerażający.

Policjanci przyglądali się ciału w milczeniu.

– Tak, w takim stanie ją zastałem – powiedział w końcu Kalle Östlund.

– I od tego czasu nie opuszczał pan już tego miejsca? – zapytał Knutas.

– Nie, zadzwoniłem do żony, ale nie odważyłem się stąd odejść.

– Czy widział albo słyszał pan kogoś, gdy szedł pan tutaj?

– Nie, tylko ja tu byłem. I Lisa – powiedział Kalle i poklepał psa.

Knutas zawołał do kolegów, którzy właśnie dołączyli do nich i zaczęli grodzić to miejsce plastikową taśmą.

– Musimy zrobić blokadę całego tego terenu. Chcę, żeby kilku z was od razu ruszyło, by przesłuchać ludzi w domkach. Gdzie są psy?

– Są w drodze – powiedziała Karin.

– Dobrze, nie mamy czasu do stracenia. Może pan na razie iść do domu – powiedział do mężczyzny z psem. – Ale proszę nie opuszczać domu, bo za jakiś czas przyjdziemy porozmawiać z panem i pańską żoną.

– To nie może być nikt inny, tylko Martina Flochten – powiedziała Karin. – Zarówno wiek, jak i wygląd odpowiadają opisowi.

– Tak. Nie ma żadnych wątpliwości, że to ona – zgodził się Knutas.

– Do diabła! Na jakiegoż wariata musiała trafić – powiedział Sohlman, zaciskając zęby. – Po co wieszać człowieka, którego już się zabiło?

– Albo po co kroić nożem człowieka, którego się już powiesiło? – odwróciła kolejność Karin.

Knutas poruszał się ostrożnie wokół ciała i oglądał je ze wszystkich stron. Martina wyglądała niczym przerażona lalka. Twarz była czerwona jak po jakimś dużym wysiłku. Oczy miała otwarte, lecz zgaszone, bez cienia życia. Jej wargi były ciemnobrązowe i wysuszone, skóra zaczerwieniona, łydki i stopy fioletowe.

W ranie na podbrzuszu kłębiły się muchy, a Knutasowi niedobrze się zrobiło, kiedy dostrzegł tam małe larwy.

– Ciekaw jestem, czy wisi tutaj już od soboty? – wymamrotała Karin przez chusteczkę do nosa, którą zasłaniała sobie usta.

– A jaki mamy dzisiaj dzień tygodnia? Wtorek. Jeżeli zamordowano ją w sobotnią noc, to minęły już ponad trzy doby – powiedział Sohlman. – To niewykluczone.

– Chyba trzeba ją tak zostawić do przyjazdu lekarza sądowego – powiedział Knutas. – Chciałbym, żeby ją obejrzał tu na miejscu.

Przy furtce zebrał się już tłum gapiów. Knutas przeszedł obok nich szybkim krokiem, by uniknąć pytań.

Wrócili prosto do komendy.

Stał w środku lasu, oparty o grubą korę drzewa. Zamknął oczy i nasłuchiwał. Szum wiatru w drzewach, spadająca szyszka, lekko uderzająca o ziemię, kracząca wrona. Tu, w środku lasu ładnie pachniało. Żywica, igliwie, ziemia i jagody. Powoli podciągnął nogi pod siebie i osuwał plecy wzdłuż pnia, by wreszcie znaleźć się w pozycji siedzącej. Nierówności drzewa nie przeszkadzały mu. Mruczał coś do siebie cicho i monotonicznie. Powoli zapadł w stan, który chciał osiągnąć, w trans. Stapiał się z drzewem i jego dusza miała tam pozostać, podczas gdy on dokonywał projekcji w celu zmiany swojej świadomości.

Takie przeniesienie było dla niego ważne, wprost konieczne, żeby mógł wypełnić swoje zadanie.

On i drzewo stawali się jednym. Teraz nie było już żadnych ograniczeń. Jakichkolwiek. Wkraczał w inną rzeczywistość. Jego otoczenie już go nie obchodziło. To, co go kiedyś martwiło, nie miało już żadnego znaczenia. Wyzwolił się od wszystkich przyziemnych, trywialnych problemów. Od tego wszystkiego, co dotyczyło ludzi. Nie musiał już się nimi przejmować, gdyż wszedł w inny związek, który nie miał nic wspólnego z relacjami międzyludzkimi. Tak jakby runęły mury, padły przeszkody, a drogi były proste i jasno wytyczone. Spostrzegł u siebie rzadko spotykane siły.

Nagle trzasnęła jakaś gałązka i z zarośli wychynął lis. Usiadł przed nim niczym kot i najspokojniej w świecie się czyścił. Od czasu do czasu przyglądał mu się przez chwilę. Kiedy potem lis ruszył dalej w głąb lasu, przeszedł obok, nie zwracając na niego uwagi. Odetchnął głęboko.

Był to ostateczny dowód na to, że mu się udało.

Kiedy Knutas powrócił do swojego pokoju służbowego, telefon dzwonił bez przerwy, a prasa zasypywała go pytaniami w sprawie morderstwa Martiny Flochten. W końcu zmuszony był poprosić centralę, żeby nikogo z nim już więcej nie łączyła. Musi mieć wreszcie możliwość skoncentrowania się na pracy. Podjęto decyzję o zwołaniu konferencji prasowej po południu.

Lars Norrby zadeklarował, że ją przygotuje, by nie musieć brać udziału w naradzie śledczych.

Knutas zadzwonił do prokuratora, który rozgościł się tuż obok niego w sali odpraw. Birger Smittenberg był doskonałym prokuratorem rejonowym i pracował w gotlandzkim sądzie od wielu lat. Z biegiem czasu rosło pomiędzy nim a Knutasem niezachwiane zaufanie. Mieli już za sobą cały szereg śledztw. Smittenberg mieszkał od urodzenia w Sztokholmie, ale pod koniec lat siedemdziesiątych ożenił się ze śpiewaczką pochodzącą z Gotlandii. Bardzo angażował się w swoją pracę i uczestniczył w naradach śledczych tak często, jak to tylko było możliwe.

– Jak wszyscy wiecie, dwudziestojednoletnia Martina Flochten z Rotterdamu w Holandii została zamordowana i znaleziona dziś koło Vivesholm – rozpoczął Knutas. – Znalazł ją dziś rano około godziny wpół do szóstej właściciel jednego z pobliskich domków letniskowych, niejaki Kalle Östlund. Nie ma wątpliwości, że chodzi tu o morderstwo. Erik opisze zaraz obrażenia ofiary. Lekarz medycyny sądowej ze Sztokholmu jedzie już do nas i zbada jeszcze ciało na miejscu. Teren został ogrodzony i jest przeszukiwany przez patrole z psami. Szukamy też śladów wokół Warfsholm, na ile jest to oczywiście obecnie możliwe. Nie możemy bowiem żądać, aby wszystko tam zablokowano. Myślę, że ja na razie będę właśnie tam.

Skinął na Sohlmana, który wstał i zajął miejsce przy komputerze. Na białym ekranie obok wejścia do pomieszczenia wyświetlił zdjęcie lotnicze terenu.

– To jest Vivesholm. Teren jest własnością prywatną, należy do rolnika, który wypasa

tam krowy, ale okolica jest dostępna dla wszystkich. Wiele osób przybywa tam, aby poobserwować ptaki lub ze względu na walory krajobrazowe.

– Fajne miejsce również na windsurfing – wtrącił Thomas Wittberg. – Sam tam nieraz surfowałem. Super sprawa!

– Dalej na samym cyplu znajduje się trochę mniejszy obszar leśny ogrodzony płotem. Znajduje się tam również stara wieża do obserwacji ptaków.

Sohlman pokazał inne zdjęcie.

– Tutaj znaleziono martwą Martinę Flochten wiszącą na drzewie. W to miejsce udaje się na ogół tylko ów rolnik oraz czasami jakiś ornitolog, który chce mieć lepszy widok z wieży. Nic więc dziwnego, że odnalezienie ciała zajęło aż kilka dni. Obejrzyjmy teraz obrażenia. To nie jest zwyczajne morderstwo.

Niektórzy skrzywili się na widok zdjęcia ukazującego Martinę.

– Znamienny jest fakt, że zabijano ją na kilka sposobów – kontynuował z namysłem Sohlman. – Ofiara była zarówno duszona, jak i pocięta nożem. Zachodzi uzasadnione podejrzenie, że sprawca najpierw ją powiesił, a dopiero potem pociął. Sam wygląd rany wskazuje, że została zadana już po śmierci. Ponieważ denatka nie ma żadnych innych obrażeń, wygląda na to, że sprawca mógł dokonać tego cięcia w spokoju, że tak powiem. Nie stawiała oporu. Jest też jeszcze jedna rzecz.

Tu Sohlman zrobił specjalnie przerwę i z uwagą rozejrzał się po swoich kolegach.

– Nie jest do końca pewne, czy zmarła wskutek powieszenia. Kilka śladów wskazywałoby na to, że była już martwa, kiedy ją wieszano na drzewie.

– Jakich śladów? – Knutas wyglądał na zaskoczonego.

– To jest, jak już powiedziałem, tylko przypuszczenie. Przeprowadzenie decydującej analizy z wielką chęcią powierzę lekarzowi sądowemu. Widziałem już jednak wiele przypadków, kiedy to ludzie odbierali sobie życie, a więc umierali, po wykopnięciu krzesła czy czegośkolwiek innego i uduszeniu się z pętlą na szyi. U takiego zmarłego widać pewne typowe obrażenia. Chodzi tu o sine ślady w bruzdach na szyi, gdzie znajduje się sznur, oraz o ślady krwawień w ścięgnach łączących kark z obojczykiem. Te tak zwane oznaki witalności są łatwe do uchwycenia, widać je od razu, jeśli się już ma doświadczenie. Martina takich znaków nie ma. Coś tu się więc nie zgadza.

Karin spojrzała zaskoczona na technika.

– To by więc oznaczało, że mordercy nie zadowolilo zabicie Martiny w jeden sposób, lecz uśmiercił ją na kilka sposobów. Dwa z nich to powieszenie i rozcięcie podbrzusza. Co zatem było pierwotną przyczyną jej zgonu?

Zapadła przytłaczająca cisza. Wittberg zabrał głos jako pierwszy.

– Nieraz jest tak, że morderca stosuje zbytnią przemoc, na przykład tnąc ofiarę nożem, a następnie nadal zadając ciosy bez opamiętania, mimo że ofiara już nie żyje, lub też oddając szereg niepotrzebnych strzałów do człowieka. Tak postępuje się w jakimś szale, na przykład kiedy morderca jest pod wpływem narkotyków lub po prostu zwariował. Ten przypadek wygląda na coś w tym stylu.

– To wygląda na rytualne morderstwo – mruknął Knutas, przeglądając zdjęcia.

– Tak – zgodził się Birger Smittenberg. – Między poszczególnymi etapami sprawca miałby wtedy czas na to, by przemyśleć swoje działanie i jeszcze się opamiętać.

– No to mamy jeden motyw – powiedziała Karin po zastanowieniu. – Postawił sobie za cel, że zamorduje ją na kilka sposobów. To coś symbolizuje. Jego postępowanie zdaje się być w pewnym stopniu rytualne, dokładnie tak, jak wspomniał Anders. Pytanie tylko, dlaczego jego ofiara jest naga i co to oznacza.

– Nie ma żadnych zewnętrznych oznak gwałtu, ale obdukcja wykaże jeszcze, czy uprawiano z nią seks. Aczkolwiek fakt, iż pozbawiono ją odzieży, nasuwa takie przypuszczenie.

– Jakie ślady znaleźliście? – był ciekaw Wittberg.

– Niewiele jak na razie – powiedział Sohlman. – Kontynuujemy przeszukiwanie całego cypla, a ten jest dość spory.

– Pukamy do domków letniskowych – wtrącił Knutas – więc może to jeszcze coś da.

– A ile jest tam domków? – zapytał Smittenberg.

– Chyba gdzieś ze dwadzieścia.

– Czy morderstwa dokonano w miejscu, gdzie znaleziono ciało?

– W tej chwili trudno to jeszcze powiedzieć – odparł Sohlman. – Nie dostrzegłem żadnych śladów walki w pobliżu tego miejsca. Z drugiej jednak strony nie zdążyliśmy mu się przyjrzeć aż tak dokładnie. Najpierw lekarz sądowy musi przeprowadzić oględziny, a dopiero potem my będziemy mogli ruszyć ciało. Ponieważ zaczęły się już procesy gnilne, zakładam, że denatka nie żyje już od dwóch, trzech dób. W tej chwili nie potrafię podać nawet przybliżonego czasu zgonu, ale jest całkiem prawdopodobne, że zamordowano ją w nocy z soboty na niedzielę. Generalnie na teren lasu nie można wjechać samochodem, a więc przypuszczalnie sprawca przeniósł tam swoją ofiarę, jeśli zabił ją gdzieś indziej. Miał do przejścia co najmniej kilkaset metrów, co oznacza, że mamy tu do czynienia z silnym facetem. Martina nie była małą dziewczynką, lecz wysoką i umięśnioną kobietą.

– Myślę tak o tym koniu z odciętym łbem w Petersviken – powiedziała Karin. – Czy

nie ma jakiegoś związku między tymi dwoma przypadkami. Tamto też wyglądało na jakiś rytuał.

– Oczywiście będziemy szukali punktów stycznych obu zdarzeń – powiedział Knutas.

– Musimy dokładniej zbadać przeszłość Martiny Flochten. Kim była? Co robiła przed zabójstwem? Czy coś szczególnego się wydarzyło? Czy zmienił się jej sposób zachowania? I jaką była właściwie osobą? Czy możesz się tym zająć, Karin?

– Oczywiście.

– Ważne jest też, abyśmy szybko porozmawiali ze wszystkimi właścicielami domków koło Vivesholm, nie wyłączając gości, którzy byli w pensjonacie przez weekend. Tym zajmiesz się ty, Thomas. Należy też przesłuchać wszystkich archeologów, zarówno uczestników kursu, jak też nauczycieli i inne osoby na uczelni. I na koniec: Obawiam się, że media szybko dowiedzą się o tym rytualnym morderstwie. Niech nikt nie puszcza więc pary z ust. I to nikomu.

Knutas spojrział na swoich kolegów zgromadzonych wokół stołu surowym, rozkazującym wzrokiem.

– Jeśli się to wyda, to jesteśmy spaleni. Dziennikarze będą ganiać za nami bez przerwy przez cały dzień. – Wstał. – O godzinie czwartej po południu zwołamy konferencję prasową. Zajmę się nią ja i Lars.

Staffan Mellgren wyglądał na wycieńczonego, kiedy Knutas przyjął go na dole w recepcji komendy. Miał anemiczną twarz i mętny wzrok, a jego oczy były zaczerwienione. Był zdenerwowany, a jego ubranie było tak pomięte, że wydawać by się mogło, iż w nim spał. Przeszli do pokoju Knutasa, gdzie mogli porozmawiać w spokoju. Knutas zaproponował filiżankę kawy, ale Mellgren podziękował.

– Jak pan się czuje? – zapytał Knutas, kiedy usiedli naprzeciwko siebie w jego służbowym pokoju.

– To okropne, co się przytrafiło Martinie. Nie rozumiem tego.

– Chciałbym zacząć od ponownej rozmowy na temat tej grupy. Jak dobrze zrozumieliśmy, Martina była tam popularną osobą. Czy był ktoś, z kim się nie zgadzała?

Mellgren pokręcił przecząco głową.

– Czy jest pan pewien, że nie była zaangażowana uczuciowo w jakiś związek?

– Z tego, co mi wiadomo, to nie.

– Czy wiadomo coś panu, żeby jakiś uczestnik kursu darzył Martinę specjalnymi względami, a może nawet był w niej zakochany?

– Niebezpośrednio – odpowiedział po jakimś czasie. – Ale jest dwóch chłopaków, którzy byli nią szczególnie zainteresowani.

– Kto to taki?

– Jonas, chłopak ze Skanii, mający z pewnością nie więcej niż jakieś dwadzieścia lat i Mark, Amerykanin, nieco starszy, jakieś dwadzieścia pięć lat, jak sędzę. Ci dwaj naprawdę się dobrali, to znaczy Jonas i Mark. Są praktycznie nierozłączni.

– W jaki sposób interesowali się nią?

– Cóż, umizgiwali się do niej, rozmawiali też i żartowali głównie właśnie z Martiną.

– Czy wyglądało na to, że któremuś z nich podobała się ona bardziej?

– Nie, tego moim zdaniem nie można powiedzieć. Chyba obaj byli w niej w równej mierze zakochani.

- Czy Martina odwzajemniała to uczucie?
 - Wydaje mi się, że oni byli dla niej po prostu wesołymi i sympatycznymi kumplami, nikim więcej.
 - Skąd pan to wie?
 - Mam tylko takie wrażenie.
 - Czy ta dwójka też mieszka w Warfsholm?
 - Tak.
 - Czy zauważył pan, aby jakieś osoby postronne kręciły się wokół terenu wykopalisk?
 - Tylko ci co zwykle, czyli ludzie, których się zna. Czasem też któryś z sąsiadów zajrzy tu i pogada chwilę. Niewielkie grupy turystów przychodzą kilka razy w tygodniu, ale najczęściej trzymają się na odległość.
 - Czy jako kierownik kursu podejrzewa pan kogokolwiek?
 - Nie.
 - Wprawdzie pytałem już o to wcześniej, ale muszę zadać to pytanie jeszcze raz. Jak wyglądały jej relacje z panem?
 - Była studentką, którą lubiłem i ceniłem. Jako studentkę – dodał Mellgren ostrym tonem. – Nic oczywiście między nami nie było. Tak jak już mówiłem.
 - A gdzie pan był w sobotę wieczorem?
 - Byłem poza domem, wyszedłem na piwo.
 - Sam?
 - Tak.
 - A gdzie?
 - Najpierw w Donners Brunn, a potem w Munkkällaren.
 - Czy spotkał pan kogoś znajomego?
 - Zawsze się trafi na jakiegoś znajomego.
 - O której wrócił pan do domu?
 - Nie wiem, nie patrzyłem na zegarek.
 - Musi pan chyba umieć określić, czy była to dziewiąta wieczorem, czy też trzecia w nocy – zniecierpliwiał się Knutas.
- Zaczynało go to już naprawdę wkurzać i zastanawiał się w duchu, co mąż i ojciec czwórki dzieci robił sam na mieście w sobotni wieczór. Dlaczego nie był w domu z rodziną, skoro przecież z nikim się nie spotykał.
- Była prawie trzecia.
 - Jak się panu układa w małżeństwie?

Odpowiedź nie padła od razu. Widać było, jak Mellgren zacisnął szczęki.

– Przepraszam za to pytanie, ale musiałem je zadać – ciągnął Knutas, wpatrując się w Mellgrena.

– Między mną a Zuzanną wszystko jest w jak najlepszym porządku. Czyżby ona twierdziła coś innego?

Knutas uniósł ręce jak w obronnym geście.

– Absolutnie nie. Byłem tylko ciekaw.

W pomieszczeniu, w którym miała się odbyć konferencja prasowa, aż huczało. Reporterzy zajmowali miejsca na poustawianych w szeregi krzesłach, montowano mikrofony na podium. Na miejscu byli przedstawiciele zarówno prasy lokalnej, jak i ogólnokrajowej. Policja do tej pory nie chciała się w ogóle wypowiadać, więc dziennikarze z tym większą ciekawością czekali na to, co już niebawem usłyszą o morderstwie młodej studentki archeologii.

Wszyscy ucichli natychmiast, gdy Anders Knutas i Lars Norrby zajęli swoje miejsca.

– Witamy państwa na naszej konferencji prasowej – rozpoczął Knutas. – Kobieta, która zaginęła w sobotnią noc, Martina Flochten, urodzona w 1983 roku, została znaleziona martwa koło Vivesholm graniczącego z Klintehamn, czyli około trzydziestu kilometrów na południe od Visby na zachodnim wybrzeżu. Nie ulega wątpliwości, że została zamordowana.

Rzucił wzrokiem na swoje papiery.

– Ciało znalazła o godzinie piątej czterdzieści pięć osoba, która spacerowała właśnie po okolicy. Być może niektórzy z państwa już wiedzą, że Martina urodziła się i wychowała w Holandii, ale jej matka pochodziła z Hemse, tu na Gotlandii. Matka nie żyje od kilku lat. Martina mieszkała na stałe w Holandii i przybyła tutaj na początku czerwca, żeby wziąć udział w kursie poświęconym wykopaliskom archeologicznym, zorganizowanym przez tutejszą szkołę wyższą. Przebywała na Gotlandii przez miesiąc, nim zniknęła wieczorem po koncercie, jaki odbył się w Warfsholm trzeciego lipca. Czy mają państwo jakieś pytania?

– Czy może pan powiedzieć, w jaki sposób została zamordowana?

– Nie.

– Dlaczego?

– Ze względu na dobro śledztwa.

– Czy użyto jakiejś broni?

– Tak, ale nie zamierzam wypowiadać się na ten temat.

– Czy ją zgwałcono?

- Tego dowiemy się dopiero po ekspertyzie medyczno-sądowej.
- Kiedy się ona odbędzie?
- Ciało zostało w ciągu dnia zbadane na miejscu zdarzenia przez lekarza sądowego. Wieczorem zostanie przetransportowane do wydziału medycyny sądowej w Solna. Obdukcja nastąpi w najbliższych dniach.
- Czy wiadomo już, od jak dawna nie żyje?
- Jeszcze nie, to wykaże obdukcja.
- Ale mimo to musicie chyba mniej więcej wiedzieć. Czy nie żyła od godziny, czy od chwili zaginięcia?
- Mogę powiedzieć tylko tyle, że prawdopodobnie minęła co najmniej jedna doba od jej śmierci.
- Czy mamy tu do czynienia z jednym, czy też z wieloma sprawcami?
- W obecnej sytuacji jeszcze tego nie wiemy.
- A więc sprawców mogło być więcej?
- Oczywiście.
- Czy macie jakieś podejrzenia?
- Na razie nie.
- Czy są jacyś świadkowie?
- Przez cały dzień prowadzimy rozpoznanie wśród lokalnej ludności i przetwarzamy informacje uzyskane od świadków.
- Martina Flochten była jakby w połowie mieszkanką Gotlandii. Jakie to może mieć znaczenie?
- Oczywiście pracujemy wielowątkowo i uwzględniamy wszystkie możliwe poszlaki.
- Czy miała jakichś krewnych na Gotlandii?
- Nie. Jedynymi jej krewnymi byli tu rodzice jej matki, którzy również nie żyją już od wielu lat.
- Czy miejsce odkrycia zwłok zostało odgrodzone?
- Ustawiliśmy blokadę we fragmencie lasu, gdzie znaleziono ciało.
- Na jak długo?
- Do chwili zakończenia oględzin technicznych.
- Jak często bywała na Gotlandii?
- Przyjeżdżała tu na wakacje raz w roku.
- Jakie motywy tego morderstwa bierze się pod uwagę?
- Jest jeszcze za wcześnie na spekulacje odnośnie do motywu morderstwa – uciał

Knutas.

– Czy Martina Flochten była znana policji holenderskiej albo szwedzkiej?

– Z tego, co nam wiadomo, to nie.

– Martina zniknęła już kilka dni temu. Dlaczego policja wcześniej nie przeszukała Vivesholm? Przecież to tak niedaleko od Warfsholm.

– Nie widzieliśmy żadnego powodu, by to robić. Policja musi zajmować się jednym obszarem naraz. Rozpoczynamy zatem od tego miejsca, w którym daną osobę widziano po raz ostatni, a następnie obszar poszukiwań stopniowo się rozszerza.

– Czy macie jakieś ślady, które pozostawił po sobie morderca?

– Sprawca zawsze zostawia jakieś ślady. Ze względu na dobro śledztwa nie mogę w tej chwili powiedzieć, jakie to są ślady.

– Czym policja zajmuje się w chwili obecnej?

– Jak już wspomniałem, przede wszystkim przesłuchujemy świadków i zbieramy dane. Policja będzie wdzięczna za wszelkie informacje od każdego świadka, zarówno od osób przebywających w pensjonacie Warfsholm tamtego wieczora, kiedy odbywał się koncert grupy Ognisty Młyn, jak też od innych osób, które być może widziały Martine z kimś, kto może być interesujący z punktu widzenia śledztwa. Chcemy właśnie zaapelować do wszystkich państwa o informacje. Jest to bardzo ważne zwłaszcza teraz, w początkowej fazie śledztwa.

Knutas wstał na znak, że konferencja dobiegła końca. Zignorował lawinę pytań, którymi go zasypano. Niektórzy dziennikarze zaczęli przeprowadzać z nim indywidualne wywiady.

Godzinę później cały ten spektakl wreszcie dobiegł końca i Knutas mógł powrócić do swego pokoju. Przez wszystkie te lata uważał, że w poważniejszych sprawach kontakty z prasą są bardzo uciążliwe. Zawsze trzeba tak sprytnie zonglować informacjami, żeby powiedzieć wystarczająco dużo, nie podając jednocześnie zbyt wielu szczegółów, aby nie zaszkodzić śledztwu.

Kiedy wrócił do swego pokoju, zadzwonił lekarz sądowy, który zakończył badanie ciała na miejscu zdarzenia.

– Muszę powiedzieć, że czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Mamy do czynienia z bardzo nietypowym sprawcą.

– Też już doszliśmy do takich wniosków.

– Przeprowadziłem tylko wstępne badanie i nie można jeszcze niczego ostatecznie zawyrokować, ale pewne rzeczy dają się już ustalić.

– Mów.

– Wydaje mi się, że nie żyje od co najmniej trzech, czterech dób.

– Można więc zakładać, że zamordowano ją tej samej nocy, której zniknęła?

– Raczej tak. Doświadczyła przemocy różnego rodzaju. Nie mogę mieć całkowitej pewności co do przyczyny jej śmierci, dopóki nie zostanie wykonana pełna obdukcja. Sądząc po obrażeniach, podejrzewam jednak, że nie zmarła wskutek ran zadanych nożem.

– Sohlman też tak podejrzewał.

– Natomiast istnieją ślady wskazujące na to, że się utopiła.

– Jak to?

– Znalazłem resztki czegoś, co nazywamy kręgami z piany. Tworzą się one wokół ust i konsystencją przypominają ubite na sztywno białko. Jeżeli ofiarę utopiono, to z jej tchawicy wydobywa się przez usta piana. Poza tym denatka ma ślady wodorostów i piasku we włosach oraz pod paznokciami, co oznacza, że sprawca wciskał jej głowę pod wodę na brzegu plaży. Kiedy się opierała, wbiła paznokcie w dno i stąd te resztki. Są też ślady uciskania i wbijania paznokci na karku i ramionach. Znalazłem również ślady piasku i szlamu dennego w jej ustach. A spora ilość małych, punktowych wybroczyn w oczach mogła powstać, kiedy się opierała sprawcy albo też wskutek braku tlenu. Jak już powiedziałem, nie ważę się jednak wypowiadać jeszcze ostatecznie o przyczynie śmierci denatki. Wiele jednak wskazuje na to, że już nie żyła w chwili, kiedy została powieszona. Najbardziej prawdopodobny scenariusz wydarzeń brzmi zatem następująco: Sprawca najpierw utopił denatkę, przyciskając jej głowę do dna. Tak więc najpewniej utopiono ją w innym miejscu, a następnie przetransportowano jej ciało do Vivesholm.

– Dlaczego uważa pan, że zamordowano ją gdzie indziej?

– Po prostu dlatego, że w Vivesholm nie ma takiego rodzaju piasku.

– A więc zamordowano ją na piaszczystej plaży?

– Niekoniecznie, ale dno było piaszczyste. Na tym piaszczystym cyplu, gdzie ją znaleziono, dno jest przeważnie kamieniste. Miałyby na rękach inne obrażenia, gdyby to tam ją utopiono.

– Aha, rozumiem.

Knutas pilnie notował. Był pod wrażeniem tego, jak wiele cennych informacji lekarz sądowy może dostarczyć policji na podstawie samych tylko oględzin zwłok.

– Jest jedna rzecz, która mnie zastanawia. Jak sprawcy udało się powiesić ciało? Musiał ją jakoś wciągnąć do góry albo też nie zrobił tego sam – ciągnął lekarz. – Ona mi wygląda na jakieś sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć kilo. W każdym razie trudno jest, żeby nie powiedzieć, że nie można, samemu powiesić bezwładnego ciała ważącego tyle kilogramów.

– Uważa pan więc, że sprawców było więcej?

– Chyba tak. Albo też musiał to być silny facet, który zna jakąś genialną metodę wieszania.

Lekarz odchrząknął.

– Dziwi mnie jeszcze inna sprawa. Chodzi o tę ranę w brzuchu i krew.

– Tak?

– Cięcie wydaje się na tyle głębokie, że mogło uszkodzić tętnicę, co z kolei spowodowałoby upływ dużej ilości krwi. Jej ilość na ziemi pod ciałem powinna być więc większa. Można by zatem podejrzewać, że sprawca zebrał część krwi.

– Tak pan sądzi? Sohlman powiedział to samo przy okazji innego przypadku, który miał niedawno miejsce. Słyszał pan chyba o tym koniu bez łba sprzed tygodnia z kawałkiem?

– Oczywiście.

– Tam sprawca postąpił podobnie.

– O tym akurat nie słyszałem.

Lekarz był zaskoczony.

– Ale tak było. Według weterynarza, który badał konia, jego krew została zebrana. Kiedy możemy dostać wstępny raport z obdukcji?

– Ciało jest w drodze na wydział. Postaram się zdążyć z obdukcją na jutro, więc przefaksuję panu wstępny raport jutro wieczorem.

– To byłoby super – z wdzięcznością odrzekł Knutas. – Aha, i jeszcze coś. Czy znalazł pan jakieś ślady gwałtu?

– Denatka nie ma żadnych zewnętrznych obrażeń, które by na to wskazywały. Jeżeli miała stosunek, to powinniśmy o tym wiedzieć jutro.

Knutas podziękował i odłożył słuchawkę. Odchylił się do tyłu na krześle. Sprawca, który zabija konie i kobiety, a następnie zbiera ich krew. Morderca rytualny.

Myśli o Martinie Flochten nie dawały mu spokoju. Miała jeszcze całe życie przed sobą. Studentka interesująca się archeologią, która przyjechała na Gotlandię, żeby pomagać w wykopywaniu ukrytych na tej wyspie skarbów kultury. I to właśnie tutaj spotkał ją tak ponury los.

Patrick Flochten załamał się, kiedy policja przekazała mu wiadomość o śmierci córki. Knutas zamierzał odwiedzić go jeszcze tego samego dnia, tylko trochę później, i drżał ze strachu przed tym spotkaniem. Pomoc osobom z najbliższego otoczenia ofiary należała do najtrudniejszych elementów jego pracy, do których nigdy nie przywykł. A już najgorzej było w przypadku ludzi młodych.

Rozpoczęto analizę ewentualnych związków, jakie łączyły sprawę konia bez ła i morderstwo Martiny. Zastanawiano się nad typem człowieka, który zbiera krew swoich ofiar.

Policja musiała zacząć swe poszukiwania od najściślejszego grona znajomych Martiny, które obejmowało uczestników kursu i ich nauczycieli. Knutas prześledził listę studentów. Byli to głównie młodzi ludzie, spośród których około połowy stanowili Szwedzi, a drugą połowę tworzyli różni obcokrajowcy.

Patrzył na nazwiska, adresy i daty urodzenia. Prawie wszyscy byli w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat, z paroma wyjątkami. Jedna dziewczyna z Göteborga miała tylko dziewiętnaście lat, Brytyjka czterdzieści jeden, a jeden z Amerykanów ponad pięćdziesiąt trzy. Kręcił się powoli na krześle.

Jakie osoby przebywały w otoczeniu Martiny, kiedy tutaj była? Uczestnicy kursu, nauczyciele, personel pensjonatu i schroniska Warfsholm. Nie mogła chyba spotykać dużo więcej osób. I to od nich trzeba zacząć. Zabrać się za nich po kolei jak najszybciej. I za tych, których poznała podczas dwóch tygodni kursu teoretycznego w Visby. Knutas westchnął, bo uświadomił sobie, że urlop będzie musiał przełożyć na później. Line chyba już to zrozumiała. Wiedział, że trudno jej będzie zmienić termin swojego urlopu, tak więc ona i dzieci będą pewnie musiały wyruszyć same w zaplanowaną podróż do Danii. On mógłby do nich później dołączyć, gdyby sprawa szybko się wyjaśniła. Nawet jeżeli w tym momencie wszystko wydawało się bardzo skomplikowane, zawsze można było liczyć na jakiś cud.

Można też było od razu skontaktować się z Centralnym Biurem Śledczym i skorzystać z ich pomocy. Pomyślał o Kihlgårdzie. Nawet jeżeli nie wszystko mu się podobało u krajowego komisarza śledczego, to znali się jednak na tyle dobrze, że w tym przypadku najprościej byłoby chyba zacząć właśnie od niego. Podniósł słuchawkę i wybrał bezpośredni numer do Martina Kihlgårda. Ulżyło mu niesłychanie, kiedy usłyszał w słuchawce głos kolegi.

Ludzie, którzy przechodzili obok tego budynku, niczego się nie domyślali. Wyglądał jak każdy inny zwykły magazyn z szarą blachą falistą i kilkoma wyznaczonymi miejscami parkingowymi koło niepozornego wejścia. Nikt nie mógłby sobie wyobrazić, że mieszczą się w nim niewyobrażalne skarby, które przez setki lat przeleżały zakopane w ziemi i zapomniane przez wszystkich, a z których korzystali ludzie wiodący zupełnie inne życie w innych epokach. Życie we wszystkich jego aspektach tak bardzo różniące się od tego, jakie znali współcześni, nowocześni ludzie.

Zwykle przychodził tu późnym wieczorem, kiedy był pewien, że wszyscy pracownicy poszli już do domu. Wtedy miał całą tę powierzchnię tylko dla siebie. To samo uczucie ogarniało go za każdym razem, gdy otwierał drzwi i wkraczał do pierwszego pomieszczenia.

Tymi przejściami mógł chodzić tam i z powrotem całymi godzinami. Rozsuwać to tu, to tam drzwi jakiejś szafki i wyciągać coś z niej na chybił-trafił: kość zwierzęcia, perłę, grot oszczepu czy gwóźdź. To było bez znaczenia. Dla niego żadne stare znalezisko nie było warte więcej niż inne. Czasem siadał na podłodze z kilkoma przedmiotami w rękach. Całe jego otoczenie nagle wtedy gdzieś znikało, a w centrum jego uwagi pozostawały tylko te skarby, które trzymał w ręku. Mówiły do niego, szeptały coś. Wydawało mu się, że słyszy głosy, echo przeszłości. Za każdym razem było to takie samo magiczne przeżycie. Czasami próbował przenieść się w ten stan w domu, ale tam jakoś nigdy mu się to nie udawało. To miejsce miało w sobie coś wyjątkowego. Może dlatego, że gromadziło tyle zapisów historii z tak dawnych epok.

Był pewien, że przedmioty mają duszę. Tu, wewnątrz tego budynku, odczuwał też obecność bogów, którzy słuchali go i których głosy on również słyszał. Opowiadali mu, co ma robić, pocieszali, byli w pobliżu, kiedy ich potrzebował. Nierzadko też chwalili, gdy zrobił coś, co było po ich myśli. Otrzymywał od nich rady – bez ich pomocy nie wiedział, jak by sobie poradził. Mówili o tym, czego oni sobie życzą, a jakie rzeczy powinien zatrzymać dla siebie. Z radością spełniał ich wolę, bo obiecywali mu, że otrzyma swoją zapłatę, gdy

nadejście czasu. Ich relacje opierały się na dualizmie i polegały na dawaniu i braniu, jak to zresztą jest w każdym innym związku międzyludzkim.

Pewne przedmioty przechowywał w domu, a inne odsprzedawał. To była konieczność. Ponościł odpowiedzialność, której nie wahał się podejmować. Wszystko, co było ukryte w ziemi i zostało z niej wykopane, należało do niego i jego krewnych. W miarę upływu czasu odczuwał to coraz bardziej. Lepiej było, że to on opiekował się starożytnymi znaleziskami, niż gdyby miały one trafić do gabloty w jakimś muzeum w Sztokholmie. Jeżeli już miały zniknąć z wyspy, to równie dobrze on mógł decydować, dokąd miały trafić. Delikatnie gładził czubkami palców półki w korytarzach. Były starannie oznaczone paskami papieru samoprzylepnego i ponumerowane. Mimo to rzadko kiedy ktokolwiek sprawdzał, czy skrzynie faktycznie zawierają to, co było napisane na etykietach. Dlatego niepostrzeżenie mógł robić swoje. Zaczął na małą skalę kilka lat temu, a potem już tylko kontynuował. To był jego świat i nikt nie mógł mu go zabrać. Nigdy nie wypuści tego ze swoich rąk.

Po raz pierwszy w życiu poczuł, że naprawdę ma coś ważnego do zrobienia. Zadanie, którego się podjął całkiem na poważnie.

Śledczy postanowili, że wszyscy uczestnicy kursu i nauczyciele zostaną przesłuchani do wieczora i rozdzielili to zadanie pomiędzy siebie. Karin i Knutas zajęli się jednym z tych uczestników, z którymi Martina miała najlepszy kontakt, a więc Amerykaninem Markiem Feathersem.

Trafił się im też jeden z nauczycieli, Aron Bjarke. Długi dzień pracy powoli kończył się, a Knutas był naprawdę zmęczony.

Knutas poprowadził przesłuchanie Bjarkego, ale Karin była obecna jako świadek. Kiedy usiedli w sali przesłuchań, Knutas nie był w stanie powstrzymać się od ziewania. Szybko jednak za to przeprosił.

Bjarke był jednym z nauczycieli prowadzących zajęcia na dwutygodniowym kursie teoretycznym, na którym nauczał rekonstrukcji krajobrazu i analizy fosforanowej.

Był wysokim mężczyzną w dojrzałym wieku, ciemnym blondynem o delikatnej twarzy. Jego linia włosów biegła dość wysoko, ale tak poza tym wyglądał młodziej niż na swoje czterdzieści trzy lata. Brodę zdobił wypielęgnowany zarost. Miał zielone oczy i gęste, lekko podkręcone rzęsy.

– Co panu wiadomo o Martinie Flochten? – rozpoczął Knutas.

– Muszę przyznać, że niewiele. Była ładną i miłą dziewczyną, która wykazywała duże zainteresowanie właśnie epoką wikingów. Odnosiłem wrażenie, że miała bardziej rozległą wiedzę niż większość pozostałych uczestników kursu. W ogóle zdawała się bardzo interesować tym wszystkim.

Gdyby nauczyciel nie mówił z tak wyraźnym gotlandzkim akcentem, Knutas mógłby przysiąc, że pochodzi on z kontynentalnej Szwecji. Coś szczególnego było w jego stylu ubierania się, coś eleganckiego i wielkomięjskiego w tych dokładnie wyprasowanych spodniach i marynarce. Jego sposób wysławiania się jakoś dziwnie nie pasował do wyglądu. Jednocześnie było też coś rozbrajającego w jego wizerunku. Przyjaźnie spoglądał na Knutasa, czekając na kolejne pytanie.

– Czy spotykaliście się prywatnie?

– Tylko we dwójkę? Nie. Natomiast spotykaliśmy się całą grupą kilka razy, jedliśmy obiad w domu innego nauczyciela, byliśmy na piwie i graliśmy w kości w Almedalen. Ale wtedy byliśmy wszyscy razem.

– Czy był pan w Warfsholm w sobotę wieczorem?

– Nie, prawie nie widywałem studentów, od kiedy przenieśli się do Fröjel i rozpoczęli prace wykopaliskowe.

– Gdzie był pan w sobotni wieczór?

Przesłuchiwany nauczyciel wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

– Czy jestem podejrzany?

– Ależ nie. To tylko czysto rutynowe pytanie, które zadajemy wszystkim – wyjaśnił Knutas. – Co zatem robił pan w sobotę wieczorem?

– Nic specjalnego. Siedziałem w domu i oglądałem telewizję.

– Sam?

– Tak.

– Czy mieszka pan sam?

– Tak.

– Czy ma pan dzieci?

– Nie, przynajmniej jak na razie.

– Czy spędził pan w domu cały sobotni wieczór?

– Tak, byłem na nogach do późnego wieczora, a potem położyłem się koło północy.

Przeważnie tak robię.

– Czy zauważył pan może, czy Martina była związana z kimś z grupy lub z nauczycieli?

Aron Bjarke wydał się nagle zażenowany.

– Cóż, trudno coś takiego dokładnie określić, bo nie wiadomo. Może się zdarzyć, że się człowiekowi coś wydaje, a tymczasem to wcale nie jest prawda. Nie chciałbym o tym mówić – wyjaśnił i zrobił poważną minę.

– Co pan ma na myśli? – zapytała Karin z kąta, w którym siedziała.

– Uważam, że Martina lubiła sobie poflirtować i przekomarzać się z mężczyznami z grupy. Widać to było bardzo wyraźnie. Zupełnie wariowali na jej punkcie.

– Czy ktoś wydawał się być nią szczególnie zainteresowany?

– Cóż, nie wiem – odpowiedział z wahaniem. – Chociaż była jedna osoba, która moim zdaniem okazywała jej chyba dosyć sporo uwagi, ale mogę się oczywiście mylić.

– A któż to taki?

Aron Bjarke zaczął się wiercić.

– To żenujące, bo on jest również nauczycielem. Otóż mam na myśli kierownika prac archeologicznych Staffana Mellgrena.

– Ach tak?

– Ale warto też wiedzieć, że on często miewa romanse z ładnymi, młodymi studentkami. Nieładnie to zabrzmiało, ale on ma problemy z trzymaniem rąk przy sobie, że tak powiem. Już nie pierwszy raz interesuje się jakąś młodą studentką.

Mężczyzna pochylił się do przodu i ściszył głos.

– Staffan Mellgren to stary cap, seksoholik. Wszyscy to wiedzą. Od chwili ślubu nawet chyba przez jeden pełny tydzień nie był wierny swojej żonie. A ponieważ lubi tak zwane – tutaj Bjarke uniósł obie ręce do góry i gestem nakreślił cudzysłów – świeże mięso, to przeważnie są to młode studentki, które są zapatrzone w swojego nauczyciela i stają się dla niego łatwą zdobyczą.

Aron Bjarke nie przebierał w słowach. Otwartość nauczyciela zaskoczyła oboje policjantów. Knutas ożywił się.

– Czy mówi pan całkiem serio, że Mellgren już wcześniej utrzymywał kontakty seksualne ze studentkami?

– Oczywiście, to u niego normalne. Byłoby raczej dziwne, gdyby Staffan nie poderwał przynajmniej jednej studentki na prowadzonym przez siebie kursie.

– Od jak dawna to trwa?

– Na pewno już od dziesięciu lat.

– Czy żona Mellgrena wie o jego niewierności?

– Nie mogę sobie wyobrazić, żeby akceptowała coś takiego.

– A pan zdaje się bardzo dobrze znać Mellgrena?

– Pracujemy razem od ponad piętnastu lat.

– Jak udaje mu się utrzymać w tajemnicy te wszystkie swoje romanse?

– On i Zuzanna żyją każdy swoim życiem. Ona jest w domu z dziećmi, zajmuje się domem i ogrodem. A jego praca wymaga poświęcenia jej bardzo dużo czasu. Nie wydaje mi się, że oni się często widują, bo się prawie zawsze rozmijają.

– A co takiego było w sposobie odnoszenia się Mellgrena do Martiny, co zwróciło pana uwagę?

– Nie mogę z całą pewnością powiedzieć, że coś między nimi było. Niewiele razy spotykaliśmy się wszyscy razem. Kiedy ja prowadziłem swoje wykłady, to wtedy jego nie

było. Ale na początku kursu, kiedy wszyscy zebraliśmy się w Visby, mieliśmy wspólne zajęcia. A ponieważ tak wiele razy widywałem już Staffana w akcji, że tak powiem, to potrafię od razu zauważyć, kiedy rusza na podbój.

– Jak to?

– Ano tak. To stary, wypróbowany sposób. Mellgren śmieje się i dużo żartuje z tą studentką, która go interesuje w danym momencie. Kilka razy patrzy na nią przez dłuższą chwilę, nic nie mówiąc. Te jego stare sztuczki tak się rzucają w oczy, że to jest aż śmieszne.

– A jednak jest pan niemalże pewien swoich słów?

– Można to ująć w ten sposób: Została zamordowana kobieta, co jest oczywiście niesłychanie poważną sprawą. Jasne, że nie chcę wskazywać palcem na nikogo albo powiedzieć coś o kimś, co spowodowałoby, że ta osoba stałaby się podejrzana w państwa oczach. Żeby tak postąpić, to w moim odczuciu trzeba by być jeszcze bardziej pewnym swej racji. Ale ja mogę powiedzieć tylko tyle, że on przynajmniej próbował romansować z Martiną Flochten. Nie wiem natomiast, czy ona odwzajemniła jego amory. Po dwóch tygodniach teorii uczestnicy kursu przenieśli się do Fröjel i od tego czasu nie widziałem już Martiny.

Przed kolejnym przesłuchaniem Karin i Knutas zrobili sobie przerwę na kawę. Po spotkaniu z Aronem Bjarke oboje potrzebowali takiej przerwy.

Po korytarzu między salami przesłuchań krążyli inni uczestnicy kursu i nauczyciele. Trzeba było przepytąć wiele osób.

– Mając na względzie to, co on nam powiedział, cholernie jestem ciekawa wyników innych przesłuchań – powiedziała Karin, gdy czekali, aż do ich filiżanek z automatu spłynie kawa. – Co sądzisz o jego wiarygodności?

– Trudno powiedzieć, jednak niewątpliwie jest otwarty i gadatliwy. A to zawsze budzi moje podejrzenia.

– A czemuż to? Myślałam, że doceniasz otwartość – powiedziała Karin i uśmiechnęła się.

Przesłuchanie amerykańskiego uczestnika kursu, Marka Feathersa, poprowadziła Karin, gdyż Knutas zbyt słabo znał angielski.

Gdy tylko go ujrzała, pomyślała sobie, że Mark Feathers wygląda jak prototyp amerykańskiego faceta: krótko ostrzyżone włosy, obszerne szorty do kolan i niewyprasowany, za duży podkoszulek wypuszczony za zewnątrz. Na nogach miał skarpety z niebieską lamówką oraz obowiązkowe tenisówki. Był wysoki i dobrze umięśniony. Miał złośliwy wyraz twarzy i wyglądał raczej na zawodnika drużyny baseballowej niż na kogoś, kto cierpliwie oddaje się wykopaliskom archeologicznym.

Był wyraźnie podminowany.

– Nie mogę w to uwierzyć, że jej nie ma. To jest chore. Co ten diabeł z nią zrobił?

Mark Feathers mówił donośnym, silnym głosem i spoglądał zaczepnie na Karin.

– Nie mogę niestety ujawnić, w jaki sposób Martina zginęła.

– Czy zgwałcono ją? Czy to jest morderstwo na tle seksualnym?

– Nie, nie wydaje nam się, ale jest jeszcze za wcześnie, żeby stwierdzić to z całą pewnością.

– Niech no ja dorwę tego bydlaka!

Zacisnął pięść w złowrogim geście.

– Rozumiemy, że jest pan zszokowany, ale proszę się uspokoić – domagała się Karin.

– Ważne jest teraz, abyśmy jak najwięcej dowiedzieli się o Martinie i o tym, co robiła w ostatnich dniach przed swoim zaginięciem. Czy może pan nam w tym pomóc?

– Tak, oczywiście – powiedział już bardziej ulegle.

– Jak mógłby pan opisać Martinę?

– Bystra, wesoła, ładna, specjalistka od epoki wikingów, wiedziała o nich najwięcej z nas wszystkich. Była energiczna, to znaczy pracowała chyba najwięcej z naszej grupy. A przede wszystkim była bardzo fajna, to znaczy jako koleżanka.

– Czy lubiła flirtować i zachowywać się na swój sposób wyzywająco?

Mark zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi.

– Tego bym nie powiedział. Była wesoła i otwarta, ale czy lubiła flirtować... nie.

– Czy zauważył pan jakąś zmianę w jej zachowaniu w ostatnim czasie?

– Nie. Była taka jak zwykle.

– I nie wydarzyło się nic szczególnego w okresie poprzedzającym jej zniknięcie?

Pokręcił głową.

– Czy wiadomo panu, czy miała tutaj chłopaka?

– Nie jestem pewien, ale tak sądzę.

– Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

Mark spojrział poważnie na policjantów.

– Ja i Jonas mieszkamy w pokoju koło Martiny i Ewy. Każdego dnia po wykopaliskach odwożą nas autobusem do Warfsholm. Po ośmiu, dziewięciu godzinach pracy na słońcu i w brudzie każdy chce tylko wziąć prysznic i się przebrać. Natomiast Martina dość często zniknęła, jak tylko wróciliśmy do domu.

– A dokąd to?

– Pojęcia nie mam.

– Czy widział pan, w którą stronę się udawała?

– Tak. Autobus podjeżdżał przecież pod samo schronisko i każdy się spieszył, żeby być pierwszy pod prysznicem. Na początku nie zwróciłem uwagi na to, że Martina nie idzie z nami. Zajął mi to kilka dni, zanim odkryłem, że ona oddalała się w kierunku pensjonatu.

– Czy pytał ją pan, dokąd chodzi?

– Raz to zrobiłem, to mi wtedy powiedziała, że idzie kupić sobie lody. Koło restauracji jest budka.

– Czy oddalała się sama?

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś z nią szedł.

– I sądzi pan, że spotykała się z kimś?

– Tak, bo potem zawsze wracała do domu o tej samej porze, a na początku kilka godzin później.

– Czy rozmawiał pan o tym z innymi osobami?

– Oczywiście z moim kolegą z pokoju, Jonasem. Takiego oka na Martine jak on to chyba nikt nie miał.

– Co pan ma na myśli?

– Był w niej zakochany, chociaż nikomu o tym nie mówi.

– Czy więcej osób wie o tym?

– Oczywiście, można to było całkiem wyraźnie dostrzec.

– Czy Martina odwzajemniała jego uczucia?

Mark pokręcił przecząco głową.

– Nie, mowy nie ma.

Karin zdecydowała się zmienić temat rozmowy.

– Czy jest pan w Szwecji po raz pierwszy?

– A czemu pani pyta?

– A dlaczego miałabym nie pytać?

– E... nie wiem – wydaje się to takie mało ważne.

– No to jak z tą odpowiedzią?

– Tak, byłem tutaj już wcześniej.

– A kiedy?

– Byłem tu, na Gotlandii w zeszłym roku i dwa lata temu.

– Jak do tego doszło?

– Za pierwszym razem byłem z kolegą, którego dziewczyna stąd pochodzi. Poznali się, kiedy ona była na wymianie studenckiej w Stanach. Przyjechałem tu razem z nim i było tak fajnie, że chciałem przyjechać jeszcze raz. Kiedy więc znów się tu wybierał, to znów z nim przyjechałem.

– Czy taka daleka podróż nie jest zbyt droga jak na studencką kieszeń?

– Płacą za nią moi rodzice – powiedział Mark nonszalancko.

– Od jak dawna studiuje pan archeologię?

– W sumie od trzech lat.

– Co to znaczy „w sumie”?

– Zajmowałem się wszystkim po trochu. Podróżowałem, żeglowałem. Biorę też często udział w zawodach windsurfingowych.

To stąd te muskuły i sportowy styl – pomyślała Karin.

– Czy podczas tych swoich pobytów tutaj poznał pan jakichś ludzi, z którymi się pan zaprzyjaźnił?

– Oczywiście, że poznałem paru ludzi. Jak się kogoś spotyka latem na plaży czy w knajpie, to są to przeważnie ludzie skądinąd. Rodowitych mieszkańców Gotlandii już tu chyba dużo nie zostało.

– Czy może pan kogoś wymienić?

– Oczywiście, niektórzy mieszkają tu, w Visby.

Karin zanotowała ich nazwiska i numery telefonów.

- Jak długo planował pan zostać tym razem?
- Kurs trwa do połowy sierpnia, a potem chcę zostać tu jeszcze trzy tygodnie.
- A gdzie będzie pan mieszkał?
- U kumpli w Visby.
- U tych, do których mam telefony?
- Tak, zamieszkam u Niklasa Appelkvista.
- Czy spotkał pan Martinę podczas swoich wcześniejszych pobytów na Gotlandii?
- Nie.
- A co robił pan tego wieczora, kiedy zginęła?
- Czemu pani pyta?
- To rutynowe pytanie.
- Po koncercie siedziałem z resztą paczki na werandzie w pensjonacie i piłem piwo.

Martina też tam była.

- Jak długo pan tam pozostał?
- Tak długo jak cała reszta. Do trzeciej, czwartej z hakiem. Potem poszliśmy spać. Ja i Jonas dzielimy pokój, więc byliśmy razem przez cały czas.
- Tak więc może on poświadczyć, że był pan z nim przez cały wieczór i noc?
- Oczywiście. Tak jak i ja mogę to poświadczyć, gdy chodzi o niego.

Czwartek, 8 lipca

Dzień później przybył Martin Kihlgård razem ze swoją koleżanką z Centralnego Biura Śledczego. Wezwano psychiatrę sądowego Agnetę Larsvik, aby pomogła wyjaśnić owe szczególne okoliczności związane z morderstwem, a zwłaszcza jego przebieg.

Kiedy Kihlgård pojawił się na korytarzu w wydziale kryminalnym, spotkał się z entuzjastycznymi okrzykami i poklepywaniem po plecach – optymistycznie usposobiony komisarz zyskał sobie popularność w Visby podczas swoich wcześniejszych wizyt, kiedy pomagał Knutasowi w różnych śledztwach. A zwłaszcza Karin była zachwycona, że znowu go widzi.

– No kurczę, witaj! – zawołała, gdy ukazał się w drzwiach. Rzuciła mu się w ramiona, wtuliła się całkiem w jego wielkie cielsko.

– O Jezu, co za powitanie – powiedział z zadowoleniem. – Jak wam się tu wiedzie na prowincji?

– Ano, dzięki. Dzieje się tu jedna dziwna rzecz za drugą – powiedziała Karin. – Jak zaraz się wszyscy zbierzemy, to się dowiesz więcej.

– Słyszałem już sporo. Wygląda to dość obrzydliwie.

– I tak faktycznie jest. Chodź się przywitać z Andersem. Wydaje mi się, że jest u siebie.

Wzięła swojego olbrzymiego kolegę pod rękę i zaciągnęła go do pokoju szefa.

– Siemanko, Knutte! – twarz Kihlgårda rozpromienił dobroduszny uśmiech, kiedy zobaczył Knutasa za biurkiem.

Knutas przywitał się i zrobił dobrą minę do złej gry. Martin Kihlgård był jedynym człowiekiem, który wpadł na pomysł, aby go zwracać się do niego, używając tego okropnego przezwiska².

Koleżanka Agneta Larsvik była bardziej łagodna i taktowna wobec swego otoczenia. Była to wysoka, szczupła brunetka z włosami upiętymi w kok. Na powitanie Knutasa odpowiedziała uśmiechem. Po pogawędkach ma różne tematy zespół dochodzeniowy zebrał

² Knutte oznacza też członka motocyklowych gangów odzianych skórzane skafandry (przyp. tłum.).

się w końcu, aby poinformować funkcjonariuszy Centralnego Biura Śledczego o ostatnich wydarzeniach.

– Macie ochotę coś przekąsić?

Karin doskonale wiedziała, jaki apetyt ma Kihlgård.

– No, coś by nie zaszkodziło, prawda?

Zwrócił się ku Agnecie Larsvik, która wyglądała na zaskoczoną. Miała już coś powiedzieć, ale Karin ją powstrzymała.

– Zamówię kanapki.

– Dzięki.

Kihlgård rozsiadł się z zadowoleniem na krześle między Larsem Norrby a Birgerem Smittenbergiem. Niebawem całą trójkę pochłonęła ożywiona dyskusja na temat tego, które z wysp greckiego archipelagu stanowią najlepszy cel podróży.

Ktoś wszedł z tacą pełną kanapek z krewetkami oraz ze skrzynką słabego piwa i wody mineralnej. Wkrótce na stole pojawiła się też kawa i herbatniki czekoladowe. Nie wstydzono się tej przesady. Knutas rzucił wzrokiem na Karin. Tutaj przynajmniej nie żałowano niczego Kihlgårdowi, aby mógł czuć się mile widziany.

Obserwował swoich kolegów. Wszyscy rozmawiali z jowialnym komisarzem i śmiali się, chłonąc najnowsze plotki ze Sztokholmu, z których wynikało, że wszędzie jest tak samo. Wraz z pojawieniem się Kihlgårda spotkania przekształcały się w prawdziwe biesiady.

Knutas chrząknął głośno, aby skupić uwagę zebranych i powitał Martina Kihlgårda oraz Agnetę Larsvik.

Następnie zespół poświęcił ponad godzinę na przedyskutowanie tego, co dotychczas ustalono w ramach dochodzenia. Zapoznano się z wynikami wczorajszych przesłuchań. Najbardziej interesująca okazała się niewierność Staffana Mellgrena, o której opowiedział nauczyciel Aron Bjarke. Zgodzono się, iż należy dokładniej zbadać ten właśnie wątek.

Kiedy już prawie kończyli, rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Erik Sohlman. Sądząc po minie, miał coś ciekawego do przekazania.

– Mam coś do dodania – powiedział, kiedy Knutas skończył.

– No to posłuchajmy.

– Nurkowie, który przeszukiwali dno koło Warfsholm, znaleźli pierścionek, który należał do Martiny.

– Gdzie?

– W wodzie koło schroniska, na dnie przy brzegu w sitowiu, a więc bardzo płytko. To duży, dość toporny srebrny pierścionek z kilkoma oczkami w różnych kolorach.

Zabezpieczyliśmy to miejsce blokadą i szukamy dalszych śladów. Muszę tam wracać.

– Gdzie jest ten pierścionek?

– W laboratorium.

Knutas wyciągnął się do tyłu na krześle.

– Czyli zgadza się to z teorią lekarza sądowego. Utopiono ją tutaj, a następnie sprawca wpakował ciało do samochodu i wywiózł do Vivesholm, aby tam dokończyć swego dzieła.

– Prawdopodobnie po prostu wystarczająco długo przytrzymał jej głowę pod wodą – powiedział Sohlman. – Miała przecież piasek i szlam pod paznokciami. Na pewno przykleiły się, kiedy trzymał je głowę pod wodą. Dno jest tam również muliste, a więc jej palce pewnie trochę się w nie wbiły. Prawdopodobnie wtedy też zgubiła pierścionek, którego obrączka jest w połowie przecięta, a zamyka się ją, ściskając palcami z obu stron.

W pokoju zapanował nastrój przygnębienia. Wszystkim chyba krążyły w głowie te same myśli. Obraz Martiny desperacko walczącej w szuwarach o życie, podczas gdy jej koledzy siedzieli i bawili się w najlepsze zaledwie kilkaset metrów dalej i nie mieli pojęcia, co się tam działo.

– Wygląda to na dobrze zaplanowaną robotę – powiedział Kihlgård. – I to dokonaną z zimną krwią. Musiał liczyć na to, że ją dopadnie i popełni ten czyn. Chodzi mi o to, że bez powodu nikt nie wozi ze sobą w samochodzie noża, sznura i tego typu rzeczy.

– Być może śledził już ją wcześniej – rzuciła Karin. – Nie wiemy, jak długo czekał na sposobność. A może tego wieczora miał po prostu szczęście.

– Czy jesteśmy pewni, że to właśnie o Martinę mu chodziło? – zapytał Kihlgård. – Nie wiemy, czy nie szukał jakiegokolwiek ofiary, kogokolwiek.

– Tak oczywiście też mogło być – przyznał Knutas.

– Inna sprawa, która mnie uderza, to czas potrzebny na dokonanie tego czynu – ciągnął Kihlgård. – Musiał potrzebować co najmniej kilku godzin, żeby zrobić to wszystko.

– No i jest jeszcze ten aspekt rytualny. Co nam to mówi?

Wzrok Knutasa był skierowany na psychiatrę sądowego.

– Jest jeszcze za wcześnie, abym mogła się wypowiedzieć na ten temat – powiedziała Agneta Larsvik. – Najpierw chciałabym zobaczyć więcej zdjęć ofiary i poznać więcej faktów, również oczekiwany raport z obdukcji. Ponadto chcę zobaczyć miejsce zbrodni, zanim orzeknę coś z całą pewnością.

– Ale jakie jest pani pierwsze wrażenie? – próbował Knutas.

– To, co tutaj widzimy – powiedziała, patrząc na zdjęcie Martiny zajmujące cały ekran – to przykład ekstremalnej, nieprawdopodobnej przemocy. Jest to bardzo uderzający sposób

postępowania, który nasuwa mi myśl, że sprawca jest samotnym, głęboko upośledzonym człowiekiem żywiącym silną pogardę dla kobiet. Być może niemającym doświadczenia w sprawach seksu. Nóż w brzuchu może wskazywać na jego zainteresowanie kobiecym ciałem. Podobnie rzecz się ma ze sprawcami, którzy wprowadzają różne przedmioty do pochwy, aby ją zbadać. Nagość ofiary może wskazywać na aspekt seksualny, ale jak mówię, teraz jeszcze nie można wyciągać żadnych konkretnych wniosków.

– Czy to pierwsza zbrodnia tego przestępcy? – chciała wiedzieć Karin.

– Przypuszczalnie nie. Spodziewałabym się młodego sprawcy, który dopuścił się już wcześniej poważnych gwałtów. Tak makabrycznego mordu nie dokonuje się za pierwszym razem.

– Dlaczego sądzi pani, że jest młody?

– Człowiek chory do tego stopnia, że jest w stanie dopuścić się takiego czynu, nie mógłby funkcjonować w społeczeństwie przez dłuższy czas. Po prostu mógł się jeszcze nie zestarzeć na tyle, aby wpaść. Ale pamiętajmy też, że to są tylko moje pierwsze przemyślenia.

Twarz Knutasa wyrażała skupienie.

– Czy może pani powiedzieć coś o samym sposobie postępowania?

Oczy wszystkich spoczęły na Agnecie Larsvik.

– Powieszenie ciała może oznaczać, że sprawca chce być dostrzeżony. Poprzez wyeksponowanie swej ofiary chce nam powiedzieć, że jest niebezpieczny, coś jakby: „patrzcie, co potrafię!”. Być może morderca chce w ten sposób zmobilizować nas do tego, abyśmy go złapali, zanim znowu to zrobi.

Późnym popołudniem z wydziału medycyny sądowej w Solna dotarły faksem wstępne wyniki obdukcji. Knutas podziękował w duchu lekarzowi sądowemu, zamknął drzwi do swojego pokoju i zaczął wertować dokumentację.

Martina zmarła zatem wskutek utopienia. Płuca były mocno opuchnięte, w tchawicy znajdowała się piana, a w żołądku woda morska. W pochwie odnaleziono resztki spermy, ale nie widać było żadnych obrażeń, które wskazywałyby na prawdopodobieństwo gwałtu. Próbkę spermy przesłano do Państwowego Laboratorium Kryminalnego w Linköping. Rana zadana nożem w brzuch była głęboka i uszkodziła tętnicę oraz jelita. Miała we krwi jeden i dwie dziesiąte promila alkoholu, co oznaczało, że w chwili zabójstwa była pijana.

Znaleziony pierścionek wskazywał, iż mordu dokonano w Warfsholm, a dokładniej na plaży przed schroniskiem młodzieżowym. Niedaleko od wejścia i parkingu, lecz nie na widoku publicznym, bo miejsce to przesłaniały krzewy jałowca. Morderca prawdopodobnie zaparkował tam samochód. Kiedy ofiara już nie żyła, pestką było wniesienie jej do samochodu. Dzięki krzewom nikt go nie dostrzegł. Następnie przypuszczalnie pojechał bezpośrednio do Vivesholm. Mogła być godzina druga, może trzecia w nocy. Letnicy spali w swoich domkach pogrążeni w głębokim śnie.

Sprawca musiał zaparkować samochód przy płocie, ale na tyle daleko, aby nie było go widać z domków czy spod furtek. Następnie wyjął ciało i przeniósł je do zagajnika.

Z pewnością przygotował to miejsce wcześniej. Wciągnięcie zwłok na drzewo nie było łatwą pracą. Kobieta raczej by sobie z tym nie poradziła, jeśli ktoś by jej nie pomógł. Sprawców mogło być oczywiście więcej.

Dlaczego morderca zdecydował się powiesić ciało, a zatem uczynić je widocznym i łatwiejszym do znalezienia? Tym samym pomniejszył swoją przewagę nad policją, i już sam ten manewr oznaczał dla niego ryzyko wpadki. Czy był to – jak uważała lekarka psychiatra – sposób sprawcy na to, by dać się zdemaskować? Knutas trochę w to powątpiewał.

No i jeszcze to cięcie przez brzuch. Jeżeli nie miało ono związku z seksualną

ciekawością, którą zakładała Agneta Larsvik, to co ono miało oznaczać? Czy morderca chciał pohańbić swoją ofiarę, czy już sama przemoc sprawiała mu satysfakcję?

Jeżeli tak nie było, to pozostawał tylko jeden motyw, jaki dostrzegał Knutas w tej sprawie: Mordercy chodziło o zebranie z ciała ofiary krwi, tak jak w przypadku tego konia bez łba. Następnie krew miała zostać wykorzystana w jakimś ściśle określonym celu.

Pytanie tylko, do czego była potrzebna.

Gunnar Ambjörnsson, socjaldemokratyczny polityk na szczeblu gminy, żył samotnie. Tak było zawsze przez całe jego dorosłe życie i bardzo mu to odpowiadało. Być panem samego siebie i nie musieć wciąż zgadzać się z innymi w różnych sprawach, iść na kompromis, dawać i brać. Wystarczająco dużo takich rzeczy musiał już niegdyś robić wraz z czwórką swojego rodzeństwa w ciasnym szeregowym domku, wynajmowanym przez jego rodzinę na ulicy Irisdalsgatan w Visby. Zawsze wspólna sypialnia, ciągle zajęta sofa przed telewizorem w pokoju dziennym, ścisk przy stole i żadnego kącika wyłącznie dla siebie. Jedynie w toalecie człowiek mógł mieć odrobinę spokoju. Ale i to nie na długo.

Kiedy wyprowadził się z domu, udał się najpierw na studia do Göteborga. Tam mieszkał w akademiku, dzieląc prysznic i kuchnię, a więc prywatnego życia znów nie było zbyt wiele. Kiedy skończył studia, od razu znalazł stałą pracę w urzędzie gminy na Gotlandii i od tej pory cały czas tam pracuje. Dostał mieszkanie na ulicy wiodącej do Stenkumla, położone w miarę centralnie, ale jednak nie w samym środku miasta. Dwupokojowe mieszkanie z kuchnią i widokiem na ulicę. Na trzecim piętrze w bloku. Nigdy nie zapomni owego uczucia, które go ogarnęło, gdy pierwszy raz wszedł do tego mieszkania. Było całkiem puste, świeżo po remoncie, pachnące jeszcze farbą. Pamiętał, jak przejechał palcem po błyszczącym kafelku w łazience, jak wachał farbę w kuchni i podziwiał boazerię w pokoju gościnnym. Rozkoszował się samotnością i porządkiem.

Potem piął się coraz to wyżej i od dwudziestu lat mieszkał we własnym małym domu z ogrodem. W samym Klinten, tej malowniczej okolicy górującej nad katedrą, która należała do najatrakcyjniejszych terenów mieszkalnych w Visby. W dawnych czasach był to teren zamieszkały przez biedotę. Stojąca tam niegdyś szubienica i wiszący na niej skazańcy mieli być przestrogą dla innych, dobrze widoczną dla wszystkich mieszkańców. Roztaczał się stąd wspaniały widok na całe to średniowieczne miasto, tworzące sieć wąskich uliczek, ruin i murów obronnych. Z drugiej strony miasta niczym niebieskie tło widać było morze.

Gunnar Ambjörnsson nigdy się nie ożenił ani nie miał dzieci i mając sześćdziesiąt dwa

lata zrozumiał, że nigdy już tego nie zrobi. Miewał w swym życiu różne kobiety, ale związki te trwały zawsze tak krótko, że nigdy nie zdążył z którąkolwiek zamieszkać. Niejedna próbowała go do tego nakłonić, ale on za każdym razem w ostatniej chwili się wycofywał. Angażował się też oczywiście uczuciowo i zakochiwał. Nie uważał jednak, by miał z tego powodu rezygnować ze swojej samotności.

Ostatnio związał się z pewną kobietą ze Stånga, ale nadal mieszkali osobno. Berit była nauczycielką bardzo zaabsorbowaną swoją pracą zawodową, ale też pracą na gospodarstwie, w którym mieszkała. Nigdy by nie zrezygnowała z życia na wsi i nie przeprowadziłaby się do miasta, co jemu akurat najbardziej by odpowiadało. Tak więc każde z nich żyło swoim osobnym życiem, a spotykali się jedynie w weekendy. Dokładnie tyle był jeszcze w stanie znieść.

Teraz wracał do domu z zawodów golfowych w Slite. Golf był jedną z jego największych pasji, oprócz oczywiście polityki, której oddawał się w wolnym czasie. Socjaldemokratą był od dziecka, jako iż wychowywał się w prawdziwie proletariackiej rodzinie. Był członkiem rady gminnej i zasiadał w różnych komisjach i zarządach. Latem miał wolne, więc wykorzystywał ten czas na podróże. Za kilka dni wybierał się do Marrakeszu, w którym zakochał się, kiedy był tam jeszcze jako nastolatek, a potem już zawsze regularnie powracał. Podróżował ciągle sam. Tak było jego zdaniem najlepiej. Poznawało się wówczas nowych ludzi w zupełnie inny sposób, niż gdyby się było w towarzystwie. A i Berit to nie przeszkadzało. Miała i tak dużo roboty z ogrodem, zwierzętami, dziećmi i wnukami.

Z trudem udało mu się przejechać samochodem między tymi małymi, wąskimi domami i skręcić w ulicę Norra Murgatan, która leżała najwyżej, przy północno-wschodnim odcinku średniowiecznego muru. Zaparkował samochód na zarezerwowanym dla niego miejscu. Chciał wziąć prysznic, a potem usiąść w ogrodzie i przy kieliszeczku whisky poczytać „Aftonbladet”. Wieczór był ciepły i bezwietrzny. Wysiadł z samochodu i rzucił okiem na zegarek. Kwadrans po dziewiątej, a tu jasno jak w dzień. Szwedzkie lato było nie do pobicia, jeśli tylko pogoda dopisywała. Otworzył bagażnik i wyciągnął ciężki worek golfowy. Wyjął klucz i otworzył drzwi w dwumetrowym parkanie, który chronił jego posiadłość przed wścibskim wzrokiem innych ludzi. Ogród składał się z kilku różnych rabatek oraz kwadratowego trawnika z meblami ogrodowymi i miejscem do grillowania. Stała tam też szopa, w której przechowywał narzędzia ogrodowe.

To była jego oaza, kawałek zielonego rajy w środku miasta. Zlecił też wykonanie sadzawki z fontanną, która tryskała energicznie pięknymi strumieniami wody.

Kiedy zamknął za sobą furtkę w ogrodzeniu i szedł po równo zagrabionej, żwirowej ścieżce w stronę wejścia do domu, coś go nagle zatrzymało. Od chwili, gdy wyszedł z domu wczesnym rankiem, musiała tu zajść jakaś zmiana.

Gunnar Ambjörnsson był bardzo skrupulatnym człowiekiem, działającym według utartych schematów, więc każdego dnia wszystko wykonywał dokładnie w ten sam sposób. Coś tu było innego, ale nie potrafił powiedzieć, co dokładnie.

Postawił worek golfowy na ziemi i przejechał wzrokiem po ciemnoczerwonych różach pnących, po przepierzeniu oddzielającym zestaw mebli ogrodowych od trawnika i po fasadzie domu. Czarny kot sąsiada siedział skulony na parkanie od strony ulicy i badawczo przyglądał mu się z góry.

Wtedy dostrzegł w końcu, co było nie tak. To fontanna nie działała, nie było słychać jej szumu. Najpierw pomyślał, że coś się w niej uszkodziło i spowodowało odcięcie wody. Potem jednak zauważył, że miotła nie stoi na swoim miejscu, zazwyczaj była oparta o ścianę domu. Teraz miał już pewność: ktoś tu był, to jasne jak słońce. Czyżby ktoś się do niego włamał? Pośpieszył ku drzwiom wejściowym i je obmacał. Nie, były zamknięte i z tego, co widział, nie było żadnych śladów świadczących o próbie ich naruszenia. Otworzył je nieporadnie i wszedł do środka. W domu była tylko jedna kondygnacja, więc łatwo go było przeszukać. Oryginały obrazów Petera Dahla wisiały nietknięte na ścianie w salonie nad sofą, podobnie jak akwaforta Zorna. Wysunął szufladę w sekretarzyku. Srebra stołowe były na swoim miejscu, kolekcja monet również.

Wszystko wydawało się nienaruszone. Wyszedł ponownie z domu i spojrzał na miotłę opartą o ścianę szopy na narzędzia. Nigdy jej tam nie stawiał. Ostrożnie zbliżał się ku szopie, nasłuchując, czy nie dochodzą z niej jakieś dźwięki. Istniało bowiem ryzyko, że ktoś ukrył się w środku. Intruza najwyraźniej nie interesował sam dom. A może zaskoczyło go pojawienie się właściciela domu i dlatego ukrył się w szopie? Ponieważ zawsze zmykał furtkę w ogrodzeniu na klucz, dlatego też już niekiedy nie zamykał drzwi do szopy. Ambjörnsson nie mógł wytrzymać napięcia i poruszał się tak cicho, jak tylko był w stanie. Włamania w tej okolicy były niebywałą rzadkością, przez tyle lat jemu samemu się to nie przytrafiło ani razu. Żeby to tylko nie był jakiś naćpany narkoman, bo tacy są zdolni do wszystkiego. Zdarzało się, że przy ładnej pogodzie taki jeden z drugim siedział i chlał z pijakami na trawniku przy murze powyżej Rackarbacken.

Wykonał jeden ostrożny krok po schodach, tak aby tylko pochylić się przodu i powoli nacisnąć klamkę. Coś tam było. Czuł to wyraźnie i ze strachu aż bał się oddychać. Teraz było już jednak za późno, aby się wycofać.

Najpierw nie rozumiał, co to było, co ruszyło na niego, kiedy drzwi się otworzyły. Przewrócił się na plecy i zdążył tylko dostrzec, że to coś, co na niego spadło, było wielkie i zakrwawione. Krzyknął z przerażenia, kiedy wlepił wzrok w martwe oczy na końskim łbie.

Starannie umył ręce, pocierając je mocno mydłem i szorując twardą szczotką tak, aż bolała go skóra. Potem mył skórę powyżej łokci i szczotkował ją tak mocno, że aż zaczęły mu się robić małe, krwawiące ranki. Potem nie odczuwał już żadnego bólu. Woda słabo leciała z kranu i nie była też ciepła. Nie przeszkadzało mu to, bo w pewnym sensie tak właśnie miało być. W zlewie pojawiła się krew i podobało mu się, jak rozbryzgiwała się po jego nierdzewnych ściankach. Następnie równie niedelikatnie umył szczotką swój tors, brzuch, nogi i ręce.

Przyjeżdżał tu za każdym razem. To miejsce było jego punktem wyjścia, środkiem koła, pępkiem jego życia. Tutaj spotykały się wszystkie formy czasu naraz. Teraźniejszość podawała tu sobie rękę z przyszłością i stawiała oko w oko z przeszłością. Wszystko łączyło się w jedną całość. Jedynie w tym domu odczuwał spokój.

Tutaj nastąpił punkt zwrotny i mógł nawet podać dokładną datę. Zrozumiał teraz, że został wybrany, ale również to, że nie stało się tak przypadkowo.

To on sam dokonał tego, biorąc wreszcie ster swego życia w swoje ręce. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, co stało się impulsem jego działania. Być może miarka się już przebrała i miał już tego po prostu dość. Z ofiary stał się napastnikiem. Raz na zawsze.

Proces starzenia był nieco bolesny, ale jednocześnie wyzwalał też człowieka. Życiowe doświadczenia doganiały go i nie mógł od nich uciec. Obwąchały go, a ich oddech czuł na swoim karku, dopóki nie dał im upustu. Pękały wtedy niczym tama. Doszły do głosu wszystkie bolączki, które głęboko skrywał. Rozsadziły mur obronny, który tak pieczołowicie budował wokół siebie, poczynawszy od pierwszych zniewag w dzieciństwie. Życie oznaczało cierpieć, ale jego ukarano już dostatecznie mocno. Tak więc kiedy pewnego dnia wędrował sam po lesie, spotkał się z nimi oko w oko. Przemawiali do niego przez sosnę i świerk, przez krzew jałowca i krzak czarnych jagód. Słyszał ich szepty w koronach drzew, dochodzące z mokradeł i obłoków na niebie. Kiedy szedł plażą, słyszał z oddali ich wołanie z białych, spienionych fal i piaszczystych wydm.

Zawołał więc, przekrzykując szum fal:

– Słyszę was, słyszę! Jestem tutaj i należę do was! Jestem waszym wiernym sługą.
Ofiaruję wam swoją krew, swoje życie!

Lecz oni odpowiedzieli mu szybko i zdecydowanie. To nie jego krew ich interesowała.

Policję zawiadomiono kwadrans po dwudziestej pierwszej. Wystraszony Gunnar Ambjörnsson opowiedział chaotycznie dyżurnemu o końskim łbie w szopie. Ten natychmiast skontaktował się z Andersem Knutasem, który z kolei zadzwonił do Karin. Ponieważ mieszkała kilka kroków od Norra Murgatan, umówili się właśnie tam.

Kiedy Knutas przyjechał, ona czekała już na niego przed parkanem. Ambjörnssona, którego Knutas troszkę znał, zastali owiniętego w koc i siedzącego na krześle w ogrodzie. Rozmawiał zdenerwowany z jakąś policjantką. Kiedy zobaczył Knutasa, wstał.

– Anders, to jakieś wariactwo. Niech państwo zobaczą.

Zaprowadził policjantów do szopy na narzędzia znajdującej się w jednym z narożników parceli.

Karin wyjęła chusteczkę do nosa, aby przygotować się na widok, jaki ich czekał, i przycisnęła ją do ust.

Mimo to poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku, gdy odkryła to samo, co Ambjörnsson godzinę wcześniej. Nabrzmiały od krwi koński łeb był nadziany na gruby drewniany pał, który opierał się o drzwi. Z gardła wystawał wbity od dołu pał. Pysk zwierzęcia był szeroko otwarty, a jego szkliste oczy wlepione były w obu policjantów. Uplętnęło parę ładnych sekund, zanim padło jakieś słowo.

– Czy widzisz to samo co ja? – zapytał Knutas bezbarwnie.

Karin powoli skinęła głową za swoją wielką chusteczką. Ledwo co mogła na to patrzeć.

– Co takiego?

Ambjörnsson wyglądał na niemal nieprzytomnego ze strachu. Policjanci popatrzyli na niego z powagą.

– Czy słyszał pan o tym koniu, którego na początku lata znaleziono z odciętym łbem?

Skinął bez słowa potakująco.

– To nie jest – powiedział Knutas – łeb tego konia.

Piątek, 9 lipca

Już o godzinie wpół do siódmej następnego dnia po odkryciu, jakiego dokonali u Ambjörnssona, Knutas zamykał drzwi swojej willi, aby iść do pracy. Nie spał przez większą część nocy i około piątej w ogóle zrezygnował z próby ponownego zaśnięcia. Gdy tylko wyszedł z domu, od razu poczuł się rześko. Poranne powietrze było świeże i przejrzyste, a miasto leżało w całkowitym bezruchu.

Zdażyła już wybić jedenasta, kiedy wczorajszego wieczora opuszczali dom na Klinten. Ambjörnssona wbrew jego woli zawieziono do szpitala na badania. Od lat miał słabe serce i zażywał leki nasercowe. Następnie policja eskortowała go do jego przyjaciółki w Stånga. Nie pozwolili mu nocować samemu w domu. Koński łeb na palu należało traktować wyłącznie jako groźbę, nic innego.

Nastrój w sali konferencyjnej był napięty, kiedy śledczy siadali na swoich miejscach. W powietrzu czuć było jakieś wyczekiwanie. To, co się wydarzyło, było bez dwóch zdań czymś nadzwyczajnym.

– Dzień dobry – Knutas powitał swoich współpracowników i zdał relację z ponurego scenariusza, jaki poprzedniego wieczora rozegrał się w domu lokalnego polityka, Gunnara Ambjörnssona.

Kiedy wspomniał, że znaleziony tam koński łeb osadzony na palu nie jest łbem konia z Petersviken, zapadła absolutna cisza.

– Co takiego? – wycedził Martin Kihlgård.

– To nie ten łeb. Łeb znaleziony u Ambjörnssona należy do konia półkrwi, a w Petersviken był kuc.

– To znaczy, że gdzieś na Gotlandii leży teraz drugi koń z odciętym łbem – wywnioskowała Karin.

– Otóż to – powiedział Knutas. – Przesłuchaliśmy Ambjörnssona wczoraj wieczorem i twierdzi on, że w ogóle nie rozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Z tego, co mu wiadomo, nie ma z nikim żadnego zatargu. Ale trzeba to chyba jednak postrzegać jako groźbę, prawda?

– Politykom zawsze grozi się w taki czy inny sposób – parsknął Wittberg. – To jasne jak słońce, że Ambjörnsson ma powody, by się bać. Toż to są czysto mafijne metody. Myślę o

aferach narkotykowych.

– Czyżby wspaniały Ambjörnsson zajmował się narkotykami? Tym razem chyba trochę przesadziłeś.

Karin z niedowierzaniem spojrzała na kolegę.

– Ja też tak sędzę. – Norrby pokiwał głową. – Włoska mafia w Visby. Naoglądałeś się za dużo filmów sensacyjnych, Thomas. Atu jest Gotlandia i realny świat.

– Czyn jest wyrafinowany, co do tego możemy się zgodzić – dorzucił Sohlman. – Pozwólcie mi zająć się szczegółami technicznymi. Sprawca przebił pał przez gardło konia, pomiędzy kośćmi dolnej szczęki, i w ten sposób porządnie zaklinował cały łeb. Nic więcej nie potrzebował do lepszego jej umocowania, żadnych sznurów czy czegoś takiego. Pał ustawiono w takiej pozycji, iż spadł prosto na Ambjörnssona, kiedy otworzył drzwi do szopy. Człowiek ten ma kłopoty z sercem, więc aż dziw bierze, że nie dostał ataku. Koński łeb pozostał nadal stabilny, mimo upadku pała na ziemię. Świadczy to o tym, że sprawca doskonale wiedział, co robi. Wezwaliśmy weterynarza Åke Tornsjö, który w nocy zbadał łeb. Według niego ten koń został zabity prawdopodobnie w ten sam sposób co tamten, którego znaleziono w Petersviken. Ale nie ma całkowitej pewności, zanim nie zbada tułowia tego konia. Niestety, nie mamy pojęcia, gdzie on jest. Tak czy inaczej, łeb został zamrożony, po czym musiał odtajać przed nadzianiem go na pał. Widać to po opuchliznie i po stanie mięsa, które jest bardziej sflaczałe, niż byłoby w innym przypadku. Nie można natomiast określić, jak długo sprawca mroził ten łeb. Praktycznie może to być dowolny czas. Znaleźliśmy sporo śladów na posesji Ambjörnssona, ślady obuwia, niedopałek papierosa, który nie należy do niego, oraz guzik, którego nie rozpoznaje. Trawa jest podeptana w niektórych miejscach, co oznacza, że sprawca najpierw się rozglądał, prawdopodobnie szukając właściwego miejsca na umieszczenie końskiego łba. Został on już zresztą zabrany do weterynarza celem bliższych badań.

– Jak sprawca dostał się na posesję? Na Klin ten najczęściej są one pewnie pozamykane? – zapytał Wittberg.

– Otworzył wytrychem zamek w furtce w parkanie od strony ulicy, co jest prostą sprawą. Ambjörnsson nie zauważył żadnych śladów, kiedy sam ją otwierał.

Sohlman odsunął krzesło od stołu.

– Jeżeli nie macie więcej pytań, to chciałbym teraz skoczyć tam z powrotem.

– Dobra, idź – powiedział Knutas.

Skinąwszy głową na pożegnanie, Sohlman pośpiesznie opuścił pomieszczenie.

– Fakt, że jest to łeb jeszcze innego konia, a nie tego, którego znaleziono w

Petersviken, budzi co najmniej zdziwienie. Nie mamy żadnego zgłoszenia o kolejnym koniu bez łba czy też o jakimś zaginięciu – ciągnął Knutas.

Jeśli chodzi o Ambjörnssona, to jest nieżonaty, rocznik czterdziesty drugi, bezdzietny. Ma za to sporo krewnych. Cała masa jego rodzeństwa i ich dzieci jest rozszana po całej wyspie. Rodzice nie żyją od kilku lat. Nie jest jakąś kontrowersyjną postacią i nie był zamieszany w żadne większe polityczne awantury, że nazwę to po imieniu. Ale musimy to oczywiście jeszcze sprawdzić. Teraz jest u swojej przyjaciółki w Stånga. Zamierzał właśnie wyjechać za granicę, więc naprawdę nie mogło się lepiej złożyć, pod warunkiem, że potraktujemy tę sprawę z końskim łbem jako pogroźkę. Pojutrze, a więc w niedzielę, leci do Maroka na trzy tygodnie.

– Razem ze swoją przyjaciółką? – zapytał Kihlgård.

– Nie, ma jechać sam. Wygląda na to, że zawsze tak robi.

– Co Gunnar Ambjörnsson ma wspólnego z Martiną Flochten? Na to pytanie musimy odpowiedzieć na samym początku – powiedziała Karin. – Najpierw ktoś zabija Martinę, a to morderstwo wygląda na rytualne. Potem, zaledwie tydzień później, znajdujemy kolejny koński łeb na palu koło domu Gunnara Ambjörnssona. To wszystko wydaje mi się co najmniej osobliwe.

– Też bym się bardzo zdziwił, gdyby okazało się, że te sprawy nie są ze sobą powiązane – zgodził się Wittberg. – Ale najpaskudniejsze, że to nie jest łeb konia z Petersviken. Ktoś krąży po okolicy, odcina koniom łby i zamraża je. Ten ktoś dokonuje też rytualnego morderstwa. – Skinął w stronę okna. – Kogo zaatakuje w następnej kolejności?

W pokoju zapanowała cisza. Letnia zieleń za oknem nie sprawiała już takiego sielankowego wrażenia jak poprzednio.

– No cóż – powiedział Knutas, tak jakby chciał przerwać ten ponury nastrój. – Nauczyciel Aron Bjarke zeznał, że Staffan Mellgren zabiegał o względy Martiny. Twierdzi on, że Mellgren to typowy donżuan i że ciągle utrzymuje jakieś bliższe kontakty z różnymi młodymi studentkami, mimo iż jest żonaty. Tak naprawdę to przedstawił Mellgrene jako gwałciciela.

– Dziwne tylko, dlaczego nikt inny nie wspomniał o tej jego niewierności – powiedział Wittberg.

– No właśnie. Tym bardziej że ma ona rzekomo przybierać ogromne rozmiary. Czy jest jeszcze jakaś inna osoba, która może potwierdzić te informacje? – zapytał Kihlgård.

– Na razie nie. Chociaż nigdy nie wiadomo, może koledzy chcą go chronić. To przecież delikatna sprawa, szczególnie gdy chodzi jeszcze o morderstwo.

– A uczestnicy kursu?

Wielu wspominało, iż mieli wrażenie, że Martina spotyka się z kimś po kryjomu.

Nikt natomiast nie potrafi powiedzieć z kim. Z innymi studentami w szkole nie rozmawialiśmy. Ci, którzy teraz są na uczelni, to uczestnicy kursów letnich i nie znają Martiny.

– A co mówi sam Mellgren?

– Oczywiście wszystkiemu zaprzecza.

– A jego żona?

– To samo. Według niej nic mają żadnych problemów małżeńskich.

Knutas z powagą spojrział na swoich współpracowników.

– Incydent u Ambjörnssona za żadne skarby nie może stąd wyciec – powiedział z naciskiem. – Pojutrze wyjeżdża za granicę, co miejmy nadzieję, umożliwi nam spokojną pracę. Sąsiedzi chyba niczego nie zauważyli, ma przecież dość duży ogród. A i my staraliśmy się być dyskretni w czasie wizyty u niego. Teraz musimy podążać tym tropem. Od tej chwili wszelkie pytania dotyczące śledztwa mają być kierowane do mnie lub do Larsa.

Po spotkaniu Knutas zamknął się w swoim pokoju. Wyciągnął fajkę i zaczął ją nabijać. Potrzebował spokoju, żeby zebrać myśli. Stagnacja, która panowała na początku lata, przekształciła się w jeden wielki chaos spowodowany sensacyjnymi wydarzeniami, jakich w chwili obecnej nie potrafił ze sobą logicznie połączyć. No i jeszcze ten fakt, że gdzieś na Gotlandii leży koń bez łba. Dlaczego nikt tego nie zgłosił?

Tym razem odczuł przemożną chęć zapalenia fajki. Stanął w oknie, otworzył je na oścież i zapalił fajkę, mimo iż w budynku nie wolno było palić. Wyjątki czyniono tylko w salach przesłuchań.

Knutas myślał o Ambjörnssonie. Miły i nierzucający się w oczy polityk, który żył sobie spokojnie samotnie, nie wtrącając się w cudze sprawy. Cóż on jednak wiedział o nim tak naprawdę? Był politykiem w ich gminie od trzydziestu lat, ale o jego życiu prywatnym Knutas nie miał pojęcia.

Czy groźba była związana z pracą, czy też ze sferą prywatną? Trzeba natychmiast zbadać, jakie kwestie polityczne trafiały na biurko Ambjörnssona. Być może tam należy szukać odpowiedzi.

Zaciągnął się fajką i powoli cedził dymek przez kącik ust. Wtedy właśnie przyszła mu do głowy pewna myśl i nagle wszystko stało się jasne. Istniał pewien związek pomiędzy Martiną Flochten a Gunnarem Ambjörnssonem. Była nim mianowicie budowa tego prestiżowego hotelu, którą planowano niedaleko obrzeży Visby. Ojciec Martiny, Patrick

Flochten, należał do architektów i osób finansujących jeden z największych i najbardziej ekskluzywnych hoteli, jakie kiedykolwiek powstały na Gotlandii. Komisja budowlana wyraziła zgodę na inwestycję tuż przed początkiem lata. Gunnar Ambjörnsson był przewodniczącym komisji budowlanej. Wprawdzie taka sprawa musi przejść zarówno przez zarząd gminy, jak i radę gminną, zanim będzie w pełni zatwierdzona, ale komisja budowlana musi wyrazić zgodę, by nadać dalszy bieg sprawie.

Knutas usiłował sobie przypomnieć. Były jakieś protesty przeciwko tej budowie, mimo iż wydawało mu się, że większość mieszkańców wyspy jest jednak nastawiona przychylnie. Miał wrażenie, że w tej sprawie panowała polityczna zgoda. Jakie środowiska mogłyby być temu przeciwne? Na pewno sąsiedzi mieszkający w Högklint, ekolodzy i badacze kultury. Jednak raczej nikt z nich nie posunąłby się do zabójstwa z tego powodu. Knutas nie wiedział, czy interesowali się tym miejscem archeolodzy. Należy zatem sprawdzić wszystkie grupy, które w jakikolwiek sposób były związane z budową tego hotelu. Być może są jacyś polityczni przeciwnicy, których nie znał. Trzeba się tym zająć od ręki.

Ten wieczór chyba nie mógłby być piękniejszy. Przygotowali się dobrze. Każdy wiedział, co ma robić. Wszystko było dokładnie przemyślane i zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach.

Mieli spędzić noc tam, w tym odludnym miejscu, w pobliżu bogów i pod osłoną natury. Każde drzewo, każda skała i każdy krzew miały duszę i towarzyszyły im w ich ceremonii. Rozbili namiot i przygotowali jedzenie. Każdy z nich był coraz bardziej podekscytowany tym, co ich czekało.

Świerszcze koncertowały głośno w zaroślach otaczających wąską ścieżkę wiodącą na szczyt. Wędrówka była męcząca, a góra wysoka i niedostępna. Gromada ludzi zlewała się w jednolitą całość dzięki ubiorowi. Wszyscy byli odziani w długie płaszcze z czarnym paskiem w talii. Głowy mężczyzn były okryte kapturami, a kobiet chustkami. Wszyscy szli z lekko pochylonymi głowami. Być może chcieli uniknąć potknięcia się o korzenie drzew albo modlili się.

Ich nieustanne mamrotanie mieszało się z bębnieniem mężczyzny, który szedł na czele. Trzymał płaski bęben z naturalnej skóry w jednej ręce, a w drugiej obitą skórą drewnianą maczugę, którą wybijał na bębnie miarowy rytm.

Kiedy doszli do otwartej przestrzeni stanowiącej ich cel, jeden z mężczyzn odłączył się od grupy. Spod swego odzienia wyjął długi na pół metra róg z kości, przyłożył go do ust i zadał w kierunku morza. Dźwięk był monotonny i żałosny. Z ust do ust podawano sobie czarę, stojąc w kręgu. Z zamkniętymi oczami i poważną miną każdy upijał trochę wina, a kiedy wszyscy już wypili, pozostałe na dnie krople wylano na ziemię. Mężczyzna z rogiem, który zdawał się być ich przywódcą, zajął miejsce przed zebranymi. Wypowiedział jakieś słowa i przy dźwiękach bębna stanął twarzą ku wschodowi. Tej jasnej nocy silnym i wyraźnym głosem przywoływał niewidzialne moce. Następnie zwrócił się kolejno ku południu, zachodowi i północy, nie milnąc. Na koniec odwrócił się do środka kręgu, gdzie wzniesiono ołtarz z obrazami bogów namalowanymi krwią.

Uczestnicy podchodzili pojedynczo do świętego stołu i składali kwiaty, owoce oraz worki ze zbożem. Wokół całego tego miejsca ustawiono kamienny krąg.

Ludzie stojący w kręgu tupali i znów zaczęło się mruczenie. Narastało ono tak silnie, że aż prawie zaczęli krzyżeć. Kilku mężczyzn zapaliło ogień, który natychmiast wystrzelił ku niebu.

Dobosz nadal walił w bęben w rytm ludzkiego lamentu. Ktoś podał przywódcy siekię, którą ten wymachiwał przed sobą, wypowiadając zaklęcia. Przyniesiono klatkę, w której znajdowała się dobrze utuczona, jasna kura. Uczestnicy wpatrywali się w nią z zachwytem. Kurę umieszczono na ziemi przed przywódcą, a ten uniósł siekię i jednym precyzyjnym ciosem odciął jej głowę. Krew bryzgała dookoła, lament stawał się coraz bardziej ekstatyczny, a tupot coraz bardziej intensywny.

Na koniec przywódca osunął się na ziemię. Bębnienie ustało, a głosy zamilkły. Zapadła cisza.

Jeden z uczestników niepostrzeżenie oddalił się od grupy. Nikt nie zwrócił uwagi, że wrócił tą samą drogą, którą przyszli. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Sobota, 10 lipca

Mieli spędzić weekend w domu rodzinnym Emmy na Fårö, tylko ona, Johan i Elin. Jej rodzice wpadli do Roma, zanim ruszyli w swoją tradycyjną już podróż, w jaką udawali się każdego roku, Emma odczuwała jakąś pustkę w czasie ich wizyty. Nie czuła wcale, żeby byli szczerzy, bo tak tylko bez emocji paplali, jaka to przemiła jest Elin i że jadą właśnie na lotnisko i że tym razem jadą aż do Chin. No i dobrze.

Obiecała, że będzie doglądać ich domu, tym bardziej że zmiana środowiska raz na jakiś czas byłaby nawet wskazana. W willi w Roma zaczynała się już czuć jak więzień. Było tam tyle rzeczy przypominających jej o dawniejszym życiu, z którego nic już nie pozostało. Ściany pamiętały Ollego i całą tę gorycz, jaka doszła do głosu w ciągu minionego półrocza.

Emma bardzo dobrze czuła się w domu na Fårö. Przez całe życie nie mogła pojąć, jak rodzice mogą gdzieś wyjeżdżać, skoro najcudowniej jest właśnie w domu.

Droga do przystani promowej koło Fårösund biegła przez pola uprawne. Jechali więc bocznymi drogami przez Barlingbo i Ekeby do Bäl oraz do nieco większej miejscowości Slite, zanim dotarli do Fårösund, skąd popłynęli dalej promem do Fårö. Rejs przez cieśninę trwał tylko kilka minut. Elin spała po drodze przez cały czas.

Kiedy zjeżdżali z promu na drugim brzegu cieśniny, doznała tego samego uczucia zadowolenia co zwykle. Fårö miało surowszy i bardziej wietrzny klimat niż Gotlandia, co od razu się odczuwało. Zatrzymali się obowiązkowo przy centrum handlowym Konsum, aby kupić świeże truskawki i zaopatrzyć się w brakujące im jeszcze produkty. Udali się też do piekarni w drodze do Skär, żeby nabyć słodkie bułeczki, w których wypieku właściciele piekarni byli mistrzami. Następnie przejechali ostatni odcinek drogi w kierunku Horsta Auren leżącego w najbardziej na północ wysuniętej części Fårö.

Pomalowany na biało wapienny dom leżał samotnie prawie nad morzem, od którego oddzielał go tylko niski kamienny murek. Emma poczuła lekki ścisk w żołądku. Nie była tu od ponad pół roku. Kiedy weszli, dom wydawał się jak zwykle chłodny. Kamienna podłoga wprost lśniła, rodzice porządnie posprząтали. Usiadła w fotelu przy oknie i dała pierś Elin, która właśnie obudziła się i zaczęła płakać. W tym czasie Johan wniósł rzeczy. Przez okno patrzyła na plażę, która na początku była bardzo wąska, lecz dalej się rozszerzała. Jedną z jej

zalet był piasek tak mocno tu ubity, że można było po nim prowadzić wózek.

- Może pójdziemy potem na plażę – zawołała do Johana.
- Oczywiście, świetny pomysł. Czy chcesz się czegoś napić?
- Tak, poproszę szklankę wody.

Zaraz zjawił się koło niej w salonie z dużą szklanką. Johan był taki zadowolony i odprężony. Sprawiał wrażenie szczęśliwego, że może być razem z nią i ze swoim dzieckiem. Chyba tylko tego mu było trzeba. Dlaczego więc i ona nie miałyby być zadowolona? W kuchni Johan coś sobie nucił, ustawiając wszystko na swoim miejscu. Któregoś dnia Emma dojdzie do siebie i da mu szansę. Elin ssła jej pierś tak, że aż policzki się jej zaróżowiły. Dla ciebie – pomyślała. I dla mnie.

W związku z zaistniałą sytuacją grupa dochodzeniowa zebrała się, mimo że była to sobota.

Knutas z niecierpliwością czekał na prezentację wniosków, do jakich doszła Agneta Larsvik. Ostatnie dwa dni poświęciła na analizę cech, które jej zdaniem były charakterystyczne dla sprawcy.

Wszyscy akurat usiedli, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Martin Kihlgård. Wyglądał na zadowolonego, miał włosy rozwichrzone przez wiatr, a w rękach trzymał dwie duże papierowe torby.

– Cześć wszystkim – witał się dziarsko. Byłem na kapitalnej zabawie w knajpce w Hamra, a gdy miałem już stamtąd odjeżdżać dziś rano, wcisnęli mi trochę słodkich dodatków do kawy. Czy może ktoś zaparzył już kawę?

– Nie, ale zaraz to zrobię – zaoferowała Karin.

– Pomogę ci – powiedział Martin i oboje wyszli z pokoju.

Knutas i Norrby wymienili się spojrzeniami. Ten Kihlgård musi zawsze jakoś się wyróżniać. Z drugiej strony stwarzał dobrą atmosferę, co Knutas akurat doceniał, bo sam nie był w tym za dobry.

Czekali cierpliwie, aż kawa będzie gotowa. W tym czasie nadszedł Thomas Wittberg z litrową butelką coca-coli. Sądząc po jego wyglądzie, on również bawił się do późnego wieczora i za kołnierz nie wylewał. Porozmawiali trochę o wczorajszej zabawie na mieście. Było niezwykle głośno. Liczba turystów zdawała się wzrastać z każdym rokiem, szczególnie ludzi młodych, których kusilo knajpiane życie w Visby, jako że tutejsze lato należało do najbardziej udanych w całym kraju. Jednak wraz z młodzieżą pojawiło się pijaństwo, narkotyki i bijatyki. Ale osoby zebrane wokół stołu miały o wiele poważniejsze sprawy do omówienia. Gdy więc tylko pojawiła się na stole kawa oraz przyniesione przez Kihlgårda cynamonowe bułeczki, rozpoczęli dyskusję dotyczącą obecnego stanu śledztwa. Knutas rozpoczął ją od zwrócenia uwagi wszystkich na inwestycję hotelową stanowiącą istotny

element łączący sprawę Martiny Flochten z Gunnarem Ambjörnssonem. To była informacja dla tych, którzy nie słyszeli dyskusji na korytarzach. Zwrócił się w stronę Karin i Wittberga.

– Co ustaliliście?

– Niewiele. – Wittberg podrapał się po swoich blond lokach. Karin i ja poświęciliśmy cały wczorajszy dzień na rozmowy z tymi demonstrantami i politykami, do których udało nam się dotrzeć. Nie było to proste. W lipcowe piątki ludzie rzadko kiedy są jeszcze w pracy po lunchu. Zorientowaliśmy się, jak to jest z tymi protestami, groźbami i tak dalej. Oczywiście nie mówiliśmy nic o końskim łbie znalezionym u Ambjörnssona – podkreślił, gdy zauważył zaniepokojony wyraz twarzy Knutasa. – Ten sprzeciw wydaje się być nieznaczny i kiepsko przemyślany – ciągnął dalej. – Nie było żadnych gróźb. Wprawdzie były jakieś protesty i do gminy wpływały też pisma, ale nie było to nic poważnego. Jest według mnie mało prawdopodobne, abyśmy to tam właśnie znaleźli motyw. Jak sądzicie?

Spojrzał na Karin, która przytaknęła.

– Czy sprawdziliście te skargi, które wpłynęły do gminy?

– Jeszcze nie.

– Zróbcie to jak najszybciej – zarządził Knutas. – A co z interesami archeologów na Högklint?

– Wydaje się, że prawie nie mają tam czego szukać. Okolica została już wcześniej częściowo przekopana i nie wygląda na specjalnie interesującą, chociaż będziemy jeszcze rozmawiać z kilkoma osobami.

Wittberg pociągnął duży łyk napoju z butelki.

– Jedną z osób, z którymi odbyłam ciekawą rozmowę, jest Zuzanna Mellgren – wtrąciła Karin. – Zadzwoiła do mnie dziś rano i powiedziała, że to wszystko, co mówi się o niewierności jej męża, to prawda.

– Ach tak? – Knutas był zaskoczony. – A przecież jeszcze wczoraj temu zaprzeczała.

– Tak jest, lecz teraz twierdzi, że jej mąż od lat zdradza ją i to z różnymi kobietami. Natomiast nie była pewna, czy łączyło go coś akurat z Martiną Flochten, ponieważ ona na ogół od razu spostrzega, kiedy pojawia się jakaś nowa kobieta w życiu jej męża. Powiedziała, że jego niewierność wcale jej nie obchodzi. Szczerze powiedziawszy, mam wrażenie, że zależy jej na ich małżeństwie, bo to dla niej z ekonomicznego punktu widzenia jest najbardziej praktyczne i sensowne rozwiązanie. Obecnie kształci się na terapeutkę masażystkę i chce otworzyć własny gabinet. Pewnie będzie się chciała rozwieść z mężem, jak tylko stanie już na własnych nogach.

Knutas zmarszczył czoło.

– Musimy o tym raz jeszcze pogadać z Mellgrenem, który twierdził, że jest im tak dobrze ze sobą – mruknął i zanotował coś w swoich papierach.

Poprosił Anetę Larsvik o jej opinię na temat sprawcy. Stała przy krótszym boku stołu.

– Chciałabym przede wszystkim podkreślić, że są to moje wstępne przemyślenia, bowiem na tak wczesnym etapie śledztwa niczego jeszcze nie można stwierdzić z całą pewnością. Traktujcie to, co powiem, jako wstępną hipotezę i na razie nic więcej. Wiele wskazuje jednak na to, że mamy do czynienia ze sprawcą ciężko upośledzonym psychicznie. Czynu tego dokonał prawdopodobnie w pojedynkę, co oznacza, że jest bardzo silny fizycznie. Sprawca przypuszczalnie nie był w żaden sposób powiązany z Martiną Flochten. Nie sądzę, by się znali. Czyn nie wygląda na skierowany konkretnie przeciwko niej. Natomiast uważam, że sposób dokonania zbrodni wskazuje, iż sprawca żywi nienawiść do ludzi i gardzi głównie kobietami. Wydaje się, że jest w tym jakaś symbolika, choć na podstawie jednego zabójstwa trudno dokładniej powiedzieć jaka. Sądzę, że chciał poniżyć swoją ofiarę i pozbawić ją siły w możliwie maksymalnym stopniu. W ten sposób to on zyskuje nad nią władzę, co sprawia mu satysfakcję. Można się tylko domyślać, że jako dziecko był molestowany lub bywał upokarzany przez jednego lub oboje rodziców, a teraz chce się zemścić, czyniąc ze swojej ofiary osobę tak bezsilną, jaką on sam był w dzieciństwie. Nie zdziwiłabym się, gdyby miał zaburzoną relację ze swoją matką.

– A jak my, kurde, mamy szukać kiepskich relacji z matką? – Kihlgård rozłożył ręce i o mało nie przewrócił przy tym kubka Karin.

Agneta Larsvik uśmiechnęła się.

– Warto pamiętać o tym podczas przesłuchań, na przykład jeżeli ktoś z pogardą wypowiada się o kobietach albo nie utrzymuje kontaktu z rodzicami, zwłaszcza z matką.

– Mówisz, iż chciał uczynić ofiarę bezsilną – powiedziała Karin. – Dlaczego więc miałby pastwić się nad nią, kiedy już nie żyła? Przecież wtedy ofiara nie może już odczuwać przewagi oprawcy.

– Pamiętaj, że mówimy o uczuciach mordercy, a jakiegokolwiek logiki czy racjonalnego myślenia raczej trudno się tutaj doszukiwać. Takiemu człowiekowi tak bardzo zależy na psychicznym dominowaniu nad innymi ludźmi, co daje mu wewnętrzną satysfakcję, że nie rozumuje w taki sposób jak my. Redukuje on ofiarę do rzeczy bądź obiektu, a więc czegoś, co pomoże mu uzyskać taki stan, jaki zamierza osiągnąć. Dla niego jest to pewien sposób na pokonanie własnego strachu, przynajmniej w tym przypadku.

– A co sądzisz o tym, że był to może jakiś rytualny mord? – dopytywał się Wittberg.

– Jedno nie musi wykluczać drugiego. Może to być jednocześnie fanatyk, który stosuje jakieś rytualne praktyki.

– A co może oznaczać fakt, że była naga? – zapytał Knutas.

– Nagość skłania oczywiście do wysnucia hipotezy, że mordu dokonano na podłożu seksualnym. Może to być zwykła ciekawość, co wskazywałoby na brak doświadczenia seksualnego. Można też się zastanawiać, co zrobił z ubraniem, czy nie ma tu jakiejś oznaki skłonności do fetysyzmu.

– To samo z krwią – do czegoś, do ciała, może mu ona być potrzebna?

– Zebranie rozlanej krwi może stanowić dla niego pewien sposób podtrzymania tego pozytywnego uczucia, jakie go ogarnęło. Seryjni zabójcy zazwyczaj również zabierają coś swojej ofierze: kępkę włosów, fragment odzieży czy cokolwiek innego.

– Seryjni zabójcy?

Karin spojrzała z przerażeniem.

– Tak, tak właśnie jest.

Mina Agnety Larsvik była poważna.

– Ważne jest oczywiście, by nie dać się zastraszyć, ale powinniśmy chyba niestety liczyć się z tym, że nasz sprawca może zaatakować ponownie.

Niedziela, 11 lipca

Sala Zbiorów Dawnych, historyczna część gotlandzkiego muzeum okręgowego na Strandgatan w Visby tego niedzielnego ranka była pusta. Hall wejściowy wydawał się chłodny w porównaniu z ulicą koło budynku i było tu całkiem cicho. W tej ciszy jego kroki rozlegały się głośno. Dziewczyna za szybą w kasie była zatopiona w lekturze książki i wyglądało na to, że nawet nie usłyszała jego wejścia. Musiał chrząkać aż dwa razy, by wreszcie podniosła wzrok. Dostrzegł jej spojrzenie zza swoich okularów w kanciastych oprawkach i bez słowa kupił bilet. Dla zachowania pozorów przemierzał bez większego zainteresowania sale pełne kamieni, z rysunkami historycznych grobowców i zrekonstruowanych osad z epoki kamiennej. Wyglądało na to, że jest jedynym zwiedzającym. W okresie urlopowym słoneczną niedzielę ludzie woleli spędzić na plaży czy w domku letniskowym. Pogoda doskonale sprzyjała jego zamiarom.

Szedł po schodach prowadzących do miejsca, które dopiero tak naprawdę go interesowało – do skarbcza. Zawsze, gdy do niego wchodził, ogarniało go przygnębienie. Znajdowała się tu niewielka część tych wszystkich bogactw, jakie wydobyto z gotlandzkiej ziemi od czasu, kiedy w latach sześćdziesiątych na serio rozpoczęto wykopaliska na wyspie. Cenne przedmioty ze srebra, biżuteria i monety.

Biorąc pod uwagę powierzchnię, Gotlandia mogła pochwalić się większą ilością znalezisk z epoki wikingów niż jakiegokolwiek inne miejsce na świecie. Znaleziono tu co najmniej siedemset wikingowskich srebrnych przedmiotów. Najśłynniejsze było znalezisko ze Spillinge, największe na świecie, a pochodzące z tego okresu. Wykopano go w Spillinge w osadzie Othem na Gotlandii w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Ekspонат ważył sześćdziesiąt siedem kilo i zawierał między innymi czternaście tysięcy trzysta monet, prawie pięćset sprzączek naramiennych, dwadzieścia pięć pierścieni i kawałki srebra.

Wiele monet znalezionych w Spillinge wzbudzało sensację. A przede wszystkim jedna z nich, nazwana Monetą Mojżeszową, wybita w państwie chazarskim, które było najpotężniejszym organizmem państwowym Europy Wschodniej w ósmym i dziewiątym wieku. Moneta Mojżeszowa stanowiła pierwsze znalezisko archeologiczne świadczące o powiązaniach judaizmu z Chazarami, co czyniło ją unikatem na skalę światową.

Przychodził tu czasem i stał przez dłuższą chwilę, oddając się swym fantazjom na jej temat. Był na niej arabsko-żydowski napis *Musa krasul Allah*, Mojżesz jest posłańcem Boga. Badacze tłumaczyli ten napis jako żydowski, nawiązujący do biblijnego Mojżesza, który wyprowadził Izraelitów z Egiptu i na górze Synaj otrzymał od Boga kamienne tablice z dziesięcioma przykazaniami.

Słyszał, że eksponat ten ma być zabrany do Muzeum Historycznego w Sztokholmie, gdzie można by go pokazywać szerszej publiczności. To kolejne świętokradztwo.

Usiadł na ławce pod ścianą, aby po raz ostatni przeanalizować w myślach swój plan. Nadal nie było nikogo widać.

Wzdłuż ścian stały gabloty ze srebrnymi monetami pochodzenia arabskiego, niemieckiego, irlandzkiego, czeskiego, węgierskiego, włoskiego, a także szwedzkiego. Ale to nie monety go interesowały. Takie kradł od lat w znacznie bardziej zwyczajnych miejscach niż muzea, w których kradzież monet oczywiście szybko by odkryto. Tym razem miał o wiele wyższy cel, którego osiągnięcie dokładnie już wcześniej zaplanował. Cena, jaką mu zaoferowano, była tak wysoka, iż nie mógł oprzeć się pokusie, mimo związanego z tym ryzyka.

Sprzedaż gotlandzkich znalezisk nie stanowiła dla niego żadnego problemu. Trafiały na kontynent, a on mógł zarobić na tym trochę grosza. Przynajmniej wiedział, dokąd trafiały. Pieniądze wykorzystywano również na cele, które by się spodobały jego wikińskim praprzodkom. W ten sposób kółko się zamykało i tak właśnie starał się interpretować to, co robi. W głębi duszy uważał jednak, że te przedmioty należały do niego, a już na pewno bardziej należały się jemu niż ludziom sprawującym władzę, którzy zdecydowali o zabranii ich z wyspy. Część rzeczy, swoje ulubione okazy, zatrzymywał dla siebie.

W gablocie na środku sali znajdowała się bransoleta, która połyskiwała najczystszym złotem. Był to największy pojedynczy eksponat ze złota z epoki wikingów, jaki znaleziono na Gotlandii w osadzie Sundre. Bransoleta była z dwudziestoczterokaratowego złota i datowano ją na rok tysięczny naszej ery. Przedmioty ze złota, pochodzące z tych czasów, znajdowano niezwykle rzadko. A tu najcenniejszy klejnot leżał tuż przed nim, oddzielony od niego jedynie szklaną szybą.

Wstał i wyszedł na schody. Spojrzał w dół w stronę kasy. Kasjerka nadal czytała. Zerknął na swój zegarek. Była dwunasta. W tej chwili wszyscy powinni być na lunchu, z wyjątkiem tej dziewczyny z kasy. I na to właśnie czekał. Ryzyko schwymania go prawie nie istniało, a jego ubiór miał uniemożliwić komukolwiek wskazanie na niego jako na sprawcę kradzieży. Skupił się, założył cienkie rękawiczki, szybko przeszedł przez sale na piętrze. Nie

było tam żywej duszy.

Od strony wejścia dochodziły jakieś głosy. To pracownicy muzeum wychodzili na lunch. Drzwi znów się zamknęły. Teraz był tu tylko on i kasjerka.

W muzeum nie było kamer, ale kilka lat temu zainstalowano tu alarm. Dowiedział się, w jaki sposób można go wyłączyć, więc ta kwestia nie stanowiła już dla niego problemu.

Wyjął z kieszeni mały śrubokręt i odkręcił szklaną gablotę od podtrzymującego ją uchwytu. Jednocześnie stale nasłuchiwał, co się dzieje na schodach. Nie chciał, by złapano go na gorącym uczynku. Potem wystarczyło już tylko zdjąć górną część, ostrożnie postawić ją na kamiennej podłodze i wyjąć bransoletę. Przywrócił gablotę do jej pierwotnego stanu i spokojnym krokiem zszedł po schodach. Kasjerka nadal siedziała z nosem w książce, prawie jakby spała. Niezauważony przez nikogo wyszedł i zniknął w głębi ulicy.

Poniedziałek, 12 lipca

Kradzież w Sali Zbiorów Dawnych spowodowała, że Johan musiał pozostawić Emmę i Elin na Fårö i jak najszybciej wrócić do Visby. Zrobił reportaż na temat tego wydarzenia dla niedzielного programu wiadomości lokalnych.

Teraz, w poniedziałek rano redaktor wyjaśnił mu, że oczekuje relacji z dalszego biegu sprawy, która wywołała szok, oburzenie i lawinę pytań, jak to się mogło stać? Wszystko już sobie dokładnie poukładał w tej swojej redaktorskiej czaszce – pomyślał Johan z sarkazmem, mimo że on również był zdania, że należy śledzić dalszy bieg tej sprawy. Sam zastanawiał się, w jaki sposób złodziej zdołał odłączyć alarm. Czyżby zrobił to ktoś z pracowników muzeum? A jeśli tak, to ile takich incydentów miało już miejsce w przeszłości? W archiwum prasowym zamówił wycinki z gazet na temat kradzieży gotlandzkich znalezisk. Przesłano mu je faksem. W większości była mowa o osobach z zagranicy, które przyjeżdżały na wyspę z wykrywaczami metalu i kradły zakopane na niej srebrne przedmioty.

W jednym z egzemplarzy „Gotlands Tidningar” sprzed półroczna znalazł artykuł, który przykuł jego uwagę: „Tajemnicza kradzież z magazynu muzeum regionalnego”.

Żadna z osób, z którymi rozmawiał w związku z tą ostatnią kradzieżą, nie wspominała, że różne przedmioty ginęły już wcześniej. Chociaż w artykule istotnie pisano o kradzieżach z magazynu, który leżał w innej części miasta. Być może nie było więc w tym nic dziwnego, że nikt o tym nie wspominał. Nie chcieli oczywiście przyznawać się do większej liczby kradzieży, niż musieli.

Artykuł mówił o tym, że skradziono wiele monet z magazynu, w którym przechowywano wszystkie znaleziska nieprezentowane na wystawach. Z uwagi na małą powierzchnię Sali Zbiorów Dawnych można było w niej pokazać tylko niewielką część tego, co wykopywano na wyspie. W artykule zamieszczono rozmowę z Eskilem Rondahlem, osobą odpowiedzialną za magazyn.

Johan zdobył numer telefonu do magazynu i połączono go z Rondahlem.

W słuchawce po drugiej stronie odezwał się jakiś skrzeczący, suchy głos.

– Halo!

– Dzień dobry, nazywam się Johan Berg. Dzwonię z wiadomości lokalnych Telewizji

Szwedzkiej.

Rozmówca Johana nie odezwał się, więc on ciągnął dalej:

– Dzwonię w sprawie pewnego artykułu w „Gotlands Tidningar” sprzed pół roku, który donosi o kradzieży arabskich monet z magazynu muzealnego.

– Aha.

– Czy pamięta go pan? Bo w tym artykule jest wywiad właśnie z panem.

– Tak, wiem. Tamta kradzież została wyjaśniona.

– Jak to?

– Okazało się, że nie popełniono w ogóle żadnej kradzieży. Brakujące monety odnalazły się. Przez pomyłkę trafiły tylko gdzie indziej.

– Jak to przez pomyłkę?

– Przyczyną zamieszania było małe niedbalstwo, za które winię samego siebie. Gdy muzeum dostaje jakieś monety, składa się je w specjalnie zabezpieczonym dziale w magazynie, gdzie przechowujemy wartościowe przedmioty, które mogłyby paść łupem złodziei. W opisanym w artykule przypadku gdzieś nam zniknęła skrzynka z monetami, ale potem ją znaleźliśmy. Cóż, to była dość nieprzyjemna dla mnie sprawa i dlatego najchętniej zapomniiałbym o tej historii.

– Rozumiem. Czy mieliście jakieś inne kradzieże?

– Nie mamy co do tego absolutnej pewności, ale czasem pewnie zdarza się, że coś zniknie.

– Ale to przecież poważna sprawa. Ludzie nie mogą chyba tak sobie ukraść rzeczy, które mają tysiąc lat. A co na to policja?

– Oni się tym za bardzo nie przejmują. Żaden policjant nie angażuje się w kradzieże starych znalezisk. Takie sprawy widnieją na samym końcu listy ich priorytetów – parsknął Rondahl. – Proszę mi wybaczyć, ale nie mam już teraz więcej czasu.

Johan podziękował i odłożył słuchawkę.

Był zaskoczony tą rozmową. Ktoś kradnie eksponaty z muzeum i nikogo to nie obchodzi?

Zadzwoił na uczelnię i poprosił o możliwość rozmowy z jakimś archeologiem. Był tam akurat jednie nauczyciel teorii Aron Bjarke.

Johan opowiedział mu o przeczytanym artykule i o tym, co powiedział Eskil Rondahl.

Bjarke częściowo potwierdził, że tak istotnie jest.

– Możliwe, że ktoś kradnie jakieś pojedyncze przedmioty i nikt tego nie zauważa. Ale nie to jest najgorsze, że tu i ówdzie zginie jakiś drobiazg. Największym problemem są

poszukiwacze szczęścia, którzy przyjeżdżają na Gotlandię, żeby szukać srebrnych przedmiotów. Kilka lat temu weszło w życie nowe prawo mające powstrzymać ten proceder. Obecnie na Gotlandii zabronione jest używanie wykrywaczy metali bez specjalnego zezwolenia władz wojewódzkich. W zeszłym roku policja złapała dwóch Anglików, którzy w najlepsze poszukiwali skarbów za pomocą wykrywacza metali.

– A co się dzieje ze skradzionymi przedmiotami?

– Na całym świecie istnieją kolekcjonerzy, którzy płacą spore sumy na przykład za biżuterię srebrną czy za monety z przełomu tysiącleci. Nie mówiąc już o całej tej pięknej biżuterii z czasów wikingów, jaką tu znajdujemy. Rynek jest ogromny i stoją za tym duże pieniądze.

– Czy kradzieże nadal się zdarzają?

– Z całą pewnością, tylko że policja nie interesuje się nimi.

– A czy może pan wskazać jakąś konkretną kradzież, o której panu wiadomo.

Bjarke zamilkł na chwilę.

– Niestety, nie mogę. Nie w tej chwili.

Piątek, 23 lipca

Od kradzieży w Sali Zbiorów Dawnych minęły prawie dwa tygodnie. Nadal nikogo nie ujęto ani w sprawie Martiny Flochten, ani w sprawie obu koni, ani też owej kradzieży. Właściwie Knutas uważał, że nie ma żadnego związku pomiędzy tymi sprawami, ale prosił osobę prowadzącą śledztwo w sprawie kradzieży, aby ta informowała go o postępach śledztwa. Te sprawy miały jednak pewną wspólną cechę: wszystkie były dalekie od rozwiązania.

Knutas wiedział, że nie może pojechać do rodziny przebywającej na urlopie w Danii, dopóki morderstwo Martiny Flochten nie zostanie wyjaśnione. Nie zmieniało to jednak faktu, że marzył mu się urlop z golfem i wędką czy kieliszek wina i dobra książka na werandzie. Był zmęczony i zaczynał odczuwać frustrację. Nic nie wychodziło tak, jak chciał. Myślał, że w ich pracy dochodzeniowej uspokoi się trochę, kiedy znaleziono odcięty łeb koński u Gunnara Ambjörnssona, ale tak się jednak nie stało. Line i dzieci powrócili z wakacji opaleni i wypoczęci, podczas gdy on nadal nie miał żadnej pomyslniej wiadomości w sprawie śledztwa.

Prawda była taka, że stali praktycznie w tym samym miejscu. Tych niewielu sąsiadów Ambjörnssona, którzy byli w domu owego wieczora, nic nie widziało ani nie słyszało. Z wyjątkiem pewnej starszej pani, która zwróciła uwagę na nieznanego jej samochód stojący na ulicy. Nie potrafiła jednak podać ani jego marki, ani rocznika, ani powiedzieć nic bliższego na jego temat oprócz tego, że był czerwony i dość duży.

Być może był to samochód sprawcy. Koński łeb raczej nie należy do przedmiotów, z którymi człowiek obnosi się po mieście na piechotę. Policja nadal nie odebrała też żadnego zgłoszenia o zaginięciu konia czy odkryciu końskich zwłok pozbawionych łba. Knutas zadawał sobie pytanie, jak to możliwe. Znał tylko jedno miejsce, gdzie mógłby zniknąć koń i nikt by tego szybko nie odkrył. Była to ostoja kuca gotlandzkiego w Lojsta, ale szkopał w tym, że łeb nie należał do kuca.

Policja nie chciała ogłaszać listu gończego, ponieważ informacja o tym zdarzeniu dotarłaby wówczas do opinii publicznej. Sprawa końskiego łba zatkniętego na palu pod drzwiami wysoko postawionego lokalnego polityka niewątpliwie wywołałaby spory niepokój wśród miejscowej ludności i turystów. W najgorszym wypadku byłby to śmiertelny cios dla

budowy hotelu. Zagraniczni inwestorzy być może wycofali się, a na to Gotlandia nie mogła sobie pozwolić. Knutas był na spotkaniu z komendantem wojewódzkim policji, wojewodą i starostą i wszyscy zgadzali się co do tego, że zdarzenie to należy utrzymać w tajemnicy.

Dziwne, a zarazem bardzo korzystne było to, że media jeszcze o niczym się nie dowiedziały. Być może dzięki temu, że czynu dokonano w samym środku okresu urlopowego, kiedy to wielu lokalnych reporterów dysponujących siecią szerokich i zażyłych kontaktów miało wolne. Knutasowi niezwykle imponowało, że wszyscy pracujący przy tej sprawie dotrzymali obietnicy i niczego nie ujawnili.

Natomiast nie był równie zadowolony z pracy policji. Jeśli chodzi o tragiczną i brutalną śmierć Martiny Flochten, nadal poruszali się po omacku. Przesłuchano tych paru znajomych, jakich miała na Gotlandii, w tym właściciela hotelu Jacoba Dahlena, który w niczym im niestety nie pomógł, a nawet twierdził, że jej tego lata w ogóle nie widział.

Również i funkcjonariusze z Centralnego Biura Śledczego nie okazali się jakoś szczególnie pożyteczni. Agneta Larsvik wyjechała na weekend do Sztokholmu, a Kihlgård, mimo iż był zdolnym gościem, jak na razie, mówiąc delikatnie, wniósł niewiele nowego do pracy policji. Natomiast udała mu się inna rzecz, mianowicie rozradowanie Karin. Od czasu, kiedy przyjechał na Gotlandię, była o wiele pogodniejsza. Czasami nawet Knutas zastanawiał się, czy nie łączy ich coś więcej. Ale to pewnie tylko dochodziło do głosu jego wyczerpanie na punkcie Karin.

Johan i Pia zrealizowali swój cykl reportaży na temat przepelnionego już rynku nieruchomości w Visby, który został dobrze przyjęty przez redakcję wiadomości lokalnych w Sztokholmie. Trudno było znaleźć w środku lata coś sensownego, co nie dotyczyłoby turystyki, knajpianego życia czy jakości kąpielisk.

W Sztokholmie redaktora Grenforsa, który był na urlopie, zastępowała reporterka, która w razie potrzeby pełniła również funkcję redaktora. Przez większość czasu pozwalała Johanowi pracować w spokoju. Mógł jednak dostać tylko parę pojedynczych dni wolnego, ponieważ był na Gotlandii na zastępstwie w okresie letnim. Nie mogło być mowy o jakimś dłuższym urlopie przed wrześniem. Ostrożnie zagadnął Emmę, że byłoby fajnie, gdyby gdzieś razem wyjechali. Odniosła się do tego sceptycznie. Być może Elin była jeszcze za mała, żeby latać.

Czasami Johan był naprawdę zmęczony Emmą. Tym, że zwlekała z decyzją, żeby byli parą i żeby się do niej wprowadził. Nie odpowiadało mu mieszkanie z nią w domu, w którym żyła razem z Ollem, ale na początek mogło być i tak. Ze względu na Sarę i Filipa miał się pogodzić z tą sytuacją. I był gotów. Zaczynało go jednak wkurzać gadanie Emmy o jej pogmatwanym życiu. Miał już tego po dziurki w nosie. A on? Poświęcił dla niej wszystko. Zostawił pracę, mieszkanie, kumpli i całe swoje życie w Sztokholmie, żeby osiąść na wyspie, na której praktycznie nikogo nie znał. Nigdy się jednak nie skarżył. Wyglądało tak, jakby w jej życiu nie było dla niego miejsca.

Na początku sądził, że uda mu się to ścierpieć. Emma była w zaawansowanej ciąży, potem przyszła pora porodu razem z wszystkimi tego następstwami. Ale któregoś dnia powinna być w końcu gotowa zrobić kolejny krok z swoim życiem. Dopuszczać go do siebie. Pokłócili się poprzedniego wieczora, kiedy podjął ten temat, i od tej chwili nie rozmawiali ze sobą. Właśnie teraz miał wielką ochotę pójść do knajpy i upić się w trupa.

Jego rozmyślanie przerwała Pia, która weszła akurat do pokoju.

– Cześć.

Odstawiła aparat, statyw i torbę.

– Gdzie byłaś?

– W okolicy. Uchwyciłam kilka świetnych letnich scenek, które możemy dać jako zdjęcia końcowe. Takie coś jest zawsze fajne, a ja niczego specjalnego nie planowałam. Ty też coś nie zgłaszasz za wiele błyskotliwych pomysłów.

Uśmiechnęła się złośliwie i zasiadła do komputera, aby przegrać zdjęcia na dysk.

Johan przyglądał się jej przy pracy. Pia była ładna, naprawdę ładna. Jakoś tego wcześniej nie dostrzegał. Miała wprawdzie zbyt punkowy styl bycia jak na jego gust, ale była łagodna i kobieca, a jednocześnie wiedziała, czego chce. Johan to doceniał. Zawsze miała swoje zdanie na temat różnych spraw społecznych. Obchodziło ją też to, co się z nim dzieje. A kiedy on i Emma po raz ostatni dyskutowali o jakichś sprawach społecznych? Czy ją w ogóle interesowało, co się wokół niej dzieje? Nawet dotychczas o tym w ogóle nie myślał. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio dyskutowali czy choćby rozmawiali na temat jakiegoś aktualnego problemu na świecie. Refleksja ta wprawiła go w zadumę. Miłość na tyle go zaślepiła, że nawet nie był pewien, jakie były jej przekonania polityczne.

– Coś taki cichy? – Pia obróciła głowę i spojrzała na niego. – Co się dzieje?

Ocknął się. Tak się zamyślił, że pewnie siedział wgapiony w nią głupawo, nie zdając sobie z tego sprawy.

– A, nic.

Wzruszył ramionami, te ostatnie przemyślenia zirytowały go i nie dawały spokoju.

– Wygląda na to, że musisz się trochę rozruszać. Skoczmy gdzieś na piwo?

– Chętnie.

Wyszli z redakcji. Letni wieczór był ciepły niczym gdzieś nad Morzem Śródziemnym. Było kilka minut po siódmej i zarówno restauracje, jak i bary zaczynały zapełniać się opalonymi, spragnionymi zabawy turystami. Poszli do baru na Dużym Rynku i usiedli przy jednym ze stolików na zewnątrz lokalu.

– Jak ci właściwie leci? – zapytała Pia, kiedy każde z nich dostało już swojego wielkiego i lodowato zimnego pilznera.

– Chyba okej. Tyle się ostatnio wydarzyło, że nie mogę tego ogarnąć.

– To jest dla mężczyzny z pewnością wielkie przeżycie, gdy zostaje ojcem. – Pia rozkoszowała się piwem, pijąc je małymi łykami. – Dlaczego właściwie nie jesteś teraz z Emmą i Elin?

– Emma miała mieć u siebie dzieci z poprzedniego związku, Sarę i Filipa. Były na wakacjach za granicą ze swoim ojcem i długo się nie widzieli. Dlatego chciała pobyć z nimi

sama.

– Aha. No, można to zrozumieć.

– Tak, chociaż czasami mam takie wrażenie, że cały czas nie robię nic innego, jak tylko uwzględniam potrzeby jej i jej drugiej rodziny.

– Kurczę, to musi być strasznie uciążliwe – powiedziała Pia ze współczuciem. – Jakby samo utrzymywanie tak zwanych zwyczajnych stosunków nie było już wystarczająco trudne.

Podniosła oczy ku niebu.

– A co u ciebie? – zaciekawiał się Johan. – Pia nigdy nie opowiadała o żadnym swoim partnerze, a on do tej pory nie zdobył się na to, by ją spytać. – Czy masz jakiegoś faceta?

– I mam, i nie mam. Można to chyba tak ująć, że zadaję się z takim jednym chłopakiem od czasu do czasu, kiedy nam pasuje.

– Czy mówimy o seksie towarzyskim?

– Nie. Lubię go dosyć, ale nic więcej nigdy między nami nie będzie, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Stoimy wciąż w tym samym miejscu i do niczego nie dochodzimy.

– Czyli mniej więcej tak jak ja i Emma.

– Boże, ale przecież właśnie urodziło wam się dziecko!

– Tak, ale jakoś dziwnie się wydaje, że to wydarzenie nie zmieniło tak wiele w naszym związku. Jakkolwiek dziwnie to może zabrzmieć. Emma przytacza na przykład tysiące argumentów, dlaczego nie chce, żebym się do niej wprowadził.

– Musisz dać czas jej, rozumiesz chyba. Spowodowała rozpad całej swojej dotychczasowej rodziny, a ma przecież dwoje dzieci, które musi brać pod uwagę. No i jest jeszcze problem, żeby wszystko grało z tym jej byłym. Nie dziwi mnie, że nie chce za ostro iść do przodu. Elin ma chyba dopiero kilka tygodni, prawda?

– Tak, to jasne – powiedział Johan niemile zaskoczony brakiem jej poparcia. A właśnie w tej chwili przydałoby mu się trochę wsparcia. Wypił piwo do końca i wstał.

– Czy chcesz jeszcze jedno piwo?

– Chętnie.

Przy kontuarze był tłok, a muzyka grała na pełny regulator. Johan cieszył się, że jest wśród ludzi. W lecie Visby pulsowało życiem i gdyby nie miał Emmy, to pewnie by wychodził każdego wieczora. Czekając w kolejce, by zamówić piwo, rozglądał się nieco. Nagle spostrzegł kogoś, kto wydawał mu się znajomy. Mężczyzna stał plecami do Johana i rozmawiał z ładną blondynką nie więcej niż dwudziestopięcioletnią. Śmiała się do niego i popijała małymi łykami coś, co było chyba winem musującym albo może szampanem. Kiedy wznosili toast, mężczyzna obrócił się na tyle, że Johan mógł dostrzec jego profil.

Był to Staffan Mellgren.

Sobota, 24 lipca

Dzień później Staffan Mellgren został dłużej na wykopaliskach. Poprzedniego wieczora nie spał do późna. Miał kaca i był zmęczony, ale wolał już raczej pracować, niż musieć się tłumaczyć Zuzannie, dlaczego spał na mieście. Nawet jeżeli podejrzewał, że żona wie, czym on się zajmuje i już w najmniejszym stopniu nie martwi się tym, że on spotyka się z innymi, to jednak wydawało mu się, iż sprawia jej jakąś przyjemność udawanie, że sprawy wyglądają inaczej. Grała rolę dobrodusznej, niesprawiedliwie traktowanej żony tylko po to, by z satysfakcją patrzeć, jak on się męczy.

Wracając samochodem do domu, zadzwonił do Zuzanny, która – oczywiście po obowiązkowej dyskusji – przyjęła do wiadomości, że musiał zostać w pracy po godzinach. Tonem skrzywdzonej przypomniała mu, że już trzeci raz w tym tygodniu nie zdążył na obiad. On również grał dalej swoją rolę w tej jej swoistej sztuce teatralnej i twierdził, że zawsze ma taką masę pracy, gdy na kursach rozpoczynają się wykopaliska. Skądinąd była to święta prawda. A już na pewno tym razem, kiedy wykopaliska opóźniały się z powodu śmierci Martiny Flochten i szoku oraz zakłopotania, jakie ta śmierć spowodowała wśród uczestników. Kilka osób zrezygnowało z dalszego udziału w pracach, ale większość pozostała i był im za to wdzięczny. Upłynęły trzy tygodnie od morderstwa, a nadal wszyscy nie mogli o nim zapomnieć. Sytuacji raczej nie poprawiał też fakt, że nie złapano jeszcze sprawcy. Mellgren próbował wyjaśniać te sprawy swojej żonie, ale nie docierało to do niej. Zarzucała mu natomiast, że zaniedbuje rodzinę. Nie wiedział już nawet, po raz który z rzędu. Żałował, że w ogóle zadzwonił do niej i próbował ją uspokoić, wyrażając chęć nakarmienia kur po powrocie do domu.

Mieszkali w Lärbro, kilkadziesiąt kilometrów na północ od Visby. Miał więc kawałek drogi do przejechania. Nastawił radio na cały regulator i rozkoszował się muzyką. Pozwalało mu to się odprężyć.

Zastanawiał się, kiedy wygasła ich miłość. On sam nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni dostrzegł jakieś ciepło w jej oczach. Żył w związku małżeńskim niemal pozbawionym uczuć, takim tylko dla pozorów, w którym już od dawna nie było powodów do śmiechu. Być może rozwód był nieuchronny, ale on był zbyt wielkim tchórzem, by wykonać pierwszy krok.

Przy rodzinie trzymały go dzieci. Były jeszcze takie małe. Najstarsze miało dopiero dziesięć lat. Nie miał ani siły, ani ochoty, żeby właśnie teraz opuścić rodzinę. Trzeba z tym poczekać. Jednocześnie starał się robić wszystko, żeby jakoś wytrzymać. I robił to.

Kiedy skręcał na podwórze, było cicho. O tej porze dzieci na pewno już spały. Najlepiej będzie pójść od razu do kurnika.

Z podwórza widać było łąki i pola. Spojrzał na otynkowany na biało dom z wapienia, niebieskie okna z firankami i wazonami kwiatów i na drewnianą przybudówkę z floresowatymi zdobieniami. W jednej części tej przybudówki było atelier, w którym żona toczyła na kole dzbanki i miała nawet swój własny piec do ich wypalania. Jakżeż on ją kiedyś podziwiał za ten kunszt! Kiedy po raz ostatni rozmawiali o jej dzbankach?

Stodoła, którą planowali latem odmalować, stała wciąż zapuszczona. Jak na razie żaden z ich planów nie doczekał się realizacji. Po co mieli ją malować? Na czym mieli budować? Na niczym.

Ogarnęła go jakaś nagła melancholia. Usiadł na ławce przed pracownią garncarską z głową ukrytą w dłoniach. Zaraz nakarmi kury, tylko zaczerpnie sił. Połowę obory przekształcili na kurnik. Na co on komu teraz? Na początku, kiedy dopiero co zakochali się w sobie i przenosili się z Visby na wieś, hodowla kur wydawała im się obojgu romantyczna. Minęły lata, minęła romantyczność, a kury pozostały.

Czuł, jak szybko upływa mu życie, a on tylko stoi i patrzy na to. Dni nadchodziły i mijały i nic się nie działo. On i żona trwonili czas na codzienne sprzeczki i nie sypiali już ze sobą. Bez końca wykonywali jedną rutynową czynność za drugą.

Sporo czasu minęło od ich ostatniej prawdziwej awantury, nie chciało im się nawet już ze sobą kłócić. Pozostało im tylko to wieczne dąsanie się i trzymanie na dystans. Nie to, żeby pragnął jej bliskości. Już nie.

Wstał i powlókł się przez podwórze w stronę kurnika. Był cichy i piękny wieczór. Zapach krzaków jaśminu rosnących przed domem mieszał się z wonią kurzego nawozu. Kury dreptały po podwórzu, skubały coś tu i ówdzie, gdacząc po cichu. Były nadzwyczaj spokojnie tego wieczora.

Nagle dostrzegł coś, co wystawało nad otwartymi drzwiami stodoły. Był zbyt daleko, żeby mógł odróżnić, co to jest, ale coś tam najwyraźniej się znajdowało. Od czasu do czasu to coś ukazywało się zza kołyszących się konarów klonu, który rósł rozłożysto przed budynkiem.

Nie wiedząc dlaczego, zatrzymał się niezdecydowany. Niepewnie rozejrzał się dookoła, ale nikogo nie dostrzegł. Wtem nad podwórzem zapanowała jakaś niepokojąca

atmosfera.

Kiedy podszedł dostatecznie blisko, ogarnęło go przerażenie. W pierwszym momencie nie mógł jeszcze pojąć, co takiego ujrzał. Powoli wszystko zaczęło się klarować, a poplątane myśli w jego głowie zaczęły się układać w jedną logiczną całość.

Widok zakrwawionego końskiego łba zaszokował go najpierw, lecz niedługo potem wiedział już dokładnie, o co w tym wszystkim chodzi.

Niedziela, 25 lipca

Upał panujący w środku lata sprawiał, że ludzie zwalniali kroku, a Knutas był zmuszony zmieniać koszulę kilka razy w ciągu dnia. Myśli płynęły mu w głowie niczym zgęstniały syrop, najczęściej na bezdroża, a rozwiązanie tego wyjątkowego śledztwa zdawało się jeszcze bardziej odległe niż kiedykolwiek.

Line z dziećmi była na wsi, ale on nie miał ochoty siedzieć tam z założonymi rękami.

Od początku czerwca ani razu nie padało, co też było irytujące. Był w złym humorze, więc kiedy zadzwonił telefon, krzyknął zdenerwowany: – Halo!

– Dzień dobry, nazywam się Zuzanna Mellgren.

– Dzień dobry.

– Mój mąż Staffan Mellgren jest kierownikiem wykopalisk we Fröjel – wyjaśniła kobieta.

– Tak, oczywiście – pośpiesznie powiedział Knutas. – Nie od razu zrozumiał, o kim mowa.

– On nie chce, żebym do państwa dzwoniła, ale ja uważam, że powinnam.

– Tak?

– Otóż, tak się akurat składa, że wczoraj wieczorem znaleźliśmy przed naszym kurnikiem bardzo dziwną rzecz.

– A jaką?

– Nadziany na pal łeb konia.

Knutas stanął jak wryty.

– Ktoś umieścił go tam wczoraj wieczorem. Staffan odkrył go po powrocie z pracy.

– Jak on wyglądał?

– Był nadziany na dość mocny drewniany pal. Nie wiem, jaki to jest właściwie rodzaj pala, ale u góry ktoś wbił na niego odcięty łeb konia. To był więc prawdziwy koń.

– A gdzie stał ten pal?

– Mamy taki budynek, dawną oborę, który częściowo wykorzystujemy jako kurnik. Pal stał na zewnątrz przy drzwiach, oparty o ścianę. Był więc dobrze widoczny.

- Kiedy to się stało?
- Wczoraj wieczorem.
- I dzwoni pani dopiero teraz?

Knutas spojrzął na zegarek. Był kwadrans po czternastej.

– Przykro mi, ale Staffan nie chciał nikomu o tym mówić. Powiedział, że dzieci tylko by się niepotrzebnie przestraszyły, a on nie chciał robić z tego afery. Wydaje się właściwie, że niewiele się tym zdarzeniem przejmuje. Tak jakby to nie było takie niebezpieczne. Ja uważam jednak, że to jest coś ohydneho. Uznałam więc, że trzeba skontaktować się z policją, niezależnie od tego, jak on na to zareaguje.

– Dobrze, że pani zadzwoniła. Czy ten łeb jeszcze tam stoi?

– Nie. Staffan wywiózł go kawałek dalej i wrzucił do rowu melioracyjnego. Nie chciał, żeby dzieci go zobaczyły. One nawet nie wiedzą, że tu był.

– A czy wie pani, w którym miejscu wrzucił go do tego rowu?

– Tak, bo byłam tam i wszystko widziałam. Przykryłam łeb trawą i gałęziami, żeby jakieś zwierzęta nie zniszczyły śladów.

– Musimy oczywiście pojechać tam go obejrzyć. I to natychmiast.

– Dobrze. Staffan wyjechał dziś rano i powiedział, że nie będzie go przez cały dzień. Nie chciał mi powiedzieć, dokąd jedzie. Wolałabym, żeby się nie dowiedział, że zadzwoniłam do państwa.

– Niestety, to chyba nie będzie możliwe – powiedział Knutas. – Zajmujemy się sprawą niedawnego zabicia konia i zabójstwa tej młodej kobiety, która uczestniczyła w kursie prowadzonym przez pani męża. Wydaje się, że te sprawy wiele łączy. Trochę zbyt wiele, aby nie wiązać ich ze sobą. Mam więc nadzieję, że możemy liczyć na pani zrozumienie.

– Tak, tak – powiedziała Zuzanna Mellgren wstrzemięźliwie. – Tylko co Staffan może mieć z tym wspólnego?

Knutas nie odpowiedział na to pytanie.

Knutas, Erik Sohlman i Karin pojechali jednym samochodem do Lärbro.

Gospodarstwo było oddalone o kilka kilometrów od samej miejscowości i składało się z domu mieszkalnego, mniejszego budynku drewnianego wyglądającego na jakiś warsztat oraz stodoły. Około dwudziestu kur spacerowało dookoła i skubało pożółkłą od ostrego letniego słońca trawę.

Zuzanna Mellgren otworzyła drzwi po pierwszym dzwonku. Była to wysoka kobieta z krótko ostrzyżonymi, czarnymi włosami, ubrana w dzinsy i podkoszulek. Knutas stwierdził, że jest ładną kobietą o ciemnych oczach i oliwkowej karnacji. Chyba nie jest stuprocentową Szwedką – zdążył pomyśleć, zanim wyciągnęła rękę na powitanie.

– Czy może nam pani pokazać miejsce, gdzie znaleźliście pał z tym końskim łbem?

– Oczywiście, to było tutaj.

Zaprowadziła ich do stodoły. Kury gdakały i zbierały się wokół.

– To było dokładnie tutaj, obok drzwi do kurnika – powiedziała i wskazała na ścianę.

– A czy nie widzieliście żadnej obcej osoby, która kręciłaby się ostatnio po okolicy?

– Nie, nie widzieliśmy. Ani ja, ani Staffan. Pytałam też dzieci, oczywiście ostrożnie, bo one nadal nie mają pojęcia o tym, co się tu wydarzyło, ale wygląda na to, że one też nie zwróciły uwagi na nic nadzwyczajnego. Ten, kto przyniósł tu ten łeb, musiał to zrobić między ósmą a dziewiątą wieczorem. Tuż przed ósmą zawołałam dzieci do domu. Wcześniej bawiły się na podwórku i wtedy niczego tu jeszcze nie było. A krótko po dziewiątej przyjechał do domu Staffan.

– Świetnie – powiedział Knutas zachęcająco i zapisał coś w swoim notatniku. – Im bardziej zawężymy ramy czasowe zdarzenia, tym bardziej ułatwi nam to prowadzenie śledztwa. Jedno chciałbym powiedzieć na wstępie. Proszę nikomu o tym nie opowiadać. Ważne jest, żeby to się nie wydało. Między innymi ze względu na dzieci.

– Oczywiście – zgodziła się niepewnie Zuzanna Mellgren. – Chociaż moja mama...

– Nie szkodzi, byleby tylko zachowała to dla siebie. Gdzie więc jest ten łeb?

– Musimy przejść spory kawałek.

– A może da się tam podjechać? Bo chcemy zabrać ten łeb ze sobą – wtrącił Sohlman.

– Ach tak?

Wyglądała na sceptyczną i w jej oczach znów pojawił się niepokój.

– Oczywiście, musimy go przebadać. Kiedy porównamy wycinki z tego łba z ciałem zabitego konia, to – jeśli będziemy mieli szczęście – może uda nam się wyjaśnić w końcu sprawę tego konia – starał się jej wytłumaczyć Sohlman.

– Zanim stąd odjedziemy, chciałbym się rozejrzeć po państwa domu, jeśli to możliwe – powiedział Knutas.

– Tak, oczywiście.

Zuzanna Mellgren zaprosiła ich do środka. Dom wyglądał trochę staromodnie, bo miał wypastowaną drewnianą podłogę, meble, z których odchodziła farba, i wystrój przeważnie białego koloru. Dzięki temu było w nim jasno i przytulnie. Szerokie parapety okienne były zastawione glinianymi dzbankami oraz różnej wielkości drewnianymi i ceramicznymi rzeźbami. Wszędzie leżały ubrania, piłki i zabawki. W kuchni siedziała starsza kobieta z dzieckiem na ręku i czytała mu bajki. Kiedy trójka policjantów pojawiła się w drzwiach, podniosła wzrok i przywitała się przyjaznym skinieniem głowy.

– To jest właśnie moja mama – wyjaśniła Zuzanna. – Jest tu dzisiaj z nami i pomaga mi przy dzieciach.

Pojechali dwoma samochodami. Karin jechała z Zuzanną w pierwszym, a Sohlman i Knutas jechali za nimi w drugim.

Po jakimś kilometryrze jazdy asfaltową drogą wiodącą z Lärbu gdzieś dalej skręcili w wyboistą drogę dla traktorów. Zuzanna zatrzymała samochód obok pola i skupiska drzew rosnących przy drodze, wzdłuż której biegł rów melioracyjny.

Zeszła na dół do rowu i zaczęła odgarniać trawę i gałęzie.

Knutas i Sohlman pospiesznie podążyli za nią, aby jej pomóc. Karin zdecydowała się zostać na skraju drogi i patrzeć, co robią. Miała trudności z oglądaniem martwych ciał, czy to zwierząt, czy ludzi. W swej naiwności myślała, że z czasem przyzwyczai się do tego, ale wraz z upływem lat było z tym raczej coraz gorzej. Im więcej widziała, tym bardziej stawało się to dla niej nie do wytrzymania.

Kiedy cały łeb ukazał się wreszcie ich oczom, stanęli na drodze i przyglądali się mu.

– Sprawa jest chyba jasna, nie sądzicie? – zapytał Knutas.

– To jest z całą pewnością łeb kuca, który – tak na oko – pasuje w stu procentach do ciała tego konia z Petersviken – powiedział Sohlman.

– Jest w bardzo dobrym stanie – wymamrotała Karin przez chusteczkę, którą zasłaniała sobie usta. – I nie śmierdzi aż tak bardzo.

– Nie, gdyż został zamrożony. Dokładnie jak ten łeb, który znaleźliśmy u Ambjörnssona.

Poniedziałek, 26 lipca

Przez cały niedzielny wieczór Knutas wielokrotnie poszukiwał Mellgrena, ale nie udało mu się z nim skontaktować. Nie odbierał komórki, a kiedy Knutas rozmawiał późnym wieczorem z Zuzanną Mellgren, nie miała jeszcze żadnej wiadomości od męża.

Jednym słowem, cała ta sprawa była zadziwiająca. Mellgrenowi przydarzyło się coś równie strasznego jak Gunnarowi Ambjörnssonowi. A mimo to według jego żony nie wyglądał na zbyt zaniepokojonego.

Knutas zrezygnował ze śniadania w domu. Pilno mu było do pracy, więc dopiero tam zrobił sobie filiżankę kawy i kupił w automacie gotową kanapkę. Kawałek żytniego pieczywa z serem i kilkoma pomarszczonymi kawałkami papryki – to było wszystko, co pozostało po weekendzie. Oczywiście jedzenie przeleżało tam przez cały weekend.

Telefon zadzwonił w jego pokoju akurat wtedy, gdy wyciągał kanapkę z ciasnego opakowania. Kiedy pędził, żeby odebrać, połowa kawy chlupnęła mu na podłogę. Zaklął i miał tylko nadzieję, że nie pochłapał sobie spodni.

Dzwonił Staffan Mellgren.

– Przepraszam, że nie odezwałem się wcześniej, ale miałem mnóstwo pracy, a komórki zapomniałem w domu – tłumaczył się.

– Dlaczego, na litość boską, nie wspomniał pan o tym końskim łbie?

– Wpadłem w panikę i nie wiedziałem, co mam robić.

– Czy zna pan kogoś, kto panu źle życzy?

– Nie, raczej nie.

– Czy uczestniczył pan ostatnio w jakiejś kłótni albo poróżnił się z kimś?

– Nie.

Teraz zatem Mellgren twierdzi, że spanikował. Nie bardzo się to zgadza z wersją jego żony. Bez wątpienia coś ukrywa.

– A więc nie ma pan pojęcia, dlaczego ten łeb wylądował u pana?

– Zgadza się.

– Czy może pan mi powiedzieć, dlaczego nie poinformował pan policji o znalezieniu tego łba?

– Rany boskie, czy pan mnie w ogóle słucha? – gorączkował się Mellgren. – Powiedziałem już przecież, że byłem tak zaszokowany, że nie wiedziałem, co mam robić. Pomyślałem jeszcze akurat o tym zabójstwie jednej z moich studentek i że może ono mieć z tym jakiś związek.

– A jaki to miałby być związek pańskim zdaniem?

– A skąd, do licha, mam to wiedzieć?

– Ta sprawa z końskim łbem nie może absolutnie nigdzie wyciec. Czy już pan komuś o tym opowiadał?

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie proszę to zachować tylko dla siebie, bo w przeciwnym razie będziecie mieć dziennikarzy na karku.

– Zuzanna i ja rozmawialiśmy już o tym, a nasze dzieci nic nie wiedzą. Tylko jej rodzice o tym wiedzą, a oni się nie wygadają.

– Dobrze. A teraz inne pytanie. I proszę, żeby odpowiedział pan na nie wreszcie uczciwie. Co tak naprawdę łączyło pana z Martiną?

Mallgren westchnął demonstracyjnie.

– Przecież już mówiłem, że nic między nami nie było.

– Już raz okłamał mnie pan wcześniej, twierdząc bez zmrużenia oka, że między panem a pańską żoną wszystko dobrze się układa – powiedział zniecierpliwiony Knutas. – Pana żona opowiedziała nam o zdradach, o coraz to nowych kobietach w pana życiu. Pańskie małżeństwo jest – przepraszam, że powiem tak otwarcie – delikatnie mówiąc, przeciętne. Dlaczego mam więc panu wierzyć i tym razem?

Knutas nie uzyskał odpowiedzi. Mellgren już się rozłączył.

Spotkanie grupy dochodzeniowej rozpoczęło się od relacji Knutasa w sprawie końskiego łba, który znalazł się u Mellgrena.

– Co tu jest właściwie grane? – mruknął Kihlgård tak zły, że aż wyleciały mu z ust okruszki chleba. Jadł bowiem akurat świeżutki gotlandzki chleb.

– Tak, sytuacja wydaje się jedynie pogarszać – westchnął Knutas. – Tak więc w sobotę wieczorem przed kurnikiem Mellgren znalazł łeb nadziany na pał. My dowiedzieliśmy się o tym wydarzeniu dopiero wczoraj po południu, kiedy zadzwoniła jego żona. On sam najwyraźniej nie chciał, by ktokolwiek się o tym dowiedział.

– Ciekawe dlaczego? – zastanawiał się Kihlgård.

– Powiedział mi, że ogarnęła go panika i nie wiedział w ogóle, co ma zrobić. Natomiast jego żona Zuzanna Mellgren twierdzi, iż wyglądał całkiem spokojnie, kiedy znaleźli ten łeb. Ich wersje są zatem zupełnie odmienne. Coś tu absolutnie nie gra. Myślę jednak, że na razie nie ma co się zajmować tą kwestią. Teraz chciałbym raczej skoncentrować się na wyjaśnieniu innej kwestii, a mianowicie, dlaczego również Mellgrena spotkało takie samo dziwne wydarzenie jak Gunnara Ambjörnssona.

– Prawdopodobnie jest to podobna pogróżka jak w przypadku Ambjörnssona – skonstatował sucho Norrby.

– Choć nic groźnego mu się potem jednak nie przydarzyło – wtrącił Wittberg.

– Dziwne – powiedziała Karin i spojrzała w niebo. – Ale przecież od tamtego zdarzenia przebywa za granicą.

– Wróci za tydzień – uciął Knutas. – Tym osobom może zatem grozić niebezpieczeństwo. Musimy pomyśleć o przydzieleniu im ochrony.

– A mamy na to środki?

Karin uniosła brwi.

– Właściwie nie.

– Ale czy uważacie, że bezpieczeństwo Mellgrena może być istotnie zagrożone? –

zaoponował Wittberg. – Przecież on sam może być w to zamieszany. Dlaczego od razu nie zgłosił sprawy? I dlaczego był taki opanowany? Dla mnie jest to podejrzane.

– Też tak uważam – zgodziła się Karin. – Mellgren musi mieć coś na sumieniu.

– Facet miał masę romansów. Może stoi za tym jakaś żądna zemsty kochanka? – Kihlgård miał zabawnie konspiracyjną minę.

– Która wmieszana jest również w przypadek Ambjörnssona? – zaoponowała Karin. – Zakochana kobieta, która w afekcie zabija konie, odcina im łby po to, by nadziać je potem na pal i podrzucić swym dawnym kochankom. To nie brzmi chyba zbyt wiarygodnie, co?

Po przyjacielsku dała kuksańca w bok swojemu koledze.

– Nigdy nie wiadomo, do czego zdolny jest zakochany człowiek – ostrzegł Kihlgård, unosząc w górę palec wskazujący niczym kaznodzieja.

– Przestańcie wygadywać bzdury – przerwał poirytowany Knutas. – To nie przedszkole. Musimy się dowiedzieć czegoś więcej o Mellgrenie. Kim on właściwie jest? Jak spędza wolny czas? Czy bierze udział w życiu politycznym? Co może go łączyć z Ambjörassonem?

– Tak, można się nad tym zastanowić. Być może zetknęli się ze sobą w związku z różnymi budowlami? Archeologów często włącza się przecież do projektów budowlanych – podsunął Kihlgård.

– Tu na Gotlandii dzieje się tak chyba w co drugim przypadku – powiedziała Karin. – Na wyspie aż roi się od znalezisk.

– Inna sprawa, którą musimy się zająć, to właśnie to, o czym mówi Wittberg. To znaczy, dlaczego Mellgren nie przejął się znalezieniem łba, jak to przynajmniej twierdzi jego żona – powiedział Knutas. – Choć on sam mówił mi, że się wystraszył i dlatego nie skontaktował się z policją od razu.

– Bardzo dziwne – Kihlgård podrapał się po głowie. – Facet oczywiście kłamie.

– To musi być jakiś cholernie zimny drań – wtrąciła Karin. – Kiedy jego żona doznaje szoku, widząc koło swego domu koński łeb nadziany na pal, to co robi wtedy jej kochany mąż? Jedzie sobie gdzieś i zostawia ją zupełnie samą, przestraszoną i zszokowaną, z czwórka dzieci. Mało tego – nie mówi nawet, dokąd jedzie!

– Olewa ją totalnie, to jasne – skonstatował Wittberg.

– Tak, mogliśmy się już chyba spodziewać, że tak postąpi – powiedział Knutas. – Ale dokąd mu się tak spieszyło?

Nosił w ręku niewidzialne lustro i widział w nim swoich rodziców. Czasami ich twarze znikwały i udawało mu się nie przywoływać ich ponownie, jak się dobrze postarał. Przeszkadzali mu.

Poprzedniego wieczora, kiedy stał i regularnymi pociągnięciami pędzla malował chropowatą powierzchnię fasady domu, a powietrze emanowało ciszą i spokojem, on wyłonił się nagle zza frontowej ściany.

Nie było to dla niego żadne zaskoczenie, gdyż czekał na tego gościa. Spotkanie to mogło zakończyć się strasznie, ale udało mu się okiełznać swoją złość. Podczas ich rozmowy zdenerwowało go, że intruzowi udało się umyślnie pokrzyżować mu plany.

Kiedy tamten odszedł, poczuł, że ma zszarpane nerwy i potrzebował dłuższej chwili, aby móc jako tako odzyskać równowagę. Teraz jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu o słuszności swego działania i oczami wyobraźni widział już teraz, jak rozkoszuje się słodczą odwetą.

Usiadł na pagórku, który sam usypał zaledwie przed kilkoma tygodniami. Było to kolejne święte miejsce, które przywracało mu wewnętrzny spokój.

Ziemia skrywała swe tajemnice, a prawda dudniła pod jej powierzchnią i chciała się wydostać. Niebawem miała nadejść ta godzina. Labirynt, przez który wędrował całe swe życie, zaczynał się prostować. Zaułki i zakątki, manowce i fałszywe tropy, ciemne kryjówki – wszystko to dostrzegł w pełnym świetle i stało się jasne i proste. Dawało mu nadzieję na lepsze życie.

Pomyślał o pewnym wierszu, którego nauczył się w szkole i pamiętał aż do dziś. Napisał go Carl Jonas Love Almquist, a był zatytułowany „Nie jesteś sam”. „Jeśli spomiędzy tysiąca gwiazd któraś patrzy na ciebie, to pomyśl, co ona znaczy, uwierz blaskowi jej oczu...”.

Któraś patrzyła, i to nawet nie jedna.

Akurat w chwili, kiedy Knutas zastanawiał się, czy nie skończyć pracy na dziś, ktoś zapukał do drzwi. To była Agneta Larsvik. Ta zazwyczaj tak opanowana kobieta miała teraz coś nerwowego w swoim spojrzeniu, a jej ruchy były jakieś nieskoordynowane, kiedy zasiadała na krześle przeznaczonym dla gości.

– Jadę prosto od Mellgrenów – wyjaśniła. – Ponieważ byłam w Sztokholmie przez weekend, więc nie udało mi się wrócić tutaj wcześniej niż przed piętnastą. Zresztą mniejsza o to. Pojechałam do ich domu w Lärbro, choć nikogo w nim nie było. Nie mogłam złapać ani Staffana Mellgrena, ani jego żony, więc zaryzykowałam, bo chciałam pojechać tam od razu. – Pochyliła się ku Knutasowi. – Ta sprawa z tym końskim łbem jest poważna, bardzo poważna. Uważam, że Mellgren powinien natychmiast dostać ochronę.

– Dlaczego?

– Tłumaczę to sobie w ten sposób, że sprawca po pierwszym morderstwie popadł w entuzjazm i być może właśnie ten entuzjazm sprawia, że tym razem chce ogłosić swój powrót. Przesyła ostrzeżenie. Jednocześnie jest pewien, że poradzi sobie z następnym przestępstwem, że wcześniejsze ostrzeżenie tej osoby nie ma zupełnie żadnego znaczenia. Wprost przeciwnie, to go jeszcze tylko bardziej rajcuje. Mogę nawet zaryzykować stwierdzenie, iż koński łeb może równie dobrze oznaczać groźbę morderstwa.

– Ale Martina nie dostała żadnego końskiego łba, zanim ją zamordowano.

– No właśnie, nie dostała. Dlaczego? Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że morderca zhardział. Po drugie dlatego, że Martina mieszkała z wieloma innymi osobami, więc trudniej było podesłać łeb tak, aby trafił właśnie do niej.

– Według twojej teorii niebezpieczeństwo grozi zatem również Ambjörnssonowi.

– Oczywiście. To, że nic mu się jeszcze dotąd nie stało, zawdzięcza prawdopodobnie tylko swojemu pobytowi za granicą.

– Mamy szczęście, że o żadnej z tych końskich afer nie wie prasa. Przynajmniej w taki sposób nie pozwolimy sprawcy triumfować. A o końskim łbie u Mellgrena nie wie nikt poza

nami.

– Dobrze. I tak trzymaj. Ważne jest, aby nikt się o niczym nie dowiedział. Inaczej sprawca mógłby tylko popaść w jeszcze większe samozadowolenie.

– Czy naprawdę mówisz serio, że ten ktoś zamierza zamordować jeszcze więcej ludzi?

– Tego się właśnie obawiam. Inna sprawa, kiedy to nastąpi. Istnieje jednak obawa, że kolejnego morderstwa dokona niebawem. Już raz w tym zasmakował i będzie chciał ponownie doznać rozkoszy zabijania.

Po zakończonym dniu pracy Mellgren jechał samochodem do domu. Żona zostawiła mu wiadomość na komórce, że jedzie z dziećmi do swoich rodziców w Ljugarn. Nie chciała pozostawać dłużej w gospodarstwie po incydencie z końskim łbem.

Zatrzymał się przed budynkiem uczelni, żeby zabrać ze swego gabinetu jakieś papiery. W parku zwanym Almedalen, leżącym w dole nad wodą, było pełno opalających się ludzi, psów, wózków dziecięcych i młodzieży z magnetofonami. Tabuny młodych zmierzały ku After Beach niedaleko krytego basenu. Nawieziono tam piasku z różnych plaż Gotlandii i w ten sposób w samym środku miasta powstała piaszczysta plaża, choć normalnie jest tu na ogół kamienista. After Beach było bardzo popularnym miejscem rozrywki. Po wysłuchaniu muzyki i wypiciu piwa można było kontynuować zabawę w którejś z knajpek odległych o rzut beretem. Aż nabrał ochoty, by tam pójść.

W szkole nikogo nie było, recepcja też była zamknięta. Kiedy załatwił swoje sprawy i zmierzał do samochodu, nadeszła jakaś grupka młodzieży. Rozmawiali i śmiali się, a on miał takie wrażenie, że jedna z dziewczyn, ładna blondynka, jakoś szczególnie uśmiechała się do niego. Zatrzymał się, powiódł za nimi wzrokiem i zobaczył, że idą na kryty basen. W tym samym momencie usłyszał, że jakiś zespół zaczął tam grać muzykę. Wystarczyło mu to, aby podjąć decyzję. Pospieszył z powrotem do swojego gabinetu. Chwycił mydło i ręcznik, które przechowywał w szafce, zszedł do przebieralni i wziął szybki prysznic. Spryskał się trochę wodą po goleniu i przebrał w czyste rzeczy. Zawsze miał w pracy co najmniej jeden czysty komplet odzieży w zapasie. To już nie pierwszy raz postanawiał nie wracać bezpośrednio do domu.

Gdy wyszedł znowu na ulicę, ogarnął go świetny humor i ruszył w kierunku basenu. Miał już wprawdzie ponad czterdzieści lat, ale wyglądał młodo jak na swój wiek. Był wysoki, szczupły i wysportowany, a jego włosy były nadal tak samo gęste i puszyste, jak wtedy gdy miał dwadzieścia lat. Staffan Mellgren cieszył się na ten wieczór.

Z coraz większym uczuciem niepokoju w klatce piersiowej Knutas słuchał wypowiedzi psychiatry sądowego na temat niebezpieczeństwa grożącego Gunnarowi Ambjörnssonowi i Staffanowi Mellgrenowi. Ambjörnsson miał wrócić na Gotlandię za tydzień. Dopóki jest w Maroku, nie grozi mu chyba żadne niebezpieczeństwo. Mellgren natomiast potrzebował ochrony natychmiast. Knutas kilkakrotnie dzwonił do niego na komórkę, ale nikt się nie zgłaszał.

Według jego żony, która pojechała do swoich rodziców, Mellgren miał pracować jak zwykle we Fröjel, a potem jechać do domu. Domowy telefon też nie odpowiadał, mimo iż dzień pracy powinien się już dawno skończyć.

– Czyżby to on był mordercą?

W głosie Karin słychać było powątpiewanie, kiedy wsiadali do samochodu, aby pojechać na miejsce wykopalisk.

– Raczej trudno mi to sobie wyobrazić, ale już raz wcześniej daliśmy się zaskoczyć – powiedział Knutas, zaciskając zęby i usiłując precyzyjnie się jakoś pomiędzy samochodami na drodze. W lipcu ruch pojazdów na nadmorskiej drodze między Klintehamn a Visby był ogromny.

Martin Kihlgård, siedząc na tylnym siedzeniu, wychylił się zza pleców kolegów i podsunął torebkę z chipsami. W samochodzie pachniało chipsami cebulowymi. Knutas podziękował i nie skorzystał z propozycji oraz demonstracyjnie opuścił szybę w samochodzie, natomiast Karin z chęcią się poczęstowała.

– Bardzo trudno mi sobie wyobrazić, żeby Mellgren miał być mordercą – mamrotał Kihlgård w przerwach między kolejnymi kęsami. – To byłoby zbyt idiotyczne, żeby pozbawić życia jedną ze swoich studentek, tym bardziej jeśli go coś z nią łączyło. A już wystrugać sobie pal i nabić na niego koński łeb – to w ogóle nieprawdopodobne. I skąd on do licha wziąłby ten pierwszy łeb? To nie był przecież ten sam koń. Czy nadal nie mamy żadnych zgłoszeń o zaginionych koniach?

– Ani jednego – odpowiedział Knutas krótko. – Ale nikt nie twierdzi też, że Mellgren jest zabójcą.

– No to ja bym raczej obstawiał żonę – spokojnie ciągnął Kihlgård. Miała ku temu i okazję, i motyw. Facet ją notorycznie zdradzał, prawdopodobnie miał też romans z Martiną Flochten. Wiemy, że spotykała się z kimś potajemnie i może wtedy miarka się przebrała. Mój Boże, ta dziewczyna miała tylko dwadzieścia jeden lat! A potem Zuzanna Mellgren próbuje zainscenizować ten numer z końskim łbem, aby ostrzec swego męża i zagrozić mu. Gdyby chciała go zabić, to pewnie już by to zrobiła. Ale ten przypadek jest o wiele bardziej wyrafinowany. Ona chce, żeby mąż zrozumiał, że żarty już się skończyły. Jeżeli nie przestanie romansować, to spotka go taki sam los.

Kihlgård, wyraźnie zadowolony z wniosku, do którego doszedł, odchylił się do tyłu i zanurzył całą rękę w torebce z chipsami.

– Czyli sądzisz, że ona tak chce nastraszyć swego faceta, aby ten w przyszłości był już tylko z nią?

Głos Karin zdradzał, że nie była do końca o tym przekonana.

– W każdym razie nie byłby to pierwszy taki przypadek w dziejach ludzkości. Ona jako jedyna miała według mnie wyraźny motyw.

– Muszę się przyznać, że nie bardzo rozumiem, dlaczego ktoś chciałby zabijać Martinę Flochten. Zazdrość żony o męża wyjaśniałaby sprawę – zgodził się Knutas. – Ale dlaczego żona miałaby się posłużyć tak wyszukany scenariuszem?

– Może to być jakaś zmyłka – powiedział Kihlgård. – Chciała upozorować mistyczny, rytualny mord, mimo że wcale nie o to w tym wszystkim chodziło.

Skręcili przy kościele we Fröjel i zjechali inną drogą aż do samego miejsca wykopalisk. Na ostatnim odcinku dość mocno ich wytrzęsło. Było tam tak cicho i pusto, że aż strach. Samochody stały dokładnie pozamykane, a wszystko zdawało się uprzątnięte po pracy. Wiele wykopów przykrytych było plastikową folią.

– Aha – powiedział Kihlgård – czyli tutaj go nie było.

Knutas czuł, jak wzrasta jego irytacja. Musimy go dopaść – pomyślał. I to szybko.

– Jedziemy do szkoły, może tam jest.

Miał jakieś dziwne przeczucie, że powinni się spieszyć.

Była siódma wieczorem, kiedy Staffan Mellgren wyszedł z krytego basenu, żeby wrócić do domu. Zespół, który wykonywał przeróbki różnych znanych przebojów, skończył grać i młodzież ruszyła ku innym knajpom. Świadomie zdecydował, że nie zaszaleje za bardzo, gdyż rozpoznał kilku studentów z uczelni. Kiwnęli mu nawet głowami na znak, że go poznają. To go akurat na Gotlandii denerwowało, że mieszkając tutaj, nie można było nigdzie pozostać anonimowym.

Choć wypił dwa mocne piwa, to jednak usiadł za kierownicą. Wyjechał z miasta, w którym mnóstwo ludzi spacerowało, zmierzając ku restauracjom i wieczornym rozrywkom. Była pełnia sezonu turystycznego, więc Visby tętniło życiem. Aż żał mu było zostawiać to wszystko i jechać do domu w niewielkim Lärbro.

Jego komórka nadal leżała na siedzeniu pasażera. Zauważył, że miał w niej sporo nowych wiadomości, ale nawet nie chciało mu się sprawdzić, kto mu je przysłał. To pewnie Zuzanna, a jej obaw i zrzędzenia miał akurat w tej chwili dosyć.

Kiedy dotarł na miejsce, na podwórzu głośno gdakały kury. Naturalnie, one też przecież potrzebują pokarmu, a dziś rano zupełnie o tym zapomniał.

W lodówce znalazł kilka pomidorów, które wyglądały już niezbyt świeżo. Dla kur będą dobre. Na jednej z półek Zuzanna postawiła szklany pojemnik owinięty folią, w którym były skorupki jajek, resztki jedzenia i stary chleb.

Zabrał to ze sobą i ruszył ku starej oborze, która pełniła funkcję magazynu na różnego rodzaju szmelc oraz garażu na zimę. W głębi, na krótszej ścianie znajdował się kurnik. Kiedy otworzył drzwi, musiał bardzo uważać, gdzie stąpa, żeby nie zdeptać na śmierć któregoś z maleńkich, złocistożółtych kurczaczków, które popiskiwały mu u nóg. Postawił pojemnik z jedzeniem, a do miski nasypał karmy dla kur niosek.

Nagle usłyszał, jak zamykają się drzwi stodoły. Ostrożnie podniósł się i odstawił worek z karmą. Kury ciągle gdakały, więc nie mógł usłyszeć nic więcej. Przemknął do drzwi i zajrzał do stodoły.

Spenetrował wzrokiem jej gołe ściany, pełne muszych odchodów i pajęczyn. Okna były tak brudne, że wieczorne światło ledwo przez nie przenikało. Stare boksy stały w jednym szeregu, oddzielone od siebie ściankami i od dawna nieużywane. Drzwi się pewnie same zamknęły – pomyślał i już chciał wracać, kiedy nagle coś odkrył. Stara i kompletnie zużyta wanna kąpielowa, która od lat leżała wśród innych rupieci, została przeniesiona i ustawiona we właściwej pozycji.

Skonfundowany podszedł bliżej i ku swemu zdumieniu dostrzegł, że jest aż po brzegi wypełniona wodą. Nie zdążył jednak już pomyśleć, kto tu był ani do czego ta wanna miałaby być użyta.

Uczelnia była zamknięta i musieli zadzwonić po stróża, aby otworzył im drzwi. W środku było zupełnie pusto i głucho. W ów ciepły lipcowy wieczór nie było tam nikogo. Weszli schodami na korytarz, na którym znajdował się służbowy pokój Mellgrena. Drzwi były zamknięte na klucz. Stróż pogrzebał w swoim wielkim pęku kluczy i znalazł ten właściwy.

Pokój Mellgren był tak samo pusty, jak i reszta pomieszczeń, przez które przebiegli. Ciągle jeszcze czuć w nim było słaby zapach wody po goleniu.

– To ten sam zapach, jakiego używa Mellgren – powiedziała Karin. – Poznaję go.

Knutas szybko przeszukał biurko, ale nie znalazł niczego interesującego. Na krześle wisiał wilgotny ręcznik.

– A więc był tutaj – powiedział Knutas. – I wziął prysznic. Dlaczego nie pojechał do domu, żeby to zrobić?

– Bo chciał skoczyć na miasto – szyderczo zaśmiał się Kihlgård. – Oczywiście korzysta z okazji teraz, kiedy żona jest na wsi.

– Jeśli nie miał jakiejś innej sprawy – powiedział Knutas. Wybrał numer domowy Mellgrenów. Nadal nikt nie odbierał. Zadzwonił więc do Zuzanny Mellgren, ale wciąż nie miała żadnej wiadomości od męża.

– My też powinniśmy skoczyć na miasto i coś przekąsić – zaproponował Kihlgård. – Padam z głodu.

– Czy nie możesz myśleć o niczym innym tylko o jedzeniu? – syknął Knutas. – Ja jadę do Lärbro. Jedzicie ze mną, czy mam zadzwonić po Wittberga?

Kiedy dotarli na miejsce, na dworze zaczynało się ściemniać. We wszystkich oknach paliło się światło, a samochód stał zaparkowany na podwórzu. Drzwi wejściowe do domu nie były zamknięte na klucz, więc weszli. Dom był wprawdzie oświetlony, ale pusty. Zajrzeli do wszystkich pokoi i w miarę szybko zorientowali się, że nikogo tam nie ma.

Wyszli ponownie na dwór i zobaczyli, że drzwi do stodoły są otwarte. Słychać było jedynie kury, które pogdakiwały od czasu do czasu.

Budynek stodoły sprawiał wrażenie od dawna nieużywanego. W głębi, przy jednej z krótszych ścian, znajdowały się mniejsze drzwi. Były uchylone. Paliło się tam światło. Trójka policjantów wymieniła spojrzenia. Ostrożnie podkradli się do drzwi. Z wnętrza tego pomieszczenia, które najwyraźniej było kurnikiem, uderzył ich smród moczu. Kiedy przekroczyli próg, ukazał im się nieoczekiwany i straszliwy widok.

Na haku zamontowanym w suficie, nad kurami, które spały, stojąc w równych szeregach na swych drążkach, wisiał Staffan Mellgren. Był nagi. Na brzuchu miał długie cięcie nożem, a z tej rany wyciekała krew. Na podłodze pod nim zebrała się jednak tylko małeńka kałuża krwi. Knutas wciągnął powietrze. W mózgu przemknął mu podobny obraz, przedstawiający Martinę Flochten wiszącą pośród letniej zieleni. Młodość i ból, przedwczesna śmierć. Tutaj zaś była czerwona krew i białe pierze.

Wszędzie same kontrasty.

Wtorek, 27 lipca

Następnego ranka na odprawie zgromadził się cały zespół. Szmery ucichły, kiedy Knutas z poważną miną usiadł przy krótszym boku stołu. Rozpoczął od nalania sobie filiżanki kawy. Ku swemu zadowoleniu stwierdził, że była wystarczająco mocna i skierował w stronę Kihlgårda wdzięczne spojrzenie. Był on jedynym człowiekiem, który robił dokładnie taką mocną kawę, jaką lubił Knutas. A była mu ona naprawdę potrzebna, bo niewiele spał minionej nocy.

– Jak wszyscy wiecie, doszło nam teraz jeszcze jedno morderstwo – rozpoczął Knutas.
– Wczoraj wieczorem, kiedy Karin, Martin i ja szukaliśmy Mellgrena w jego domu, znaleźliśmy go martwego w kurniku. Bez cienia wątpliwości jest to morderstwo i wygląda na to, że jego przebieg był taki sam, jak w przypadku morderstwa Martiny Flochten. Teren został otoczony blokadą, a ciało pozostanie tam do chwili przybycia lekarza sądowego. Reszta rodziny na szczęście była poza domem, są w tej chwili u rodziców Zuzanny Mellgren w Ljugarn i tam na razie pozostaną. Jak wiecie, Mellgren ma czwórkę dzieci.

Zamilkł i zwrócił się do Sohlmana.

– Nie dysponując żadnymi stuprocentowymi dowodami rzeczowymi, jako że nie ma jeszcze wyników badań, mogę tylko powiedzieć, że wszystko wskazuje na to, iż morderstwa dokonał ten sam sprawca, który zabił Martinę – powiedział Sohlman. – Podobieństwa są aż nazbyt uderzające. Ślady na ciele denata dowodzą, że Mellgren, dokładnie tak jak Martina, został zabity, zanim powieszono go na pętli, a cięcia na brzuchu dokonano na samym końcu. Następnie prawdopodobnie zebrano krew, bo na podłodze było jej niezmiernie mało. Ponieważ sposób dokonania pierwszego morderstwa nie został podany do wiadomości, więc nie może to być jakiś naśladowca. Mellgren także był nagi, kiedy go znaleziono, a jego odzieży nigdzie nie ma.

– W jaki sposób został zamordowany? Czy także go utopiono? – zapytał Wittberg.

– Na to wygląda. W stodole stała stara wanna napełniona wodą. Część wody wylała się i znaleźliśmy w niej włosy oraz krew. Prawdopodobnie utopiono go tam w ten sposób, iż sprawca trzymał jego głowę zanurzoną w wannie.

– Z tego wynika, że sprawca musiał być silny – powiedziała Karin. – Mellgren nie był

przecież ułomkiem.

– Jeśli go przedtem czymś nie odurzono, ale na ten temat jeszcze nic nie wiemy. Albo jeśli nie pobito go do utraty przytomności, choć nie widać jakichś obrażeń, które by na to wskazywały.

– Od jak dawna był martwy, kiedy go znaleziono? – zapytał Smittenberg.

– Najwyżej od godziny – koledzy musieli dosłownie deptać mordercy po piętach.

– Jakie mamy ślady?

– Niewiele. Najciekawsze są ślady butów, które morderca zostawił, kiedy wdepnął w kałużę krwi. Podłoga jest z cementu i dość gładka, a więc ślady są wyraźne. Interesujący jest też rozmiar buta, gdyż są to saboty w rozmiarze trzydzieści dziewięć albo może czterdzieści.

Przez kilka sekund panowała cisza.

– A więc być może była to kobieta?

Karin spojrzała zaskoczona na Sohlmana.

– Cóż, w każdym razie nie można tego wykluczać. Mężczyźni rzadko kiedy mają takie małe stopy. Ja sam mam zaledwie metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ale noszę buty w rozmiarze czterdzieści dwa.

– Znam faceta, który nosi rozmiar trzydzieści dziewięć.

– Kobieta – powiedział Kihlgård. – Co myślicie o Zuzannie Mellgren? Jest przecież dosyć silna. I muskularna. Wygląda na wysportowaną. Ona pewnie byłaby w stanie zrobić coś takiego.

– Ale po co zadawać sobie aż tyle trudu? – skontrowała Karin. – Po co odcinać koniowi łeb, zbierać jego krew i zabijać ludzi na trzy różne sposoby, skoro w rzeczy samej chce się tylko skończyć z własnym mężem i jego kochanką?

– Może to być wyrafinowana próba skierowania śledztwa na fałszywy trop – zaproponował Wittberg.

– Być może chce skierować podejrzenia na kogoś, kto mógłby posługiwać się podobnymi metodami? – dodał Kihlgård.

– Co właściwie wiemy o tej rodzinie? Szczerze powiedziawszy, wydaje mi się, że nie prześwietiliśmy ich zbyt dokładnie – powiedziała Karin. – A przede wszystkim jej.

– Nie, nie uznaliśmy jej za zbyt interesującą i nie wydaje mi się, aby ona była w stanie posunąć się do takich czynów – odrzekł Knutas. – Jeżeli to ona podstawiła koński łeb, to po co zaalarmowała policję, skoro jej mąż tego nie zrobił?

Karin wzruszyła ramionami.

– Aby odsunąć podejrzenia od siebie. To proste.

Kolejne pytanie Knutas skierował do Agnety Larsvik.

– A co ty uważasz?

– Z tego, co słyszę, mamy do czynienia z jednym i tym samym sprawcą. Ale zanim się wypowiem, wolałabym zobaczyć ofiarę i miejsce zbrodni. Fakt, że jest nagi i że nie znaleziono jego ubrania, też by na to wskazywał. Sprawca prawdopodobnie zabiera ubrania, by uczucie towarzyszące mu podczas mordowania trwało dłużej. To taki rodzaj fetyszu. Podobnie jak krew. Jest też jeszcze jedna sprawa, na której powinniśmy się skoncentrować.

Wszyscy z ciekawością spojrzeli na Agnetę.

– Zastanawiam się, dlaczego Staffan Mellgren sam nie powiadomił policji o tym końskim łbie. Coś się musi za tym kryć. Czyżby wiedział albo przynajmniej domyślał się, od kogo on jest? Być może myślał, że będzie w stanie rozwiązać ten problem sam, gdy porozmawia ze sprawcą.

– A kimże on mógłby być? – Kihlgård wyrzucił z siebie to pytanie, nie uzyskawszy odpowiedzi.

Knutas przerwał ciszę.

– Zuzanna Mellgren została wezwana na przesłuchanie. Mam się z nią spotkać o dziesiątej. Mam nadzieję, że wtedy w końcu uporządkujemy te i inne kwestie. Oczywiście trzeba sprawdzić jej alibi i tego wieczora, i w chwili morderstwa Martiny Flochten.

– W tej sytuacji musimy spojrzeć inaczej również na incydent z końskim łbem u Gunnara Ambjörnssona. Jego życie może być w niebezpieczeństwie. Czy nie powinniśmy się z nim skontaktować?

– W każdym razie musi dostać ochronę, jak tylko wróci do domu – powiedział Knutas ponurym tonem. – Musimy przejąć go od razu na lotnisku.

Przerwał mu dzwonek telefonu komórkowego. Kiedy skończył rozmawiać, spojrzął poważnie na swoich kolegów.

– Pod deskami werandy w pensjonacie Warfsholm znaleziono telefon komórkowy Martiny Flochten. Musiała go zgubić tego feralnego wieczora, kiedy ją zamordowano. Sprawdzono już jej rozmowy. Ostatnią rzeczą, jaka została zapisana w pamięci telefonu, jest wiadomość nagrana na skrzynce głosowej tamtego wieczora o godzinie dwudziestej drugiej trzydziści pięć. Wicie, kto do niej dzwonił?

Wszyscy patrzyli z napięciem, nie mówiąc ani słowa.

– Był to Staffan Mellgren.

Informacja o zamordowaniu Staffana Mellgrena pojawiła się rano w czołówce wszystkich wiadomości telewizyjnych. Koło północy policja rozesała informację prasową o morderstwie. Redaktor dyżurujący w nocy na całodobowym kanale cyfrowym Telewizji Szwedzkiej STV24 natychmiast wysłał autobus ze sprzętem do nagrywania bezpośrednich transmisji na Gotlandię promem o godzinie trzeciej. Zaledwie trzy godziny później, krótko po szóstej, autobus zjeżdżał z promu w porcie w Visby. W takich przypadkach całodobowe czyhanie na wiadomości było na wagę złota.

Redaktor dyżurny obudził Johana w środku nocy. Kiedy razem Pia witali w swojej redakcji ekipę ze Sztokholmu, miał już potwierdzenie morderstwa, a także obietnicę rozmowy z Knutasem przed budynkiem policji. W autobusie był również reporter Robert Wiklander, z którym Johan poprzednio współpracował na Gotlandii. Robert pracował dla programów Aktuellt i Rapport, a teraz mieli obaj znów pracować razem. Dołączył do nich też pewien fotograf, którego Johan znał z widzenia, a także redaktor, który rozgościł się w redakcji i stamtąd miał doglądać prac podczas poranka, który – jak wszyscy wiedzieli – z pewnością będzie bardziej niż nerwowy.

Podzielili się pracą. Pia pojechała do gospodarstwa Mellgrena, żeby zrobić zdjęcia, a Johan i Robert mieli na zmianę prowadzić audycje informacyjne i korzystać z pomocy fotografa, który przyjechał ze Sztokholmu. Ci, którzy nie byli zatrudnieni bezpośrednio przy relacjonowaniu zdarzeń, pracowali pełną parą, ścigając osoby do wywiadów. Udało im się ściągnąć na komendę komendanta wojewódzkiego policji, rektora szkoły wyższej i kierownika wydziału turystyki, aby tam przeprowadzić z nimi wywiady. Cały archeologiczny świat na Gotlandii doznał zbiorowego szoku. Przerwano prace wykopaliskowe we Fröjel i nikt nie wierzył, że zostaną jeszcze wznowione tego lata. Uczestnikom kursu zakazano opuszczania wyspy w najbliższym czasie. Wstrzymano również prace wykopaliskowe w Eksta, gdzie próbowano dokopać się do pozostałości z epoki brązu. Każdy, kto miał jakikolwiek związek z archeologią na Gotlandii, odczuł skutki tego podwójnego morderstwa.

Kierownik wydziału turystyki niepokoił się, że kolejne morderstwo odstraszy turystów, a media spekulowały na temat seryjnego mordercy grasującego na wyspie, człowieka, który będzie mordował dalej tak długo, aż wreszcie zostanie schwytany. Anders Knutas poprosił o kolejne posiłki z Centralnego Biura Śledczego w Sztokholmie, tak iż obecnie już trzydzieści osób zajmowało się tym śledztwem.

Wpół do dziesiątej audycje poranne się skończyły, a redaktorzy ze Sztokholmu dzwoniли i chwalili ich za relacje. Ale już w następnej sekundzie stawiali nowe żądania. Chcieli mieć materiał w porze obiadowej, audycje popołudniowe i dłuższe reportaże w audycjach wieczornych, zarówno w Aktuell, jak i Rapport. A najlepiej gdyby dziennikarze zajmowali się wszystkim, czym się tylko da.

Max Grenfors, powróciwszy z urlopu, chciał oczywiście nadać priorytet audycjom we wiadomościach lokalnych. Miał z tym zawsze dylemat. Każdy redaktor przysyłał swoją audycję do pokoju numer jeden i przy takiej liczbie audycji oraz redaktorów dochodziło do ostrej walki o priorytet, a reporterów łatwo było skłócić ze sobą. Ustalili, że Robert i fotograf ze Sztokholmu będą odpowiedzialni za wiadomości ogólnokrajowe, a Johan i Pia skoncentrują się na wiadomościach lokalnych. Po zebraniu materiałów i przeprowadzeniu wywiadów w ciągu dnia mogli zawsze się potem nimi wymienić. Redaktor ze Sztokholmu miał kompilować wszystkie materiały napływające na bieżąco do siedziby redakcji.

Po południu Johan dostał niespodziewany telefon. Dzwonił jego kumpel Niklas Appelkvist, który studiował archeologię w wyższej szkole w Visby.

– Wiesz, że krążą pogłoski, jakoby Martina Flochten była kochanką Staffana Mellgrena?

– Czy to prawda?

– Słysząc o tym z tylu różnych stron, że coś w tym musi być.

– Czy znasz kogoś, kto mógłby zweryfikować te informacje?

– Być może, muszę popytać. Mellgren był najwyraźniej prawdziwym Casanovą. Jak wynika z rozmów, które słyszałem, to miał on romanse z wieloma dziewczynami w szkole.

– Ach tak? Nie mogę jednak dokonywać spekulacji w materiale. Potrzebuję dwóch niezależnych źródeł, które by mi potwierdziły te informacje. Inaczej to nie wypali.

– Spróbuję ci to załatwić. Odezwę się jeszcze.

Zuzanna Mellgren wyglądała na wyczerpaną, kiedy przed południem wchodziła do pokoju Knutasa. Usiadła z rękoma skromnie splecionymi na kolanach i z takim przygnębieniem w oczach, jakby miała zamiar zacząć się modlić.

– Pragnę pani złożyć najszczerze wyrazy współczucia – zaczął Knutas.

Skinęła lekko.

– Kiedy widziała pani męża po raz ostatni?

– W sobotę wieczorem, kiedy postanowiłam pojechać z dziećmi do rodziców.

– A dlaczego?

– Uważałam, że to było takie ohydne wydarzenie z tym końskim łbem. Nie chciałam narażać siebie ani dzieci na jakieś niebezpieczeństwo.

– Dlaczego uznała pani, że byłoby niebezpiecznie pozostać w domu?

– Bo to wyglądało tak, jakby ktoś nam groził. Czytało się o tym i w telewizji też mówili, to znaczy o końskim łbie i tak dalej.

– Dlaczego ktoś miałby wam grozić?

– Pojęcia nie mam – powiedziała i pokiwała głową.

– A pani mężowi?

– Nie wiem też, dlaczego ktoś chciałby jemu zrobić coś złego – odpowiedziała i napotkała wzrok Knutasa. – O ile wiem, nie miał żadnych wrogów.

– A jakie sprawiał wrażenie tego wieczora? Jaki nastrój panował pomiędzy wami?

– Jak już mówiłam wcześniej, mój mąż zdawał się być taki chłodny i obojętny. Powiedział, że nie ma się czego obawiać, jeśli chodzi o tego konia.

– Czy pytała go pani, dlaczego go to nie interesuje?

– Próbowałam, ale on się tylko irytował. Powiedział, że tego nie ma co brać na serio i że mamy żyć dalej tak, jakby nic się nie stało. Jestem przekonana, że nie mówił prawdy. Na koniec to ja się zdenerwowałam, bo bałam się już choćby o dzieci, ale on wszystkiemu zaprzeczał i utrzymywał, że to dotyczy tylko jego. Wydało się zatem, że wiedział pewnie, o

co tu chodziło.

– Czy chce pani powiedzieć, że znał osobę, która mu groziła?

– Myślę, że on wiedział, kto umieścił ten koński łeb, ale wydawało się, że nie odbierał tego jako groźby. Tak czy inaczej, skończyło się to tym, że spakowałam nasze rzeczy, wzięłam ze sobą dzieci i pojechałam do moich rodziców. A teraz proszę, co się stało – nie żyje. A do tego na samym końcu jeszcze się pokłóciliśmy. Gdybym nie wyjechała, to może on by nadal żył.

Wybuchnęła płaczem. Knutas wstał i nieporadnie poklepał ją po plecach.

Przyniósł serwetki oraz szklanekę wody i odczekał chwilę, aż Zuzanna Mellgren nieco się uspokoi.

– O której godzinie w niedzielę wyjechała pani z dziećmi do swoich rodziców? – ciągnął ostrożnie.

– To było po tym, jak państwo byli u nas. Staffan wrócił około siódmej i wtedy jeszcze byliśmy w domu. Wyjechaliśmy może około ósmej – odpowiedziała i głośno wydmuchwała nos.

– Co pani robiła po przyjeździe na miejsce?

– Rozpakowaliśmy się w domku dla gości, który rodzice mają u siebie na podwórzu. Potem oglądaliśmy trochę telewizję, a następnie poszliśmy spać.

– A następnego dnia?

– Poszliśmy na plażę i byliśmy tam cały dzień, to znaczy ja, moja mama i dzieci. Była bardzo ładna pogoda.

– A wieczorem?

– Zrobiliśmy sobie grilla i wypiliśmy trochę wina. Dzieci i moi rodzice oglądali potem jakiś film. Nie chcieli iść ze mną do pubu. Grał tam taki zespół, nazywa się Bez Smaku, jeden z moich ulubionych. Uważałam, że to będzie dobra rozrywka po tym wszystkim, co się zdarzyło.

– Czyli poszła pani sama?

– Tak.

– Czy ktoś może potwierdzić, że pani tam była?

– Nie wiem. Może barman, już mnie wcześniej chyba tam widywał.

– Czy wie pani, jak on się nazywa?

Zuzanna Mellgren zastanawiała się przez kilka sekund.

– Ma na imię Stefan.

– A nazwisko?

Pokręciła głową.

– Jak długo tam pani była?

– Słuchałam tego zespołu, a oni grali na pewno ze dwie godziny. Nastrój był bardzo fajny, więc ludzie zaczęli domagać się zagrania takiej czy innej piosenki. Potem posiedziałam trochę na zewnątrz i wypłam kieliszek wina. To był taki ciepły wieczór. Chciałam być zupełnie sama. Byłam tam chyba ze trzy godziny.

– O której godzinie pani wróciła?

– Hm, która to mogła być? Dziesiąta, może jedenasta.

– A potem poszła pani sama do domu?

– Tak.

– To pytanie może się wydać pani dziwne, ale jaki rozmiar buta pani nosi?

Zuzanna popatrzyła zdumiona na Knutasa.

– Trzydzieści dziewięć.

Środa, 28 lipca

Kiedy Knutas obudził się następnego ranka, tak bardzo zależało mu, żeby dowiedzieć się, ile prasa już wie o zamordowaniu Mellgrena, że przed wyjściem do pracy nie mógł sobie znaleźć miejsca. Modlił się tylko w duszy, aby media i tym razem nie usłyszały o rytualnym wątku śledztwa. Jego komórka rozdzwoniła się zaraz po emisji materiału w wiadomościach lokalnych poprzedniego wieczora, kiedy to Johan Berg przedstawił kilku niezależnych informatorów, którzy potwierdzili, że obie ofiary miały ze sobą romans. Zwykły instynkt samozachowawczy nakazał Knutasowi wyłączyć komórkę po trzeciej rozmowie. Rzecznik prasowy policji Lars Norrby był jedyną osobą zobligowaną do utrzymywania kontaktów z mediami. Wczoraj wieczorem Knutas odbył z nim długą rozmowę, w czasie której uzgodnili, o jakich sprawach można szerzej mówić. Policja miała między innymi nie wspominać o ewentualnych relacjach pomiędzy Martiną Flochten a Staffanem Mellgrenem. O godzinie szóstej rano wysłuchał wiadomości, w których na szczęście nie wzmiankowano o rytualnym zabójstwie ani o powiązaniach Mellgrena z Martiną. Zasiadł do komputera i zabrał się do przeglądania gazet w internecie. Kiedy zobaczył na monitorze pierwsze strony gazet wieczornych, westchnął tylko.

Obie gazety na pierwszym miejscu pokazywały dwie duże fotografie Marty Flochten i Staffana Mellgrena. W jednym z dzienników było narysowane czerwone serce wokół ich zdjęć.

To niemożliwe – pomyślał Knutas i klikał dalej. Zmartwiły go czarne tytuły artykułów: „Zamordowani za swą miłość”, „Policja podejrzewa dramat miłosny z powodu zazdrości”, pełnych niekończących się spekulacji. Większość ich opierała się na audycji wyemitowanej minionego wieczora przez wiadomości lokalne. Dla śledztwa była to katastrofa i zastanawiał się w ciszy, kto naprowadził Johana Berga na ten trop. Nie zważając na to, że było dopiero wpół do siódmej rano, wybrał numer do reportera.

– Co pan wyrabia? – zapytał wściekły, kiedy na drugim końcu usłyszał zaspany głos Johana.

– Kto mówi? – zapytał przekornie Johan.

– Mówi komisarz policji kryminalnej Anders Knutas, jeśli pan nie poznaje mego

głosu. Dlaczego wyskakuje pan z informacjami tak delikatnej natury jak te we wczorajszej audycji wieczornej bez konsultacji ze mną? Czy pan nie rozumie, że sabotuje pan całe dochodzenie?

– Ja chyba nie ponoszę odpowiedzialności za pańskie dochodzenie. Informacje te zostały potwierdzone, a że są one interesujące, więc to jest oczywiste, że je publikujemy. Popełniono dwa morderstwa w ciągu kilku tygodni, a do tego okazuje się, że ofiary miały ze sobą romans. Ludzie się boją, bo morderca jest wciąż na wolności. Oczywiście więc, że sprawa cieszy się powszechnym zainteresowaniem i trzeba o niej mówić.

Johan mówił, powstrzymując wściekłość.

– A czy nie rozumie pan, że to wpływa na naszą pracę? Jak mamy złapać sprawcę, kiedy poufne informacje wciąż przeciekają do prasy? To nie jest przedszkole – tu chodzi o podwójnego zabójcę, a w najgorszym wypadku o seryjnego mordercę!

Głos Knutasa coraz bardziej przybierał na sile.

– Szanowny panie, wykonuję tylko swoją pracę – powiedział Johan powściągliwie. – Nie mogę utrzymywać w tajemnicy ważnych informacji ze względu na waszą pracę dochodzeniową. Niech pan pilnuje swoich spraw, a ja swoich. Nie mam niestety teraz czasu rozmawiać z panem dłużej.

Ku irytacji Knutasa Johan odłożył słuchawkę. Knutas cały drżał po tej rozmowie. Line zeszła z piętra.

– Rozmawiasz tak wcześnie przez telefon? – zapytała i potargała go po włosach.

– Ten cholerny dziennikarz – powiedział Knutas i z trzaskiem odłożył słuchawkę na widełki. Sięgnął po marynarke, mimo że na dworze było bardzo ciepło.

Line pojawiła się na korytarzu, kiedy miał już wychodzić z domu.

– Nie chcesz zjeść śniadania?

– To się nazywa śniadanie po szwedzku – powiedział porytowany. – Zjem coś w pracy. Na razie!

Wyszedł, nie objawszy jej na pożegnanie. Był miły, letni poranek, ale Knutas czuł tylko, jak słońce pali go w kark. Zrozumiał, że znów się spoci, zanim jeszcze nawet zdąży przyjechać do pracy. Zwolnił, schodząc po schodach. Teraz było mu wstyd po tej rozmowie z Johanem. Głupia sprawa, że nie potrafił być nieco bardziej opanowany. Nie poznawał sam siebie. Być może to frustracja spowodowana tym, że nie doszli jeszcze do żadnych wniosków, tak go wytrąciła z równowagi. Ale faktem było, że w ciągu ostatniego półrocza nie funkcjonował tak jak zwykle. Ten przypadek zeszłej zimy wywarł na nim swoje piętno i Knutas nie był w stanie zapomnieć o tym, co mu się wówczas przydarzyło. Miało to

negatywny wpływ również na jego małżeństwo, mimo iż jemu i Line było właściwie dobrze ze sobą. Kochał ją i ona też nie dawała mu żadnych podstaw do tego, aby wątpił w jej uczucia. Knutas był niezadowolony z samego siebie. Wydawało mu się, że zrobił jeden duży krok do tyłu w swoim rozwoju i to go niepokoiło. Zrobił sobie letnią przerwę w wizytach u swojej psycholog, ale zastanawiał się, czy nie zadzwonić do niej. Jeżeli nie wyjechała, to może mogliby się spotkać.

To był przynajmniej jeden konkretny sukces, jaki osiągnął. Nie bał się już przyjmować pomocy od innych.

Kiedy wszedł do komendy, na korytarzu było już gwarno. Otrzymali dodatkowe wsparcie ze Sztokholmu i najwyraźniej była to jakaś odprawa dla rannych ptaszków.

Również Kihlgård był już na miejscu. Stał przy automacie do kawy i prowadził rozmowę z jedną z policjantek ze stolicy. Przerwał, kiedy zobaczył, jak Knutas zbliża się korytarzem.

– Dzień dobry, Knutte.

Knutas odpowiedział mu, ale nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w towarzyskie pogawędki. Uratował go pojawienie się Karin.

– Cześć – powiedział. – Muszę z tobą pogadać.

Mocno chwycił ją za ramię. Karin wyglądała na zaskoczoną, ale pozwoliła się zaciągnąć do pokoju Knutasa.

– Co jest? – zapytała. – Stało się coś?

– Nic, oprócz tego, że wszystko diabli wzięli. Czy wiesz, że wyciekły informacje do mediów o romansie Martiny Flochten i Staffana Mellgrena?

– Zasadniczo to była tylko kwestia czasu. – Wzruszyła ramionami.

– I tak spokojnie o tym mówisz? – Knutas nie był w stanie ukryć swojej irytacji.

– Posłuchaj Anders. – Karin spojrzała na niego ze współczuciem. – Jakie to właściwie ma znaczenie? Oboje nie żyją i nic na to nie poradzimy. Być może mordercą jest po prostu Zuzanna Mellgren. Jej alibi na wieczór zabójstwa jest dość słabe. Nie było jej według rodziców ponad cztery godziny, a jedyną osobą mogącą zaświadczyć, że była w pubie, jest barman Stefan Eriksson. A kto wie, czy on mówi prawdę? Może łączy ich jakieś uczucie albo może on tylko chce ją chronić. Poza tym jej rozmiar buta zgadza się ze śladami na miejscu zbrodni. Mamy ją zresztą na oku. Jeśli to ona, to prędzej czy później popełni jakiś błąd i sprawa się rozwiąże.

– A co z końmi, jak to wyjaśnisz?

– To próba skierowania śledztwa na fałszywy tor, jak już mówiliśmy wcześniej. Dowiedziałam się bowiem nieco więcej na temat Zuzanny Mellgren.

– Okej, no to posłuchajmy – Knutas nieco się uspokoił.

– Kiedy była młodsza, pracowała jako instruktor jazdy konnej. Przez pięć lat z rzędu pracowała podczas wakacji w stadninie Dahlhem na ich obozach jeździeckich i kursach jazdy konnej, które odbywały się jesienią. Potem przestała, dokładnie dziesięć lat temu. Ich najstarszy syn ma dziesięć lat, tak więc wszystko do siebie pasuje. Przypuszczalnie przestała z powodu ciąży.

– A czego to dowodzi? – Knutas spojrział sceptycznie na Karin.

– Niczego oprócz tego, że zna się na koniach, co ułatwiłoby jej z pewnością ich zabicie.

– To nie wystarczy.

– Oczywiście, że nie. Ale jest jeszcze jedna rzecz.

– Jaka?

– Czasami Zuzanna Mellgren pracowała również dodatkowo w sklepach sieci ICA. Zgadnij, na jakim dziale.

Knutas nie powiedział ani słowa.

– U rzeźnika.

– Ach tak? To ciekawe. Zastanawiam się, czy te informacje wystarczą, by ją zatrzymać.

Karin spojrzała na zegar.

– Za pięć minut zaczyna się odprawa, więc zaraz się dowiemy. Jeśli dobrze znam Birgera, to już tu jest.

Czwartek, 29 lipca

Birger Smittenberg uważał, że nie ma wystarczających powodów, aby zatrzymać Zuzannę Mellgren. Zwłaszcza dlatego, że z przesłuchania klientów w pubie w Ljugarn wynikało, że widziano ją tam przez cały czas, także wtedy, kiedy zamordowano jej męża. Miała więc alibi, a Knutas i tak nigdy właściwie nie wierzył, że to ona zabiła męża. Wystarczy wziąć pod uwagę już sam fakt, że jako kobieta była fizycznie zbyt słaba, aby powiesić ofiary w taki sposób, jak to miało miejsce w obu przypadkach. Przynajmniej gdyby popełniła zbrodnię sama.

Oznaczało to, że dochodzenie wróciło do punktu wyjścia. Decyzji takiej można się było spodziewać, ale Knutas mimo to się rozczarował. Byłoby to zbyt piękne, gdyby ta sprawa została szybko wyjaśniona. Już choćby dlatego, że bardzo chciał wziąć wreszcie urlop, do którego tak tęsknił. Teraz nic już z tego nie będzie. Przez okno widział, jak kończy się ciepłe lato, podczas gdy on przesiadywał w swoim zakurzonej pokoju służbowym i łamał sobie głowę.

Być może nadeszła pora, żeby wszystko zmienić: perspektywę i sposób patrzenia na fakty.

Było jasne jak słońce, że Martina Flochten i Staffan Mellgren mieli romans. Zuzanna Mellgren już dawno przyznała, że miała świadomość tego, iż mąż ciągle ją zdradza. Oznaki niewierności w miarę upływu czasu nauczyła się interpretować aż za dobrze. Natomiast nadal utrzymywała, że nie wie, kim była ta kobieta. I Knutas jej wierzył. Jeśli chodzi o ślady butów w kurniku, zeznała, że miała jedną parę takich starych sabotów, która stała w stodole, a teraz gdzieś przepadła. Prawdopodobnie sprawca założył je na nogi, żeby wprowadzić policję w błąd.

Jeśli więc powodem zbrodni nie była niewierność Mellgrena, to co nim było? I dlaczego dokonano jej w taki dziwny sposób?

Pytanie też, czy to już koniec. Pewna okoliczność, a mianowicie podrzucenie końskiego łba Gunnarowi Ambjörnssonowi, pozwalała przypuszczać, że sprawca planował jeszcze jedno morderstwo. Ambjörnsson przebywał ciągle jeszcze za granicą, ale miał wrócić w przyszłą niedzielę. Knutas postanowił zadzwonić do niego i go uprzedzić. Odszukał jego

numer i zdziwił się, że składał się aż z tylu cyfr. Ambjörnsson uprzedzał, że trudno się będzie z nim połączyć. Zostawił numer swojej komórki. Nie był w stanie podać adresu żadnego hotelu, gdyż ciągle się przemieszczał. Knutasowi nie udało się do niego dodzwonić. Usłyszał tylko jakiś dziwny dźwięk, gdy próbował wybrać numer. Po kilku nieudanych próbach postanowił dać sobie na razie z tym spokój i spróbować zadzwonić do niego jeszcze trochę później.

Tego wieczora po bardzo długiej przerwie znów kochał się z Line. Mimo iż aktywność seksualna na ogół wzrastała w okresie lata, to jednak on w ostatnim czasie praktycznie nie miał wcale ochoty na seks. Był przemęczony, a kiedy Line zastanawiała się, co się dzieje, przypisywał winę za to wyczerpaniu spowodowanemu trudnym śledztwem. W głębi duszy cierpiał z powodu tego niepokojącego uczucia, które nie mijało. Próbował skontaktować się ze swoim psychologiem, jednak mu się to nie udało. Musiał się więc uzbroić w cierpliwość i poczekać na uzgodnioną już przez nich wcześniej wizytę w sierpniu. Dzień roboczy jakoś mijał, ale on nie odczuwał takiej satysfakcji jak zwykle. Myślał i poruszał się niczym lunatyk, jak w jakimś śnie, kiedy to człowiek niby biegnie, ale nogi poruszają się ociężale i nigdzie się nie dochodzi. Takie samo uczucie towarzyszyło mu w codziennym życiu. Nie miał siły, by wykonywać jakieś dodatkowe czynności. Robił tylko to, co musiał. Line też zwróciła uwagę, że stał się cichszy i nudny, jak to ujęła. Nieraz zastanawiała się, dlaczego nie potrafi być weselszy. Knutas nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

Piątek, 30 lipca

Był piątkowy wieczór. Johan i Pia zakończyli wieczorną audycję. Johan chciał szybko wyjść z redakcji. Spieszył się do domu, do Emmy, która wcześniej zapytała go, czy chciałby u niej przenocować. Też pytanie!

Miała przygotować coś do jedzenia, ponieważ on nie mógł wyjść z pracy wcześniej niż o siódmej. Sara i Filip byli u swego ojca, co zdaniem Johana też było dobre. Nie trzeba robić wszystkiego naraz.

W samochodzie w drodze do Roma snuł fantazje, jakby to było fajnie mieszkać w tej willi i codziennie wracać do domu po pracy tak jak teraz.

Do domu, do Emmy i do dzieci. Był zaskoczony, jak piękne mu się to wydało. Że wszystko tak dobrze komponuje się w jedną całość. On, żyjący samotnie przez wszystkie te lata, nie był do tego przyzwyczajony. Był wprawdzie w dłuższych związkach, w których mieszkał z dziewczyną jakiś czas, ale to nie było jeszcze to. Nigdy nie miał z kimś wspólnego domu. A jeśli dochodziły do tego jeszcze dzieci, wówczas cała sprawa była jeszcze bardziej poważna. To było już całkiem co innego.

Myśl o spędzaniu tak na serio dni powszednich z Emmą odpowiadała mu bardziej, niż mógłby to sobie kiedyś wyobrazić. Zajrzał do sklepu monopolowego. Słyszał brzęk butelek wina toczących się tam i z powrotem na taśmach przy kasach. Burczało mu w żołądku. Ślinka leciała mu do ust, gdy wyobraził sobie jedzenie stojące na stole, kiedy powróci do domu. Tak bardzo chciał spędzać więcej czasu z Emmą. Aby tylko móc z nią zasypiać i budzić się razem.

Odruchowo dodał gazu. Miał nadzieję, że Elin jeszcze nie śpi i że zdąży sobie z nią trochę pogaworzyć, zanim mała zaśnie.

Nie mogąc się już doczekać, zadzwonił do drzwi, schowawszy za plecami bukiet kwiatów, które kupił po drodze.

Kiedy jednak drzwi się otworzyły, poczuł się tak, jakby go ktoś spoliczkował. To nie Emma w nich stała, ale jej były mąż z głośno płaczącym i kaszlącym Filipem na rękę, który był czerwono-siny na twarzy z wysiłku.

– Cześć, wejdź.

– Cześć.

Johan wszedł do holu i poczuł się jak idiota.

– Tak w ogóle to gratuluję. Jest śliczna. – Olle skinął głową, wskazując w głąb domu.

Przez chwilę Johan nie był pewien, czy miał na myśli Emmę, czy Elin.

– Dzięki.

W drzwiach ukazała się Emma. Ucisnęła go szybko. Johan nadal miał wrażenie, jakby stał z otwartymi ustami niczym ryba łykająca powietrze. Niczego nie pojmował.

– Wiesz, zrobiło się małe zamieszanie, bo Filip dostał ciężkiego ataku astmy i musimy z nim pojechać do szpitala. Nie mogę zabrać Elin ze sobą. Jedno z nas musi prowadzić, a drugie trzymać Filipa, kiedy dostanie ataku kaszlu. Zajmij się Elin i Sarą. Odciągnęłam mleko z piersi. Masz więc mleko, które musisz tylko podgrzać w mikrofalach. Sara też nic nie jadła. Zadzwoń do ciebie ze szpitala. Na razie!

Nim zdążył jakoś zareagować, Emma, Olle i Filip już zniknęli na żwirowej ścieżce. Ręce mu opadły i patrzył tylko, jak samochód rusza z piskiem opon.

Tak więc ten wieczór wyglądał zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażał. Zamiast rozkoszować się kolacją przy butelce dobrego wina i spędzać romantycznie czas z Emmą, zostawiono go po raz pierwszy samego z dziećmi. Z Elin nie ma problemu, ale o czym do licha mam rozmawiać z ośmiolatką? – myślał lekko przerażony, podczas gdy głód coraz bardziej dawał mu się we znaki. Położył Elin do wózka, który stał w holu, a mała natychmiast zaczęła przeraźliwie płakać.

– Chwileczkę, proszę pani – pocieszał ją i czuł, jak wzmaga mu się ból głowy. W lodówce znalazł plastikową torebkę zawierającą coś, co wyglądało na filety z kurczaka w marynacie. Nie bardzo wiedział, co ma z tym zrobić. Oprócz tego niewiele tam było jedzenia. Tak samo w zamrażarce. To co mają jeść? Musi coś przecież zjeść. Wyciągnął małe, plastikowe opakowanie z odciętym z piersi mlekiem i wstawił je do mikrofalówki, żeby się zagrzało. Zawołał Sarę, ale nie było żadnej odpowiedzi. Wziął więc znowu Elin na ręce i zaczął szukać Sary po całym domu. Johan spotykał się już wcześniej kilka razy z Sarą i Filipem, ale zawsze tylko bardzo krótko i w obecności Emmy. Teraz czuł się niezręcznie, bo nie był na to przygotowany, a nieustanny płacz Elin wcale nie poprawiał ani tej sytuacji, ani jego bólu głowy. Jakby tego jeszcze było mało, wokół jego stóp podskakiwał szczeniaczek i Johan bardzo się bał, że się przez niego poślizgnie i upuści Elin na podłogę. Akurat teraz dostał jakby zaćmienia umysłu i za nic nie mógł sobie przypomnieć, jak ów piesek się wabi.

Znalazł w końcu Sarę pod stołem, który stał przy sofie w salonie.

Nie wiedziała jeszcze, że ją znalazł, a on przez kilka sekund stał niezdecydowany. Potem schylił się tak nisko, iż sam prawie leżał pod stołem z Elin na ręku. Szczeniak był w

siódmym niebie i tak szalał z radości, że kilka razy z zapałem polizał i jego, i Elin. Elin zaczęła znowu przeraźliwie płakać.

– Cześć – powiedział do Sary, która demonstracyjnie zatykała sobie uszy.

Wymarzony początek, nie ma co. Po długim dniu pracy nie miał właściwie ani siły, ani ochoty walczyć z płaczącym niemowlakiem, rozszalałym psem i ośmiolatką, która stawiała okoniem. Do tego jeszcze z pustym żołądkiem. Należał do tych, którzy nie mogą zbyt długo czekać na posiłek, bo obniżał mu się poziom cukru i był wtedy w kiepskim humorze.

Zrozumiał jednak, że siebie samego i swoje potrzeby musi postawić na ostatnim miejscu. Próbował zapytać Sarę, czy w Roma jest jakaś pizzeria. Nadal jednak trzymała ręce mocno przyciśnięte do uszu. Wówczas położył Sarze na kolana płaczącą Elin, a sam rozluźnił rękę. Sara instynktownie opuściła ręce, aby schwycić niemowlaka.

– Cześć. Jestem głodny – powiedział Johan. – Chcę zadzwonić i zamówić pizzę. Chcesz też?

Nie odpowiadała.

– Jak ładnie trzymasz Elin – zaczął się przymilać. – Miło jest mieć taką małą siostrzyczkę, no nie?

Popatrzyła na niego podejrzliwie, nic nie mówiąc. Johan powoli wstał.

– Ja w każdym razie dzwonię i zamawiam coś. Ja chcę taką ogromną calzone i dużą coca-colę. A ty co lubisz? Capriccioso?

– Nie – odpowiedziała Sara. – Hawajską.

– No to ci zamówię. Czy możesz potrzymać Elin, kiedy będę dzwonił?

– Okej.

Sara wyglądała już na trochę bardziej zadowoloną.

– No to może weźmiemy wózek i pójdziemy kupić te pizze? – zaproponował Johan. – Czy mogłabyś prowadzić wózek?

– Tak, mogłabym.

– Dobra, to weźmiemy też ze sobą pieska. Pójdzie sobie przy okazji na spacer.

– Ona. To jest suczka. Wabi się Ester.

– Jakie fajne imię – skłamał Johan. – Ja teraz wezmę Elin, zmienię jej pieluchy i dam jej trochę jeść, zanim wyjdziemy z domu. A ty w tym czasie możesz nakryć do stołu, bo ja nie wiem, gdzie trzymacie talerze i inne rzeczy. Przyszedłem tutaj tylko z wizytą. Zjemy przed telewizorem?

– Okej – rozpogodziła się Sara. – Mama nam nigdy na to pozwala. I tata też nie.

– No, ale my chyba możemy zrobić dzisiaj wyjątek – powiedział Johan. – Skoro

jesteśmy tutaj sami, tylko ty, ja i Elin.

– I Ester.

– Oczywiście, Ester też. A czy ona dostała już coś do jedzenia?

– Tak, mama dała jej jeść wcześniej.

– No to dobrze. Przynajmniej jedna istota jest już tutaj najedzona.

Kiedy dwie godziny później Emma przekraczała próg domu, oprócz cichego szumu telewizora w domu było zupełnie cicho. Najpierw była trochę zaniepokojona, ale jej obawy ustąpiły, kiedy zajrzała do salonu. Na szerokiej sofie siedział Johan wyciągnięty do tyłu i chrapał z otwartymi ustami. Z jednej strony obejmował Sarę, a z drugiej Ester. Cała trójka spała głębokim snem, a w kołysce, którą Johan przestawił bliżej siebie, słychać było oddech Elin.

Sobota, 31 lipca

Knutas obiecał, że przyjedzie na wieś w sobotę, ale już przy śniadaniu zrozumiał, że nie mógłby tak spokojnie sobie wyjechać i po prostu nic nie robić. Wątek dotyczący budowy hotelu jak dotąd nic nie wniósł do śledztwa. Zarówno Karin, jak i Wittberg mieli poświęcić weekend na dalsze grzebanie w tej sprawie, sami zresztą wyrazili gotowość do pracy, a Knutas czuł, że musi postąpić tak samo. Zadzwoił do Line i wytłumaczył jej wszystko. Przyjechali z wizytą jej rodzice z Danii, toteż dom i tak był pełen ludzi. Zapewniła go, że dadzą sobie radę bez niego.

Nastawił kolejną kawę i czekał, aż zacznie się gotować. Niezadowolony patrzył na pożółkły trawnik i pomyślał, że spróbuje podlać go pod wieczór. Jeśli chodziło o sprawę Martiny Flochten, to wyglądało na to, że nie posunęli się dużo dalej, przynajmniej jak na razie. Miał porozmawiać z Gunnarem Ambjömssonem, jak tylko ten powróci jutro z podróży. Knutas postanowił nie zajmować się na razie żadnymi ewentualnymi związkami Ambjörnssona z innymi ludźmi, lecz skoncentrować się tylko na Staffanie Mellgrenie. Jeżeli to nie żona go zabiła, wówczas być może romans Mellgrena i Martiny nie miał nic wspólnego z morderstwem. Być może policja za bardzo uchwyciła się tego wątku. Prowadząc dalsze rozważania, postanowił pominąć w ogóle kwestię romansu Mellgrena.

Cóż innego w życiu Mellgrena powodowałoby, że ktoś chciał go zamordować? Musi zebrać o nim więcej informacji. Nie udało mu się znaleźć żony Mellgrena, choć dzwonił pod różne numery telefonu. Najwyraźniej chciała mieć spokój po tych wszystkich przeżyciach. Później spróbuje jeszcze raz do niej zatelefonować. Na razie zadzwonił na uczelnię, ale tam w sobotę nikt nie odbierał. Knutas przewertował notatki o kierowniku prac archeologicznych, wśród których znalazł telefon do Arona Bjarke. Być może on będzie wiedział coś więcej, był wszak dość dobrze zorientowany w życiu erotycznym Mellgrena i wydawał się otwarty i rozmowny.

Aron Bjarke był akurat w domu. Mieszkał w centrum miasta na Skogränd w obrębie murów miejskich i tam też postanowili się spotkać.

– Zaparzę kawę, możemy posiedzieć w ogrodzie – powiedział Bjarke, jakby chodziło tylko o małe spotkanie przy kawie.

Knutas poszedł pieszo. Czuć było powiew rześkiego powietrza, toteż nie było aż tak nieznośnie gorąco. Zostawił marynarkę w domu. Wszedł przez bramę Söderport i ruszył dalej ulicą Adelsgatan. Było dopiero parę minut po dziesiątej i większość sklepów dopiero co otwarto. O tej porze było tu jeszcze dość pusto. Przeszedł przez Duży Rynek, gdzie właściciele stoisk byli zajęci wywieszaniem towarów i przygotowaniami do codziennego handlu. Widok ten aż nadto kontrastował z ruinami stojącego tuż obok kościoła z trzynastego wieku pod wezwaniem świętej Katarzyny.

Dom Arona Bjarke był mały i tak się zapadał, że drzwi praktycznie opierały się o ziemię. Okna były tak niziutkie, że blachę parapetu dzieliło tylko kilkadziesiąt centymetrów od ulicy, gdzie przed domem posadzono róże. Nauczyciel archeologii był najwyraźniej człowiekiem, który dbał o dom.

Bjarke otworzył po pierwszym stuknięciu do drzwi, bo dzwonka tu nie było. Knutas musiał się pochylić przy wchodzeniu, żeby nie uderzyć głową. Sufit znajdował się nisko i był dość zmurszały.

Idąc do ogrodu leżącego za domem, Knutas zajrzał z ciekawości do jasnej i staroświeckiej kuchni. Były w niej białe drewniane szafki, mały rozkładany stół oraz firanki w biało-niebieskie pasy. W oknach stały poustawiane różne przedmioty. Salon był tak samo niski, miał rustykalne belki na suficie i stały w nim wyłącznie stare meble.

– Ale fajnie tu u pana – skomentował Knutas. – Interesuje się pan antykami?

– Tak naprawdę to nieszczególnie, większość ich odziedziczyłem.

Za domem był mały ogród, w którym się rozsiedli.

Taca z kawą stała już na stoliku. Bjarke nalał kawy Knutasowi, nie pytając, czy w ogóle sobie tego życzy. Do kawy podał na talerzu małe herbatniki o smaku czekoladowym.

– Właściwie to przyszedłem do pana, żeby porozmawiać o Staffanie Mellgrenie – zaczął Knutas.

– Naprawdę? To straszne, co się stało. Zupełnie niepojęte. To przerażające. Zamordowano studentkę i nauczyciela. Człowiek zastanawia się, czy sam nie będzie kolejną ofiarą mordercy. Wszyscy chyba tak myślą. Wśród nauczycieli i studentów naszej uczelni panuje spory niepokój.

– Rozumiem – uciął Knutas.

Przez cały tydzień na policję zgłaszali się zdenerwowani i zaniepokojeni ludzie, począwszy od rodziców studentów, zatroskanych o życie swych dzieci, poprzez stowarzyszenia przedsiębiorców zmartwionych odpływem turystów aż po wszystkie osoby z uczelni, żądające jak najszybszego ujęcia mordercy. Te reakcje były oczywiście zrozumiałe,

ale policja miała inne zajęcia, niż bawić się w poradnię psychologiczną. Knutas westchnął, myśląc o tym, a jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Arona.

– Na ile dobrze pan go znał?

– Można chyba powiedzieć, że dość dobrze. Pracowaliśmy razem od wielu lat. Przez ostatnie pięć lat w szkole wyższej, a przedtem jeszcze w szkole ludowej w Hemse, która wcześniej była odpowiedzialna za wykopaliska.

– Czy spotykaliście się również na gruncie prywatnym?

– Nie. On miał przecież rodzinę, czwórkę dzieci i wszystko inne, tak więc każdy z nas żył po swojemu.

Aron Bjarke uśmiechnął się i wsadził herbatnik do ust.

Knutas przyglądał się temu siedzącemu po drugiej stronie stołu człowiekowi w średnim wieku, odzianemu w szorty i koszulkę tenisową, przyjaznemu, wprost przymilnemu. Knutas odniósł takie wrażenie, że Bjarke mimo swej otwartej i przyjaznej natury jest dość samotny. Tak jakoś mimowolnie zaczął myśleć o człowieku siedzącym naprzeciwko, choć miał przecież pytać go o Staffana Mellgrena.

– Pyszna kawa – powiedział, żeby przerwać ciszę, która zapadła. – Kiedy poprzednio opowiadał pan o życiu erotycznym Mellgrena, odniosłem wrażenie, że jest pan dobrze zorientowany w tym temacie. Czy wszyscy wiedzieli o jego romansach ze studentkami?

– Niestety, ale tak właśnie można chyba powiedzieć. Wiedziało o tym bardzo dużo osób, przynajmniej spośród jego uczniów. To są jednak w końcu uczniowie szkoły wyższej, a więc mówimy o dorosłych ludziach. Wiem, że pani rektor była zdania, iż coś takiego nie powinno mieć tu miejsca, ale nie mogła zbyt wiele zrobić. Sprawa była także nieco delikatna, bo Mellgren był bardzo cenionym i pracowitym człowiekiem, zarówno jako nauczyciel, jak i archeolog.

– I nikt się nie skarżał na ten stan rzeczy?

– Myślę, że wszyscy postanowili udawać, że nic nie widzą. Był przecież żonaty, a jego żona Zuzanna rodziła jedno dziecko za drugim. Wydaje mi się, że koledzy z pracy nie bardzo wiedzieli, jak mają się ustosunkować do tej sprawy.

– A pan?

– Staffan i ja znaleźliśmy się na gruncie zawodowym, ale nigdy nie rozmawialiśmy o naszych prywatnych sprawach. Nie mówiłem mu więc, co sędzę o jego prowadzeniu się. Teraz, kiedy już wiadomo, jak to się wszystko skończyło, myślę, że może głupio wtedy postąpiłem.

– Jak pan to rozumie?

– Można chyba przypuszczać, że to morderstwo ma związek z jego romansami. Tak w każdym razie mówi się o tym wśród kolegów w szkole.

– A czy zna pan kogoś, z kim spotykał się on w wolnym czasie?

– Nie bardzo się orientuję. Wydaje mi się, że chyba nie miał zbyt wiele kontaktów z kolegami z pracy. Być może zdawał sobie sprawę, że ludzie wiedzą, czym się zajmuje i wstydził się tego. A jakie inne towarzystwo mogli mieć on i Zuzanna, tego nie wiem.

Kiedy Knutas wychodził z domu Arona Bjarke, nie był ani odrobinę mądrzejszy.

Niedziela, 1 sierpnia

Telefon zadzwonił akurat wtedy, kiedy Knutas zdrzemnął się na leżaku w ogrodzie. Był w pracy przez całe przedpołudnie i do niczego nie doszedł. Około południa poddał się więc ostatecznie i poszedł do domu. Przyrządził sobie omlet i usiadł na dworze, gdzie zasnął. Pospał może z pięć minut, kiedy usłyszał dzwonek. Odebrał telefon na wpół śpiący.

– Cześć, tu Jonsson z lotniska.

– Aha?

– Jesteśmy tutaj, to znaczy Ek i ja, żeby odebrać Gunnara Ambjörnssona. Jego przyjaciółka też tu z nami jest.

– No i?

Knutas sam usłyszał zniecierpliwienie w swoim głosie.

– Nie ma go tutaj.

– Co takiego?!

– Nie ma go w samolocie, którym miał przylecieć ze Sztokholmu.

– Czy jesteście pewni, że go gdzieś nie przeoczyliście?

– Stoimy tutaj we trójkę. Wykluczone, żeby przemknął niepostrzeżenie.

– A co z samolotem z Marrakeszu? Czy był na jego pokładzie?

– Nie wiemy, nie sprawdzaliśmy.

– To zróbcie to natychmiast i zadzwóńcie do mnie od razu, jak tylko się czegoś dowiedziecie.

Knutas wstał, poszedł do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Gdzie do licha jest Ambjörnsson? Czyżby postanowił zostać jeszcze w Maroku?

Kiedy wyszedł znów z łazienki, zadzwonił telefon. Jonsson spisał się, tak jak powinien.

– Był w samolocie z Marrakeszu. Przeszedł odprawę i kontrolę na bramce oraz okazał swoją kartę pokładową. Możemy więc być całkiem pewni, że faktycznie był na pokładzie. Musiał zniknąć gdzieś po drodze między terminalem zagranicznym a krajowym na lotnisku Arlanda. Nie stawił się bowiem na odprawie przed lotem do Visby.

– Czy jesteś tego pewien?

- Oczywiście, sprawdzaliśmy wszystko razem z personelem lotniskowym.
- Tylko jak on mógł zaginać w tym czasie?
- Najwyraźniej zmienił plany. Coś takiego się zdarza.

Knutas wyciągnął się na krześle i się zamyślił. Czyżby Gunnar Ambjörnsson nagle postanowił pozostać w Sztokholmie?

Właściwie było to całkiem możliwe. Być może w trakcie podróży poznał kogoś, kto sprawił, że chciał spędzić jeszcze trochę czasu w stolicy. Mając jednak na względzie to wszystko, co się ostatnio wydarzyło, zaginięcie mężczyzny budziło niepokój.

Knutas wybrał numer policji w Sztokholmie.

Poniedziałek, 2 sierpnia

Weekend przeszedł wszelkie oczekiwania, a samopoczucie Johana było jak na razie lepsze, kiedy przyszedł do pracy w poniedziałek rano. Oboje z Emmą spędzili ten czas spokojnie: chodzili na długie spacery, gotowali dobre obiady i leniuchowali przed telewizorem. Dokładnie tak, jak każda zwyczajna rodzina. Największą satysfakcję sprawiał mu całodobowy kontakt z Elin: budzenie się z nią, karmienie jej, ubieranie i rozbieranie, zmienianie pieluch. Zrozumiał, jak bardzo brakowało mu opieki nad córką. I choć ten weekend był udany, to jednak Johan zaczął w tym czasie stawiać nowe żądania. Nie zgadzał się już na dalsze wykluczanie swojej osoby. Jeżeli Emma nie chciała, aby się wprowadził do jej domu, to musi zaakceptować, że on będzie sobie wypożyczał Elin od czasu do czasu i zabierał ze sobą.

Jego psychiczne podbudowanie po weekendzie było spowodowane między innymi tym, iż pierwszy wieczór spędzony sam na sam z Sarą minął mu tak dobrze. Zajaśniał w nim nowy promyk nadziei, że być może będzie w stanie funkcjonować jako ojczym. Nawet trochę czekał już na ponowne spotkanie z Sarą i Filipem.

Jak zwykle rozpoczął dzień od rozmowy z Grenforsem w Sztokholmie. Zupełnie niespodziewanie redaktor stwierdził, że Johan powinien zwolnić trochę, jeśli nie dzieje się nic specjalnego.

Zaczął od porządków na swym zawałonym różnymi rzeczami biurku.

Pia skorzystała zatem z okazji, żeby zabrać samochód do myjni i na przegląd. Grzebał w stertach różnych papierów. Większość wyrzucał, a najważniejsze rzeczy odkładał do teczki. Wszędzie unosił się kurz, więc należałoby tu pozamiatać.

Jego wzrok zatrzymał się na artykule wyciętym z „Gotlands Allehanda”, który opisywał zuchwałą kradzież z Sali Zbiorów Dawnych sprzed kilku tygodni. Oba ostatnie zabójstwa sprawiły, że to, co w innych okolicznościach byłoby głośnym wydarzeniem, teraz prawie popadło w zapomnienie.

Zadzwoił na policję i poprosił o rozmowę z osobą odpowiedzialną za tę sprawę. Połączono go więc z Erikiem Larssonem.

– Pracujemy nad tą kradzieżą, ale zgrzeszylibym, mówiąc, że posunęliśmy się choć o

krok do przodu – powiedział zmartwiony policjant.

– Czy podejrzewacie kogoś?

– Nie.

– A macie jakieś ślady?

– Nic takiego, co umożliwiłoby nam złapanie złodzieja.

– Czy tego rodzaju kradzieże zdarzały się już wcześniej?

– Nie, w Sali Zbiorów Dawnych nie miały one miejsca.

– Co sprawca może dalej zrobić z taką złotą bransoletą, którą skradł? Musi być bardzo ciężko upłynnić taki przedmiot.

– Albo zatrzymał ją dla siebie, co chyba jest jednak mniej prawdopodobne, albo odsprzeda ją komuś. Podejrzewamy, że to była robota na zlecenie, a więc że już wcześniej miał nabywcę, którym może być jakiś kolekcjoner, kto wie czy nawet nie z zagranicy. Wiemy, że znalezione na Gotlandii cenne przedmioty są czasem sprzedawane na rynku światowym.

– Ile taka bransoleta może być warta?

– Trudno powiedzieć. Kolekcjoner może pewnie zapłacić prawie każdą cenę. Jeśli chodzi o monety, to mówi się zwykle, że nietypowy srebrnik, zachowany w dobrym stanie i pochodzący z epoki wikingów, ma wartość około dziesięciu tysięcy koron. Może pan sobie zatem wyobrazić, ile można dostać za cały zbiór setek monet. Wiemy, że nadal nie wykopano jeszcze wszystkich drogocennych rzeczy ze srebra. W dalszym ciągu na Gotlandii znajduje się średnio jeden srebrny drogocenny przedmiot na rok.

– Ale dlaczego w tak niewielkim stopniu udaje się zapobiec takim kradzieżom? – zapytał Johan ze zdumieniem. – Przecież to jest nienormalne, że ginie stąd tyle rzeczy i nikt na to nie reaguje!

– Oczywiście próbujemy dobierać się do złodziei wykopanych przedmiotów, ale to nie jest łatwe. A prawdę mówiąc, wydaje mi się, że jedną z przyczyn pasywnej postawy policji jest to, że jeżeli już w ogóle dochodzi do procesu, to wówczas sprawcy otrzymują karę, której prawie nie odczuwają. Sądzi się ich bowiem zgodnie z ustawą o dobrach kultury, a kary są tak niskie, że policji nie chce się tracić energii na łapanie przestępców, którzy już po kilku miesiącach znowu są na wolności.

– Czy odnosi się to również do pana?

– Tego nie powiedziałem, ale trudno jest dopaść tych złodziei, jeśli się ich nie złapie na gorącym uczynku.

Johan podziękował i zakończył rozmowę. Obiecano mu, że będzie mógł

przeprowadzić wywiad na ten temat za kilka dni. Chciał jeszcze posprawdzać inne kradzieże, zanim zrobi materiał. Zadzwoił na centralę komendy policji i poprosił o możliwość uzyskania informacji o wszystkich zgłoszeniach policyjnych dotyczących znalezisk z minionych epok lub odkryć archeologicznych w ubiegłym roku. Rejestratorka obiecała przefaksować mu te zgłoszenia tak szybko, jak to tylko możliwe. Jej zdaniem nie było ich jednak więcej niż dziesięć.

Czekając, Johan zaparzył sobie kawę. Dziwiła go niefrasobliwość, z jaką policja odnosiła się do kradzieży. Był zdania, że to straszne, aby dziedzictwo kultury i spuścizna historyczna trafiały na lukratywny rynek i znikwały nie tylko z Gotlandii, ale w ogóle ze Szwecji.

Kiedy usłyszał szum faksu, pospieszył odebrać wiadomość. Było tylko siedem zgłoszeń. Jedno z nich dotyczyło tej ostatniej kradzieży z Sali Zbiorów Dawnych, a inne były związane z podobnymi przypadkami w magazynie muzeum i z wykopaliskami.

Jedno zgłoszenie szczególnie przykuło jego uwagę. Podczas prac wykopaliskowych we Fröjel zaginął naszyjnik. Zgłoszenie było datowane na czwartek dwudziestego dziewiątego czerwca. Skradziony przedmiot był bursztynową biżuterią ze srebrnymi wstawkami, którą osoba zgłaszająca potem jej zniknięcie sama znalazła w ziemi dzień wcześniej. Włożyła bowiem ten naszyjnik do worka, który umieszcza się w skrzyni w stojącym w pewnej odległości od wykopaliska samochodzie, gdzie archeolodzy przechowywali znalezione przedmioty, komputer oraz różne swoje narzędzia i przybory. Kiedy chciała na drugi dzień jeszcze raz obejrzeć znaleziony przez siebie przedmiot, już go tam nie było. Nikt nie potrafił wyjaśnić, co się z nim stało. Samochód był zamknięty przez całą noc, a na zamku nie było widać żadnych śladów.

Osobą zgłaszającą ową kradzież była Katja Rönngren. Johanowi wydawało się, że zna już to nazwisko i zaczął szukać w swoich papierach. Znalazł spis osób uczestniczących w tym samym kursie co Martina i faktycznie to nazwisko też tam było.

Katja Rönngren była jedną z tych osób, które zrezygnowały z kursu po śmierci Martiny.

Mieszkała w Göteborgu. Informacja telefoniczna podała Johanowi jej numer, więc od razu zadzwonił, przedstawił się i wyjaśnił, o co mu chodzi.

- Rozmawia pan z jej matką. Katji nie ma tutaj.
- To bardzo ważna sprawa. Gdzie mogę ją znaleźć?
- Katja jest na Gotlandii.
- Ale przecież zrezygnowała z kursu kilka tygodni temu?

– Była w domu tylko kilka dni. Potem wróciła, żeby go jednak mimo wszystko dokończyć.

– Czy rozmawiała pani z nią od tego czasu?

– Kilka razy. Powiedziała, że teraz nie może mieszkać w schronisku młodzieżowym, bo tam nie ma już miejsc, więc śpi u przyjaciół w Visby. Może pan zadzwonić do niej na komórkę. Czy chce pan jej numer?

Sprawdzono listę pasażerów linii lotniczych Destination Gotland, ale nie było na niej nazwiska Ambjörnssona. Najwyraźniej nie zmienił swoich planów, ale jedynie wybrał statek zamiast samolotu.

Przeprowadzono sporo przesłuchań, ale nie posunęły one śledztwa do przodu. Koledzy z Centralnego Biura Śledczego znani byli ze swego sprawnego działania, ale i oni nie doszli do niczego nowego. Agneta Larsvik ponownie była zmuszona zająć się jakąś inną sprawą w Sztokholmie.

Po odprawie o godzinie ósmej Knutas postanowił wyjść z komendy i udać się śladami mordercy. Pozostawił wiadomość na centrali, że nie będzie go przez kilka godzin, wsiadł do swojego starego mercedesa i ruszył w drogę. Pogoda nie była już tak stabilna. W nocy padało, a kiedy jechał teraz na południe drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża, chmury gromadziły się, tworząc na niebie ciemne, groźne skupiska. Tuż przed Klintehamn skręcił koło Warfsholm i zaparkował samochód przed pensjonatem. Było całkiem pusto. Turyści pojechali chyba do Visby teraz, kiedy pogoda się pogorszyła.

Wszedł na werandę pensjonatu i usiadł przy tym samym stoliku, przy którym ponad miesiąc temu siedziała Martina i jej koledzy. Wiało dość mocno i padał drobny deszczyk. Woda była szara, a od strony portu słychać było warkot maszyn. Był to obraz tak bardzo różniący się od tamtego wakacyjnego rajku, jakim wydawało mu się to miejsce wtedy, kiedy był tu razem z Karin ostatnim razem. Wstał i spojrzał w kierunku ścieżki prowadzącej do schroniska. To tam najprawdopodobniej młoda Martina Flochten spotkała swego zabójcę. Dlaczego właśnie tam?

Szedł wolnym krokiem tą samą drogą i w tym samym kierunku, w którym szła Martina. Zatrzymał się w połowie drogi tam, gdzie wierzby rosnące po obu jej stronach tworzyły tunel. Chroniły one zarówno przed deszczem, jak i wiatrem. Tu gdzieś ją napadnięto. Potem sprawca musiał zawlec ją przez parking na trawnik z jałowcami i do wody, gdzie znaleziono jej pierścionek. Knutas szedł dalej drogą, którą jego zdaniem zapewne

podążał wówczas sprawca. Człowieka stojącego w tym miejscu od strony plaży nikt nie mógłby dostrzec. Morderca miał więc tutaj całkowity spokój. Po utopieniu ofiary wsadził zapewne jej ciało do samochodu i odjechał. Knutas zatrzymał się i przyglądał przez chwilę tej okolicy. Czy byli umówieni na spotkanie? Czy Martina skrywała jakąś tajemnicę, która nie była związana z jej romanssem? W czasie swych wizyt w Szwecji być może poznała kogoś, o kim nikt nie wiedział.

W trakcie dochodzenia wykluczono uczestników kursu oraz osoby ze szkoły wyższej. Musi jednak istnieć coś jeszcze. Coś, o czym nikt nie wie.

Kolejnym przystankiem był Vivesholm. Knutas przeszedł się przez las aż do wieży obserwacyjnej. Zatrzymał się w miejscu, gdzie wisiła Martina. Tamtego widoku, jaki zastał owego poranka, nigdy nie zapomni.

Powędrował dalej na cypel. Okolica była dzika i surowa i przypominała wrzosowiska w Irlandii Północnej, gdzie był z rodziną na urlopie kilka lat temu. Wiatr powodował, że mrużył oczy, a jego twarz była cała mokra od deszczu, kiedy spojrzał ku niebu. Chłód i wilgoć sprawiały, iż miało się wrażenie, że jest już jesień. Spojrzał na skały koło Kovik. Z powodu deszczu i mgły ledwo mógł dostrzec stojącą tam samotną kapliczkę. Zaledwie pół roku temu w kapliczce tej odbyła się ceremonia pogrzebowa jednego z jego najlepszych przyjaciół. Był to mały, wapienny budynek stojący samotnie, którego niewielkie okienka wychodziły na morze. W ciągu wielu lat pochowano tam sporo marynarzy.

Coś nagle obudziło się gdzieś głęboko w jego podświadomości, kiedy tak stał na wietrze i w deszczu. Rozmyślał o tym, co Agneta Larsvik powiedziała o sposobie działania mordercy. Wtedy nagle olśniło go, co powinien zrobić.

Katja Rönngren nie odpowiadała. Johan zostawił jej wiadomość na poczcie głosowej i prosił, żeby oddzwoniła do niego tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

Wyciągnął się do tyłu na krześle i splótł dłonie na głowie. Czy miało to jakieś znaczenie, że Katja zgłosiła kradzież na policji, zrezygnowała z kursu, a potem znowu na niego wróciła? Być może nie miało to zupełnie żadnego znaczenia. Ale kradzieże nie dawały mu spokoju.

Zasiadł do komputera i wszedł do internetu. Szukał na chybił trafił, wpisując różne hasła, które miały związek z gotlandzkimi znaleziskami. Wyświetliło mu się sporo informacji, ale większość można było od razu odsiać jako nieinteresujące. W pewnym momencie aż nim zatrzęsło. Na jakiejś amerykańskiej stronie internetowej znalazł bogatą ofertę wykopanych na Gotlandii przedmiotów przeznaczonych na sprzedaż. Były tam takie przedmioty jak urządzenia, narzędzia, monety czy biżuteria, które można było bez problemu kupić. Był nawet podany adres kontaktowy. Johanowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Wklepał pseudonim i napisał, że jest zainteresowany zakupem oferowanych tam przedmiotów i w związku z tym prosi o szybką odpowiedź.

Zadzwoił telefon. To była Katja Rönngren. Potwierdziła, że zgłosiła kradzież na policji, ale nic więcej od tego czasu się nie wydarzyło i nie ma najmniejszego podejrzenia, kto się może kryć za tymi kradzieżami. Powiedziała natomiast, iż Martina również stwierdzała zniknięcia wykopywanych przez nich przedmiotów i że miała zamiar to zgłosić. Katja nie wiedziała jednak, czy faktycznie to zrobiła. Miała takie wrażenie, że Martina podejrzewała kogoś, ale nie bardzo chciała się do tego przyznać.

Rozmowa skłoniła Johana do refleksji. Martina miała zatem zamiar złożyć doniesienie na policję, ale nie doszło do tego. Być może uczyniłaby to, gdyby jej nie zamordowano. Czy to kradzieże były powodem zabójstw? Czy to ktoś, kto za wszelką cenę chciał dalej kraść, a dziewczyny zagrażały jego działalności, bo wpadły na jego trop? W takim przypadku również

i Katja mogłaby być w niebezpieczeństwie. Logicznie rzecz biorąc, to właśnie ona powinna była zostać zamordowana nawet jako pierwsza, gdyż posunęła się do złożenia donosu na policji. A jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Staffan Mellgren? Czy był zamieszany w te kradzieże? Johan przypuszczał, że odpowiedź na pytanie, kto jest mordercą, powinna być możliwa po uzyskaniu więcej informacji o przebiegu kradzieży. To wszystko musi się jakoś łączyć ze sobą: kradzież w Sali Zbiorów Dawnych, kradzieże z magazynu i te z wykopalisk. A teraz jeszcze okazuje się, że takie rzeczy można kupić w internecie. Dla policji to powinno być przestępstwem. W jaki sposób Amerykanie mogli wejść w posiadanie staronordyckich przedmiotów, nie kradnąc ich?

Nagle w komputerze coś zapiszczało. Dostał jakąś wiadomość. Nadeszła ze Stanów. Ponownie zasiadł do komputera, aby nią odpowiedzieć.

Powróciwszy na komendę, Knutas zadzwonił do Agnety Larsvik w Sztokholmie. Miał szczęście, bo złapał ją w przerwie między dwoma spotkaniami.

– Słuchaj, chodzi mi o ten sposób działania mordercy – zaczął. – Czy myślisz, że może on mieć jakiś związek z religią?

– A co konkretnie masz na myśli?

– Zarówno Martina Flochten, jak i Staffan Mellgren interesowali się epoką wikingów. Kiedy ich zamordowano, prowadzili prace wykopaliskowe na terenie portu z dawnych czasów. W owych czasach wierzono w Asów, no wiesz, w Tora, Odyna i różnych innych bogów. Wikingowie składali przecież ofiary, krew i inne rzeczy. Słyszało się o takich sprawach. Mówiłaś, że morderca postępował jakby według jakiegoś określonego rytuału. Czy może to mieć jakiś związek z Asami, to znaczy ze sposobem składania tym bogom ofiary?

– Prawdę mówiąc, nie wiem – powiedziała z powątpiewaniem w głosie. – Niestety, nie jestem aż tak obeznana z tym problemem, ale to może być nawet dość prawdopodobne. Czy możesz zaczekać chwilę?

Knutas usłyszał, jak odkłada na moment słuchawkę i jak wertuje jakieś papiery gdzieś w tle. Kilka minut później odezwała się znowu.

– Czy jesteś tam jeszcze? Znam pewnego historyka religii z Uniwersytetu Sztokholmskiego, który jest specjalistą od religii i mitologii staronordyckiej. Nazywa się Malte Boberg i na pewno będzie mógł ci pomóc.

Knutas zapisał numer telefonu do tego naukowca i niecałą minutę później już miał go na linii. Przedstawił mu swoją sprawę i opisał pokrótce sposób, w jaki zamordowano ofiary.

Malte Moberg mówił powoli suchym i szorstkim głosem.

– Istnieje coś, co nazywa się „trojaka ofiarą”. Oznacza to, że odbiera się życie swej ofierze w trojaki sposób. Przyjmuje się, że taki sposób zabijania pochodzi z religii plemion celtyckich i germańskich. Był on stosowany od roku trzechsetnego przed naszą erą do trzechsetnego naszej ery. Ponieważ ofiarom zadawano śmierć w trójnasób poprzez

powieszenie, cięcie nożem i utopienie, zakłada się, że składano tym samym ofiarę trzem różnym bogom.

Najważniejszy fragment układanki trafił na swoje miejsce. To takie proste. Knutas był tak rozgorączkowany, że z trudem mógł spokojnie usiedzieć na miejscu.

– A co to ma wspólnego z religią staronordycką? – zapytał szybko.

– W Skandynawii, w czasach przed narodzeniem Chrystusa, ofiara była najważniejszą częścią w religii. W religii otaczającej kultem Asów opowieść o stworzeniu świata zaczynała się od tego, że złożono ofiarę z olbrzymia Ymera, aby ucieleśnić świat. Odyn ofiarował jedno swoje oko, aby pozyskać mądrość, a nawet samego siebie, by zrozumieć tajemnice run. Najczęściej ofiarowano bogom jedzenie i napoje, ale również zwierzęta oraz – choć stosunkowo rzadko – ludzi. Taki sposób zabijania, który opisał pan w związku z tymi morderstwami, występował również i w religii staroskandynawskiej. Poprzez trojką śmierć składano ofiarę Odynowi, Torowi i Frejowi, a więc trzem najpotężniejszym bogom w religii staronordyckiej, jaka dominowała w epoce wikingów. W mitologii nordyckiej wierzono wszak w trzy rody boskie: Asów, Wanów i Alfów. Asów, do których zaliczali się Odyn i Tor, kojarzono przeważnie z władzą i wojną, a Wanów, do których należał Frej, z płodnością. Nie wiem, na ile jest pan obeznany z mitologią staronordycką.

– Uczono nas tego oczywiście w szkole, ale to było sto lat temu. Proszę mi przypomnieć.

– Odyn był zdaniem wielu prabogiem, wszechojcem, najpotężniejszym bogiem, który przewodził wszystkim innym Asom. Dla ludzi był także najważniejszym z bogów. Jest najstarszy i najmądrzejszy z nich i mieszka w Valhalli. Jest to bóg wojny, ale i sztuki skaldów, i to on właśnie stworzył pismo runiczne. Tor jest synem Odyna i on również jest bogiem wojny, ale przede wszystkim jest znany jako bóg piorunów. Tor posiada młot zwany Mjölner, a kiedy nim uderza, wałą pioruny i pojawiają się błyskawice. To na pewno pan już wie. Frej natomiast jest głównie bogiem płodności. Oddawano mu cześć, żeby zapewnić sobie dobre plony, pokój, rozkosz i szczęście w hodowli bydła.

– A czy to, że sprawca najwyraźniej pozbawił swoje ofiary krwi, też pasuje do mitologii staronordyckiej?

– Jak najbardziej. Już sama krew odgrywała istotną rolę w ceremoniach ofiarnych. Zabijano zwierzęta, na przykład świnie, konie i byki, a ich krew zbierano do specjalnych czar. W kulcie Asów zdarzało się też, iż krwią malowano obrazy bogów.

Knutas westchnął przeciągle.

– Czyli wszystko się zgadza. Sposób działania, pozbawianie ofiar krwi. Dosłownie

wszystko.

Była jeszcze tylko jedna kwestia, o którą chciał zapytać. Informacje o końskich łbach utrzymywane były nadal w tajemnicy. Knutas opowiedział Malte Mobergowi o tych dwóch łbach, które nadziano na pale i ustawiono koło domu Mellgrena i Ambjörnssona.

W słuchawce zapanowała cisza. Tak długa, iż Knutas zaczął się już zastanawiać, czy połączenie nie zostało przerwane. Wtedy ponownie usłyszał Moberga, ale jego głos miał już inną barwę.

To, o czym pan mówi, nazywa się kijem niegodziwca. Koński łeb nadziewa się na pal, przeważnie drewniany, i ustawia koło domu tej osoby, której w ten sposób chce się pogrozić. Jest to niesłychanie silny, magiczny rytuał, klątwa rzucona na kogoś. Postawienie komuś takiego pala oznaczało, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo.

– Kierownik prac archeologicznych, Staffan Mallgren, został zamordowany kilka dni po tym, jak znalazł kij niegodziwca koło swojego domu.

– A ten drugi człowiek, któremu postawiono kij niegodziwca?

– Tak do końca nie wiadomo, gdzie on się znajduje – powiedział Knutas tajemniczo.

– Tak? Gdybym ja był na pana miejscu, to zrobiłbym wszystko, żeby go jak najprędzej znaleźć. Poza tym radziłbym panu szybko dowiedzieć się, jakie osoby z najbliższego otoczenia ofiar interesują się kultem Asów.

Bezpośrednio po rozmowie z Malte Mobergiem Knutas zadzwonił do Zuzanny Mellgren, żeby zapytać, czy jej mąż okazywał jakiegokolwiek zainteresowanie wiarą w Asów. Odpowiedziała przecząco, gdyż nic na ten temat nie wiedziała. Przyznała, że niekiedy nie było go wieczorami, w tym również w weekendy. Nie mówił jej, czym się wtedy zajmował, lecz ona zakładała po prostu, że spotykał się z innymi kobietami.

Taką samą informację w kwestii wiary uzyskał również od przyjaciółki Gunnara Ambjörnssona. Według niej Ambjörnsson był ateistą.

Knutas zwołał zebranie osób kierujących śledztwem i przedstawił im rozmowę z historykiem religii ze Sztokholmu.

– Można się było spodziewać, że ma to związek z religią – powiedział Kihlgård. – Choć z drugiej strony można zapytać, kto dziś wierzy w Asów? To dość dziwne.

– Chyba nie jest to wcale bardziej dziwne niż wiara w Jezusa czy Mahometa czy w cokolwiek – zaoponowała Karin. – Ja uważam, że wiara w Asów jest całkiem fajna. Podoba mi się to, że bogów jest wielu i że boginie są tak samo wpływowe jak bogowie.

– Nie będziemy chyba teraz dyskutować o naszych zapatrywaniach religijnych, tylko raczej o najnowszym wątku, na który wpadliśmy i który – miejmy nadzieję – doprowadzi nas do rozwiązania tej sprawy – powiedział Knutas z niecierpliwością. – Sprawca prawdopodobnie znajduje się tutaj na wyspie. Zdziwiłbym się, gdyby działał w pojedynkę. Zapewne ma co najmniej jednego pomocnika.

– Ponieważ wygląda na to, że zna się na uboju lub obchodzeniu się z martwymi zwierzętami, sprawdziliśmy pracowników gotlandzkich rzeźni, co niestety nie dało żadnych interesujących rezultatów – wtrąciła Karin. – Dotyczy to także weterynarzy i ich współpracowników.

Knutas wyglądał na przybitego.

– Ale wiemy w każdym razie, że sposób działania mordercy ma swoje korzenie w tak zwanej trojkiej śmierci, która występuje w tradycji staronordyckiej. Kto może się zajmować

takimi sprawami?

– Ktoś, kto interesuje się wiarą w Asów i mitologią staronordycką. Na przykład członek jakiegoś stowarzyszenia, które je bada – zaproponował Kihlgård.

– Czy mamy takie stowarzyszenia na Gotlandii? Czy ktoś coś wie na ten temat?

Knutas zadał pytanie. Wszyscy w pokoju pokręcili przecząco głowami.

– To chyba nie jest to samo co miłośnicy średniowiecza? – zapytała Karin. – Teraz mnóstwo ludzi pracuje pełną parą nad przygotowaniem tak zwanego Tygodnia Średniowiecza, który obchodzony tu będzie w przyszłym tygodniu. Ale ich chyba nie interesuje wiara w Asów?

– Średniowiecze ma związek z epoką wikingów o tyle, że Skandynawia została schryścianizowana chyba na początku jedenastego wieku – powiedział Knutas. – Ale te kwestie mogą się oczywiście zająć. Musimy zacząć nasze poszukiwania od takich stowarzyszeń, które zajmują się wiarą w Asów, a potem możecie pogadać również z tymi, co organizują ten Tydzień Średniowiecza. Bo chyba muszą być skupieni w pewnego rodzaju stowarzyszeniu, prawda?

– Ja to mogę zrobić – zaoferowała się Karin.

– Chętnie ci pomogę – powiedział Kihlgård. – To brzmi niezwykle interesująco.

– Dobrze, ale weźcie jeszcze kilka osób do pomocy. Należy to traktować jako główny wątek naszego śledztwa, dlatego musimy się skoncentrować przede wszystkim na tym. Cała ta historia zaczęła się od konia z odciętym łbem w Petersviken w czerwcu. Musimy zacząć nasze poszukiwania od tamtego momentu i sprawdzić dokładnie wszystkie osoby, które w jakikolwiek sposób przewinęły się w tym śledztwie. A potem musimy zobaczyć, które z tych osób mają jakiś związek z wiarą w Asów bądź z mitologią staronordycką.

Środa, 4 sierpnia

Nadawca wiadomości ukrywał się pod pseudonim Viking Venture, ale Johan dość szybko zorientował się, że osoba, z którą nawiązał kontakt za pośrednictwem amerykańskiej strony internetowej, pochodziła ze Szwecji i prawdopodobnie przebywała na Gotlandii. Mogło się wydawać nieprawdopodobne, ale wyglądało na to, że jakiś mieszkaniec Gotlandii handluje tutejszymi znaleziskami archeologicznymi na amerykańskim rynku. Johan wymienił kilka maili z Viking Venture, podając się za osobę zainteresowaną kupnem i gotową dobrze zapłacić za gotlandzkie znaleziska z epoki wikingów. Otrzymał odpowiedź, że Viking Venture może zaoferować mu pokaźną ilość istnych perełek, które mogłyby go zainteresować. Johan udawał kolekcjonera ze Skanii i po kilku mailach udało mu się nakłonić człowieka, który występował jako Viking Venture, aby spotkali się w najbliższą sobotę koło hali lodowiska, na obrzeżach Visby.

Johan chciał spróbować sfotografować pasera za pomocą małej kamery, jaką mieli w redakcji. Razem z Pią obmyślili w środę dokładny plan działania i ustalili, że nie powiedzą niczego ani policji, ani też swojej macierzystej redakcji w Sztokholmie. To był ich własny projekt. Johan czuł się tym szalenie podekscytowany.

Emma zadzwoniła do niego do pracy i zaproponowała obiad w domu w sobotę wieczorem. Mieli na niego zaprosić również Pię Lilję oraz Niklasa Appelkvista. Miał to być ich pierwszy wspólny proszony obiad. Potraktował ten fakt jako kolejny dowód, że Emma zaczęła powoli ustępować. Może wreszcie są na drodze ku prawdziwemu związkowi. Kierownictwo telewizji postanowiło, że zespół pracujący na Gotlandii pozostanie na próbę jeszcze jesienią, a Pia zastąpi fotografa. Johan został oczywiście również uwzględniony, ponieważ sam chciał mieć tę pracę, ale też dobrze się spisywał. Był wdzięczny za możliwość pozostania na wyspie. Nie musiał na razie niepokoić się, co będzie dalej. No i miał prawo widywać swoje dziecko. A było to prawo, o które zamierzał walczyć.

Jednej rzeczy był pewien. Jakkolwiek ułożą się stosunki pomiędzy nim a Emmą, nie ustąpi ani o cal w kwestii kontaktu z córką.

Ku swemu zadowoleniu od chwili narodzin Elin zauważył pewną zmianę w zachowaniu Emmy wobec niego. Była jakby bardziej czuła, Ignęła bardziej do niego, nie bała

się okazywać swej słabości. Tak jakby więcej znaczył teraz, kiedy został ojcem jej dziecka. Zawsze będzie od niego zależna w taki czy inny sposób. Ta myśl mu odpowiadała.

Czwartek, 5 sierpnia

Statek wycieczkowy Nordic Star przybył z Rygi na Łotwie i owego czwartkowego poranka majestatycznie dobijał do jedenastej przystani cumowniczej przy nabrzeżu w porcie w Visby. Miasto wprost nie mogłoby wyglądać lepiej. Słońce oświetlało fasady, nadając im ciepłe, żółto-złotawe barwy, a temperatura podskoczyła już do dwudziestu stopni. Amerykańscy turyści, którzy mieli zaledwie jeden dzień na poznanie Gotlandii, zanim popłyną dalej do Sztokholmu, piali z zachwytem, zanim jeszcze zeszli na ląd. Wieża katedry, mury obronne i średniowieczne domki tak ich zafascynowały, że port ogarnęła atmosfera entuzjastycznego wyczekiwania. Dziesięć wypucowanych i wyposażonych w klimatyzację autobusów stało w szeregu, gotowych porwać setki turystów nadciągających całymi falami od strony statku. Ubrani byli w szorty, podkoszulki i czapki, a każdy miał na brzuchu aparat fotograficzny. Średnia wieku wynosiła około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat, ale czasem i jakaś młodsza para zjawiała się wśród rozgadanych turystów. Na nabrzeżu czekali już miejscowi przewodnicy, których łatwo można było odróżnić od innych osób, gdyż nosili charakterystyczne niebieskie kamizelki. Autobusy szybko zapełniały się turystami i jeden za drugim wyjeżdżały z portu, gotowe objąć wyspę w swe władanie.

Autobus Matyldy Drakenberg miał odjechać jako jeden z pierwszych. Przewodnicy tak rozplanowali trasę wycieczki, aby nie przeszkadzać sobie wzajemnie podczas oprowadzania. Autobus Matyldy miał zacząć zwiedzanie od terenów położonych poza miastem, by potem stopniowo się ku niemu przybliżać. Pierwszym przystankiem był pobliski rezerwat przyrodniczy Högklint na południe od Visby, skąd był ładny widok na całe miasto i morze. Następny w planie był ogród botaniczny oraz zwiedzanie Visby w obrębie murów miejskich, które miało się zakończyć koło bramy Österport, gdzie turyści mieli czas wolny na obiad czy zakupy.

Matylda powitała gości i zaczęła opowiadać o historii Visby, zanim jeszcze autobus zdążył wjechać na nadmorską drogę wiodącą do Högklint. Grupy turystów były do siebie ludzako podobne. Amerykanie byli zaciekawieni, zadawali szereg pytań i fascynowało ich wszystko, co miało więcej niż sto lat. Kiedy opowiadała im, że mury miejskie zbudowano w trzynastym wieku, robili wielkie oczy.

Autobus zatrzymał się tak blisko Högklint, jak to tylko było możliwe. Amerykanie byli bowiem znani z tego, że niezbyt chętnie wybierali się na dłuższe wycieczki piesze, a niektóre osoby w jej grupie miały wyraźną nadwagę. Jeden z mężczyzn chodził o kuli i wyglądało na to, że ma spore problemy z poruszaniem się.

Matylda już teraz obawiała się, jak to będzie z chodzeniem po brukowanych uliczkach Visby. Zaczekała, aż wszyscy wysiądą z autobusu i ruszyła na czele grupy ścieżką prowadzącą do punktu widokowego.

Kiedy Matylda miała później opowiedzieć o tym, co zobaczyła tego poranka, miała trudności z przypomnieniem sobie, w jakiej kolejności to wszystko się wydarzyło. Pamiętała dobrze wesołe rozmowy w grupie oraz mężczyznę z Wisconsin, który szedł z nią ramię w ramię i zadawał setki pytań dotyczących wszelkich możliwych zagadnień, począwszy od przeciętnych zarobków w Szwecji, poprzez pytanie, gdzie na Gotlandii mieszkał Ingmar Bergman, a skończywszy na tym, kto zdaniem Szwedów zabił Olofa Palmę. Zawsze znajdzie się taka osoba w grupie turystów. Taka, która się przyczepi i zadaje mnóstwo pytań, wysysając z człowieka całą energię. Pamiętała też, jak próbowała wymijająco odpowiadać, że będzie o tym wszystkim jeszcze opowiadać całej grupie. Mężczyzna nie zrozumiał jednak podtekstu jej wypowiedzi i dalej robił to samo.

Grupa zebrała się na szczycie skalistego klifu i podziwiała panoramę Visby oraz wyglądającą na niebezpieczną linię brzegową.

Płaskowyz leżał na wysokości około pięćdziesięciu metrów nad poziomem morza, a skały ostro urywały się, schodząc stromo ku wodnej kipieli na dole. Tutaj prawie zawsze wiało. Matylda opowiadała turystom o półce skalnej znajdującej się nieco poniżej stromej skały zwanej Kozią Śmiercią, ponieważ kozy, którym udawało się zejść tam poskubać soczystą trawę, nie potrafiły wdrapać się na nią z powrotem i padały z głodu. Niektórzy turyści pokonywali biegnące ostro w dół schody i docierali tylko do pewnego punktu lub do tego miejsca, w którym kozy spotykał tak okrutny los. Inni wybierali łatwiejszą alternatywę i udawali się w kierunku zagajnika, skąd nieco dalej mogli napawać się pięknym widokiem w miejscu osłoniętym od wiatru.

Nagle rozległ się okrzyk przerażenia. Przez chwilę Matylda bała się, że ktoś spadł ze skały, ale krzyk dolatywał od strony zagajnika. Pośpieszyła więc natychmiast w tamtą stronę. Widoku, jaki wtedy zobaczyła, nie zapomni już nigdy.

Z drzewa zwisało na sznurze ciało martwego, nagiego mężczyzny. Na środku brzucha ktoś zrobił mu ciętą ranę, z której krew ściekała po nogach na ziemię. Kiedy Matylda

zobaczyła jego twarz i szeroko otwarte, wlepione w nią oczy, błyskawicznie go rozpoznała.

Dwadzieścia minut po powiadomieniu policji o kolejnym zdarzeniu Knutas i Karin wysiadali z samochodu koło Högklint. Bez słowa przeciskali się przez gromadę zdenerwowanych turystów, którym zaoferowano bardzo nietypowe zwiedzanie wyspy. Policja już ogradzała teren. Kolejne autokary z turystami podjeżdżały pod parking, ale policjanci kazali im zawracać. Nie udzielano żadnych wyjaśnień, więc zaskoczeni przewodnicy i kierowcy wykonywali tylko polecenia policji, nie uzyskawszy od niej odpowiedzi na swoje pytania. Knutas usłyszał, przechodząc, jak ktoś coś mówił o samobójstwie. Ta teoria była wielce prawdopodobna. Högklint było miejscem dość popularnym wśród potencjalnych samobójców.

Kiedy znaleźli się wreszcie na płaskowyżu, dołączyli do nich jeszcze Sohlman, Wittberg i Kihlgård. Ujrzeni zwisające ciało, kołyszące się swobodnie na wietrze na tle połyskującego morza i chabrowego nieba. Knutas pokiwał powoli głową, gdy rozpoznał wszystkie charakterystyczne oznaki morderstwa, jakie widział już u poprzednich ofiar.

Gunnar Ambjörnsson powrócił na Gotlandię.

W czwartek wszystkie programy informacyjne w całej Szwecji zaczynały wiadomości od informacji o zabójstwie socjaldemokratycznego polityka gminnego z Visby. Na konferencji prasowej zorganizowanej po południu przez policję była obecna nawet prasa norweska, fińska i duńska. Przy tak dużej liczbie świadków nie było sensu nawet próbować zatajać makabryczne okoliczności, w jakich dokonano tego morderstwa. W powietrzu aż roiło się od spekulacji na temat sekt, morderców rytualnych i okultyzmu, a policję bombardowano pytaniami o sposób, w jaki zamordowano poprzednie ofiary. Policja przyznawała, że istnieją tu pewne podobieństwa, ale bliżej ich nie określała.

Knutas był wyczerpany po najdłuższej konferencji, w jakiej kiedykolwiek uczestniczył. A miało być jeszcze gorzej.

Po południu wyciekła informacja, że Gunnarowi Ambjörnssonowi podrzucano koński łeb nadziany na pal. A kiedy wydało się, że przytrafiło się to również Staffanowi Mellgrenowi, zanim go zamordowano, wiadomość ta rozeszła się po wszystkich szwedzkich mediach niczym fala. Dziennikarze ze wszystkich stron kraju pakowali się do pierwszego lepszego samolotu lecącego na Gotlandię.

Po konferencji prasowej Knutas i reszta zespołu dochodzeniowego zniknęli z pola widzenia tłumnie napierających na nich przedstawicieli mediów. Pozostał tylko mocno oblegany Lars Norrby, który jako rzecznik prasowy musiał sam się ze wszystkim uporać. Policja obawiała się, że tak ogromne zainteresowanie mediów tą sprawą jeszcze bardziej utrudni złapanie sprawcy.

We współpracy z Centralnym Biurem Śledczym rozpoczęto zakrojone na szeroką skalę przesłuchania przeciwników budowy hotelu, członków stowarzyszeń związanych z religią staroskandynawską i mających powiązania z Gotlandią, polityków kolegów Ambjörnssona i wszystkich innych osób, które, jak przypuszczano, mogły mieć jakikolwiek związek z tą sprawą.

Knutas miał przecucie, że sprawca musi znajdować się gdzieś w pobliżu. Sądził tak

między innymi dlatego, że rozmieszczenie zarówno zwłok, jak i odciętych końskich łbów świadczyło o jego świetnej orientacji w tutejszym terenie. Nie sądził, aby ktoś z kontynentu wybrał te miejsca.

Wykluczono ostatecznie podejrzenie, że mordercą mogła być kobieta. Wciągnięcie ciała Gunnara Ambjörnssona na górę w Höglint i powieszenie go na drzewie wymagało ponadprzeciętnej tężyzny fizycznej. Jeżeli słusznie zakładano, że sprawcą jest mieszkaniec Gotlandii, wówczas oznaczało to, że musiał się udać z wyspy do Sztokholmu najpóźniej w sobotę albo wczesnym rankiem w niedzielę, aby spotkać się z Ambjörnssonem, kiedy ten przyleciał samolotem z Paryża. W jakiś sposób spotkali się w Sztokholmie, być może już na lotnisku. Nic nie wskazywało na to, żeby umówili się na spotkanie wcześniej, ponieważ samolot Ambjörnssona wylądował w Sztokholmie o godzinie dwunastej czterdzieści pięć, natomiast samolot, którym miał lecieć do Visby, odlatywał godzinę później. W tym czasie musiał odebrać bagaż, przejść przez kontrolę celną, udać się do terminala lotów krajowych i tam znowu się odprawić.

Ktoś udał się do Sztokholmu i prawdopodobnie spotkał się z Ambjörnssonem, kiedy ten wysiadał z samolotu. Czy nieprzymuszony poszedłby on z kimś nieznanym, skoro wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo? Raczej nie. A więc musiał to być ktoś, kogo znał i komu ufał. I właśnie ten ktoś nakłonił go do opuszczenia lotniska zamiast lotu do domu. Dlaczego miał to zrobić?

Potem Ambjörnsson trafił na Gotlandię, żywy albo martwy. Nie wiadomo jeszcze, czy zamordowano go na kontynencie i potem przetransportowano zwłoki na wyspę, czy też stracił życie dopiero na Gotlandii. Erik Sohlman twierdził, iż jest w stanie określić, że Ambjörnsson nie żył od kilku dni. Lekarz sądowy był już w drodze, leciał samolotem, więc niebawem mieli dowiedzieć się czegoś więcej.

W Sztokholmie policja skontaktowała się z krewnymi Ambjörnssona, ale żaden z nich nie rozmawiał z nim już od dawna. Jego przyjaciółka ze Stånge była zrozpaczona i roztrzęsiona i nie miała pojęcia, dokąd się udał, gdy wysiadł z samolotu na lotnisku Arlanda. Nie miała żadnej wiadomości od chwili jego powrotu do Szwecji.

Po zbadaniu ciała przez lekarza sądowego na miejscu zbrodni miało ono zostać przetransportowane do wydziału medycyny sądowej w Solna w celu obdukcji. Knutas dobrze już wiedział, co będzie napisane w orzeczeniu lekarskim. Wszystko wskazywało na to, że Ambjörnssona spotkał taki sam los jak poprzednie ofiary. Wiele osób upewniło go o słuszności teorii o trojakiej śmierci, o której teraz na pewno będzie się dyskutowało następnego dnia podczas porannych kanapowych rozmów.

Mimo to aż zakrztusił się kawą, kiedy za piętnaście piąta usłyszał w radiu poranną audycję zatytułowaną „Dagens eko”. Opowiadano w niej zarówno o symbolice kija niegodziwca, jak i trojkiej śmierci. Ale jeszcze bardziej zaskoczył go wywiad z Zuzanną Mellgren. Gorzej już chyba być nie mogło. Pozostawało już tylko czekać i patrzeć, w jaki sposób zainteresowanie mediów tą sprawą wpłynie na mordercę. Być może zaszył się w swej najbezpieczniejszej kryjówce i tam cierpliwie czekał, aż cała ta burza wokół niego się uspokoi.

Rankiem tego samego dnia policja przeprowadziła rozmowę telefoniczną z Estończykiem, który nazywał się Igors Bleidelis i pracował na regularnie zawijającym do Visby frachtowcu. Usłyszał dyskusję o morderstwach rytualnych i opowiedział o mistycznym wydarzeniu, które przykuło jego uwagę w okolicach Högklint prawie pół roku wcześniej. Zobaczył ogień i ludzi z pochodniami, którzy poruszali się na górze jak w jakimś rytualnym tańcu. Jego zdaniem był to pewien rodzaj obrzędu, który ci ludzie sprawowali. Pamiętał nawet datę: dwudziesty marca. Więcej nie miał nic do powiedzenia. Tyle tylko że jego zdaniem było to dziwne i że dzwoni do nich dlatego, bo być może istnieje jakiś związek pomiędzy tym, co tam wtedy zobaczył, a zabójstwem polityka, którego znaleziono w tym samym miejscu.

Do pokoju Knutasa weszła Karin. Zapytał ją, czy coś szczególnego zdarzyło się dwudziestego marca. Przewertowała swój kalendarz.

– Właściwie nic szczególnego, może poza tym, że było to wiosenne zrównanie dnia z nocą.

Knutas wyciągnął się do tyłu na swoim krześle.

– Może to ma jakieś znaczenie? Może to był rodzaj jakiegoś rytuału związanego z wiosennym zrównaniem dnia z nocą? Kto świętuje ten dzień?

– Nie mam zielonego pojęcia, ale stosunkowo łatwo można to chyba sprawdzić. Czy nie możesz zadzwonić do tego swojego eksperta od Asów i zapytać, czy ten dzień dla ludzi wierzących w Asów nie jest wyjątkowy?

Pięć minut później uzyskał już odpowiedź od Malte Moberga ze Sztokholmu. Jak słusznie przypuszczali, wiosenne zrównanie dnia z nocą było dla wyznawców Asów jednym z najważniejszych dni w roku.

– No to mamy już całą układankę – powiedział Knutas. – Chodzi o jakichś fanatycznych wyznawców Asów, którzy posunęli się za daleko. Nie bardzo tylko kapuję, jaki mają powód, żeby zabijać tych ludzi.

– Ten Estończyk mógł widzieć akurat właśnie sektę, do której należy morderca i której

udawało się tak dobrze kamuflować, że nikt nie wie nawet o jej istnieniu. Ten ogień i tańczący ludzie wskazywaliby na jej lekkie zabarwienie okultystyczne. Martinę Flochten i Gunnara Ambjörnssona łączy już choćby budowa hotelu na Högklint. A to, że znaleźliśmy go zamordowanego w tym właśnie miejscu, potwierdza tylko fakt, że związek ten nie jest bez znaczenia.

– Pozostaje więc Staffan Mellgren. Oprócz tego, że miał romans z Martiną, musi być coś jeszcze.

– Może był członkiem tej sekty?

– Powiedziałbym, że jest to nawet prawdopodobne i że to właśnie tam znajdziemy sprawcę.

Piątek, 7 sierpnia

Kiedy Johan się obudził, początkowo nie wiedział, gdzie się znajduje. Następnie zobaczył jakieś małe ciało obok swojego i wtedy zrozumiał, że jest w domu z Emmą i Elin. Jego córeczka oddychała miarowo tuż koło niego. Emma też jeszcze spała. Obie leżały na boku, zwrócone twarzami w jego stronę. Uderzyło go, jak bardzo są do siebie podobne. Te reportaże na temat zabójstwa Gunnara Ambjörnssona, przygotowywane przez niego w ostatnich dniach, pochłonęły go mocno i wyczerpały jego siły. Wkurzył się, że nie udało mu się samemu zdobyć informacji o koniach z odciętymi łbami, ale i innym dziennikarzom też się to nie udało. W tym przypadku policja zdołała utrzymać ten fakt w tajemnicy. To było naprawdę imponujące osiągnięcie.

Na szczęście wielu innych reporterów Telewizji Szwedzkiej przyjechało na Gotlandię, żeby pomóc w śledzeniu sprawy. Johan poprosił, aby ten weekend mógł poświęcić na przygotowanie reportażu na temat kradzieży znalezisk archeologicznych, choć nie stanowiły one głównego wątku w śledztwie. Grenfors nie protestował. Może okaże się, że mają one jakiś związek z tymi morderstwami.

Na spotkanie z paserem umówił się dzień przed odnalezieniem ciała Ambjörnssona i nie chciał stracić okazji, by spotkać się z nim w cztery oczy.

Włączył ekspres do kawy, wziął prysznic i sięgnął po poranną gazetę, a potem pocałunkiem obudził Emmę.

– Dzień dobry. Mogę przewinąć Elin – zaofiarował się.

– Dzięki – wymamrotała, odwróciła się na drugi bok i jeszcze bardziej przykryła się kołdrą.

W drodze do łazienki pocałował ciepłe od snu policzki córeczki i chuchnął lekko na jej karczek. Miło spędził tę chwilę z Elin leżącą na stole do przewijania. Coś tam wtedy do niej mówił i gaworzył z nią, czekając, aż jej pupa nieco się przewietrzy.

Kiedy już zmienił pieluchę, uniósł córkę do góry, przytulił mocno do siebie tę małą istotkę i cichutko zanucił jej coś do uszka.

Zanim został ojcem, nigdy nie wyobrażał sobie, jakie to miłe. Rodzice małych dzieci najczęściej mówili mu tylko o tym, co było bardzo wyczerpujące i męczące: o wstawaniu w

nocy, zmianie pieluch, o ciągłym płaczu dziecka i kolkach. Rozumiał oczywiście, że może to tak rzeczywiście wyglądać, jeśli się człowiek opiekuje swoim dzieckiem przez cały czas, ale nawet Emma mówiła, że Elin jest niesamowicie spokojna i nieuciążliwa.

Zjedli śniadanie i w spokoju przeczytali gazetę. O morderstwie Ambjörnssona niczego nowego nie napisano. Według rzecznika policji pracowała ona intensywnie i wielotorowo nad tą sprawą, prowadząc zarówno swoje wewnętrzne śledztwo, jak też poszukując sprawcy. Jak dotychczas nie podejrzewano jeszcze nikogo o popełnienie tych czynów. Policja przyznała natomiast, że założyła, iż sprawcą wszystkich trzech zabójstw jest ta sama osoba. Nadal nie chciano jednak potwierdzić faktu, że u dwóch ofiar znaleziono odcięte łby końskie na krótko przed ich śmiercią, gdyż – na co wskazywano – śledztwo weszło już w bardzo delikatną fazę.

W bardzo delikatną fazę – pomyślał Johan. Ciekawe, co to znaczy.

Po śniadaniu położył Elin, która znów zasnęła po drugim karmieniu. Koło łóżka miała swoją kołyskę, w której na ogół bez kłopotu zasypiała. Johan pochwycił Emmę ubraną tylko w szlafrok i przyciągnął ją ku sobie. Spojrzał w jej ciepłe oczy. Była w nich jakaś czułość, która go ogromnie do niej ciągnęła. Tak to już było od pierwszego razu, kiedy ją poznał.

Teraz on ją obejmował, a ona tuliła się do niego. Nie musiała robić niczego więcej, by zrozumiał, czego chce. Kiedy zaczął ją całować, odpowiedziała mu z dużą namiętnością. W ułamku sekundy Johan poczuł się niepoohamowany i niesamowicie podniecony. Opadli na łóżko i całowali się żarliwiej niż kiedykolwiek dotąd. Może intensywność tego uczucia była skutkiem jego tęsknoty.

Błądziła po jego ciele palcami i wyciągała do niego ręce. Przycisnęła się do niego tak blisko, jakby ją miał reanimować. Ta intensywność zaskoczyła go tak, iż stracił poczucie rzeczywistości. Nagle usłyszał swój własny głośny jęk i zerwał z niej szlafrok. Jej ciało było rozgrzane przez sen i miękkie, miała nieco pełniejsze kształty niż zwykle, a piersi były nabrzmiące od mleka. Zatopił się w jej ciele, wpił w nie swoje palce i pieścił wargami jej piersi. Wchodził w nią tak, jakby to był ich pierwszy raz, a kiedy już kochali się na całego, niemal stracił przytomność.

Myślał, że będzie ją czuł w jakiś bardziej odmienny sposób, niż jak to było przedtem. Ale to nie ciało było tak bardzo odmienne. Chodziło o coś całkiem innego.

Knutas nigdy nie widział takiej bieganiny na korytarzach jak w sobotę. Śledztwo ciągle przybierało na sile, więc pracy przez cały czas przybywało.

To lato było dla niego najżałośniejsze od wielu lat. Praktycznie wcale nie doświadczył jego uroków. Zaledwie kilka razy kąpał się w morzu, a te chwile, kiedy cała rodzina urządzała wspólnego grilla, można było policzyć na palcach jednej ręki. Mimo że lato było najpiękniejsze od wielu lat.

Teraz wydawało się, że postępowanie śledcze nareszcie zaczyna dobiegać końca i w powietrzu czuć było jakąś nową energię.

Kiedy Knutas wrócił z lunchu, ktoś położył mu na biurku listy pasażerów firmy przewozowej Destination Gotland, o które prosił. Listy sprawdzono wprawdzie już w piątek, nie znajdując na nich nazwiska Ambjörnssona ani nikogo, kto miałby z nim jakiś związek. Ale Knutas dla pewności chciał je przejrzeć jeszcze raz sam. Były tam nazwiska pasażerów ze wszystkich odlotów, począwszy od niedzieli pierwszego sierpnia, czyli od daty, kiedy czekano na powrót Ambjörnssona z jego podróży zagranicznej.

Nalał sobie filiżankę kawy z automatu i usiadł przy biurku, aby przeczytać listę pasażerów.

Wzrok przesuwiał się po liniijkach z nazwiskami osób, które podróżowały z Nynäshamn do Visby tego samego dnia, kiedy Ambjörnsson powinien był wrócić. Knutas nie dostrzegł żadnego, które mogłoby mu w czymś pomóc.

Oczywiście Ambjörnsson mógł podróżować pod jakimś innym nazwiskiem, ale po co? Chyba żeby go do tego zmuszono. Nic raczej nie wskazywało, aby przewieziono go już martwego na wyspę, gdyż w takim wypadku sam sprawca zbyt wiele by ryzykował. Albo zwróciłby uwagę innych, albo ktoś mógłby dostrzec Ambjörnssona i go rozpoznać. Nie, tak to raczej nie było. Knutas westchnął i odłożył papiery.

Ciało przetransportowano do wydziału medycyny sądowej w Solna, a wstępne wyniki obdukcji miały przyjść w poniedziałek.

Knutas postanowił przejść się trochę, żeby odświeżyć umysł. Było piękne popołudnie. Ze wschodu napłynął nowy wyz, który zwiastował ciepły Tydzień Średniowiecza. W mieście zaczęła się impreza; ze Strandgärdet można było usłyszeć głos spikera i owacje podczas turnieju rycerskiego rozgrywanego według obowiązującej niegdyś tradycji. Koło bramy Österport występowała trupa kuglarzy, a na ulicy Hästgatan Knutasa niemalże stratował cały orszak ludzi w średniowiecznych strojach ciągnących uliczkami.

Przeszedł przez Duży Rynek i postanowił skrócić w uliczkę wiodącą w dół, ku morzu. Po drodze minął Skogränd, gdzie mieszkał Aron Bjarke. Koło domu nauczyciela zwolnił nieco krok. Nagle przyszło mu do głowy, by go odwiedzić. Zapukał kilkakrotnie do drzwi, ale nikt nie otwierał. Najwyraźniej Bjarkego nie było w domu. Kiedy tak stał na ganku, jego wzrok padł na jeden z przedmiotów na parapecie. Wśród dzbanów i starych puszek stała drewniana figurka, wysoka na szerokość ludzkiej dłoni. Podeszedł do okna nieco bliżej. Uderzyło go to, że była ona tak nieprzyzwoita. Była to figurka mężczyzny z nieproporcjonalnie wielkim penisem w stanie erekcji. Knutas był pewien, że gdzieś już ją widział, więc gorączkowo szukał w pamięci, gdzie to mogło być. Miał wrażenie, że to mogłoby mieć jakieś znaczenie. Coś nagle zaświtało mu w głowie, ale też równie szybko umknęło.

Zastukał po raz ostatni i odczekał chwilę, ale w środku było ciemno i pusto. Jego wzrok raz jeszcze padł na figurkę w oknie. Gdzieś już ją wcześniej widział.

O godzinie czwartej po południu Johan był umówiony na spotkanie z nieznanym sprzedawcą. Przez cały dzień był jakiś spięty, więc rozmawiał z Pia kilka razy przez telefon, aby upewnić się, czy mają wszystko pod kontrolą. Wyjaśnił sprzedawcy, że na pierwsze spotkanie nie weźmie ze sobą pieniędzy. Dla własnego bezpieczeństwa. Najpierw chce zobaczyć kilka próbek przedmiotów znalezionych na Gotlandii, by zorientować się w ofercie.

Miniaturowa kamera była w redakcji. Pia miała ją stamtąd zabrać i przywieźć mu do Roma do przetestowania. Do tej pory praktycznie niczego nią nie filmował, więc potrzebował możliwie wyczerpujących wyjaśnień, jak się nią posługiwać, aby wszystko się udało. Ustalili ze sprzedawcą, że jeżeli Johan będzie zadowolony z towarów, to zapłaci gotówką w poniedziałek.

Liczył się z tym, że ktoś może chcieć sprawdzić, kim jest. Dlatego też podał fałszywe nazwisko i adres. Na szczęście miał w Skanii zasobnego przyjaciela, a do tego ze szlacheckiego rodu, i nie pierwszy raz posługiwał się w pracy tożsamością tego kolegi. Obecność w herbarzu i przynależność do najbogatszych osób w Szwecji miała swoje zalety. Teraz tylko należało dobrze odegrać swoją rolę, kiedy już spotka się z paserem.

Zanim postanowił skończyć pracę na dziś, Knutas raz jeszcze przeczytał listy pasażerów. Mogło się tak zdarzyć, że mimo wszystko jednak przeoczył Ambjörnssona. Wcześniej szukał tylko początku nazwiska, natomiast teraz czytał całą listę i dokładnie wodził palcem wskazującym po każdym nazwisku, aby niczego nie pominąć.

Nagle dojrzał nazwisko, które było mu znane. Był to Aron Bjarke. Nauczyciel archeologii jechał z Nynäshamn do Visby w poniedziałek drugiego sierpnia. Wynika z tego, że Bjarke był w Sztokholmie w tym samym czasie, kiedy czekano na powrót Ambjörnssona z Maroka.

Z coraz to mocniej bijącym sercem Knutas szukał podróżujących z Visby do Nynäshamn. Miał listy z niedzieli pierwszego sierpnia, ale nie mógł znaleźć Bjarkego. Zadzwoił do osoby, z którą się kontaktował w Destination Gotland i która przesłał mu te wykazy. Poprosił o kolejne, także te z soboty trzydziestego pierwszego lipca. To właśnie tego dnia pił kawę z Bjarke w jego ogrodzie, a to oznaczało, że nie mógł on wyjechać wcześniej.

Listy pasażerów miał otrzymać w ciągu pół godziny.

Wyciągnął się do tyłu na krześle i czekał, rozmyślając. Aron Bjarke, archeolog i nauczyciel w szkole wyższej. Miał zatem kontakty i z Martiną, i ze Staffanem. Pozostawało tylko pytanie, co go łączyło z Ambjörnssonem. Mail z Destination Gotland nadszedł już po kilku minutach. Odnalazł jego nazwisko praktycznie od razu. Bjarke pojechał samochodem i opuścił wyspę w sobotnie popołudnie trzydziestego pierwszego lipca. Knutas podniósł wzrok znad komputera i wyjrzał przez okno. Znów mignął mu w głowie jakiś zamglony obraz czegoś, co pominął. Irytowało go to.

Zastanawiał się, co Aron Bjarke mógł mieć wspólnego z Gunnarem Ambjörnssonem. Ze Staffanem Mellgrenem łączyły go całkiem naturalne więzy, obaj uczyli Martinę Flochten archeologii.

Kiedy o tym pomyślał, przypomniał sobie, co przeoczył – figurkę w oknie kuchennym Arona Bjarke. Teraz w końcu wpadł na to, kogo przedstawiała. Był to Frej, bóg płodności w

kulcie Asów. Stąd ten penis. Zwrócił uwagę, że podobny posążek był w domu Mellgrena. Podniósł słuchawkę i wydał polecenie, aby natychmiast przywieziono mu tę figurkę.

Sam nie miał na to czasu. Musiał bardzo pilnie odszukać Arona Bjarke.

Johan wyruszył w drogę odpowiednio wcześniej przed spotkaniem z paserem. Całe popołudnie ćwiczył obsługę kamery, którą miał teraz ukrytą w pasku spodni. Ryzykował tylko, że zostanie rozpoznany. Podał się za arystokratę ze Skanii, a możliwe przecież, że paser widział go w telewizji. Twarz Johana pojawiała się tam czasami, kiedy przekazywał bezpośrednie relacje i komentarze przed kamerą.

Zamaskował się, zakładając duże okulary słoneczne i czapkę, którą nasunął głęboko na ciemne, kręcone włosy. W lustrze wyglądał jak nie ten sam człowiek.

Ruch na drodze wiodącej w stronę Visby był spory. Wiele osób zmierzało do miasta, żeby wziąć udział lub obejrzeć którąś z niezliczonych atrakcji, jakie przygotowano w pierwszym dniu Tygodnia Średniowiecza. Pożyczył samochód od Emmy i dotarł do hali lodowiska dwadzieścia minut przed ustalonym terminem. Czuł się dosłownie jak bandyta, jak jedna ze stron uczestniczących w jakiejś mocno podejrzanym zмовie. Już sama myśl o tym sprawiała, iż czuł się winny.

Czekając, Johan zaczął się bardzo denerwować i aż się wzdrygnął, kiedy czerwony pickup podjechał do niego chwilę później. Wykonał dyskretny ruch pod marynarką i uruchomił kamerę. Mężczyzna prowadzący samochód również nosił ciemne okulary słoneczne. Miał siwy zarost i lekką nadwagę. Musiał mieć około pięćdziesięciu lat.

Bez słowa sięgnął ręką do klamki i otworzył drzwi po stronie pasażera. Z pewnym wahaniem Johan wsiadł do samochodu.

Przywitali się krótko.

– Jeżeli będziemy ostrożni, to możemy rzucić okiem na przedmioty również tutaj, ale musimy się spieszyć – powiedział mężczyzna z wyraźnym gotlandzkim akcentem, rzucając ukradkowe spojrzenia przez okno i w lusterko wsteczne. Wydawał się działać pod presją. Nie wyglądał na jakiegoś nieokrzesanego gangstera. Być może był nowy w tej grze.

Paser wyjął skrzynkę na narzędzia wciśniętą pomiędzy siedzenia. Otworzył ją i wyjął zwinięty koc, z którego wyciągnął różne przedmioty: przecinak, kilka siekier, sporą ilość

srebrników, grotów oszczepów oraz bransoletę.

Johan przybrał wyraz twarzy, który jego zdaniem miał przypominać minę wytrawnego konesera, i powoli unosił każdy z przedmiotów.

Niklas udzielił mu kilku wskazówek, jakie komentarze powinny paść z jego strony. Paser przyglądał mu się uważnie.

– Jak już mówiłem przez telefon, to tylko próbka. Mam znacznie więcej. Nie wiem, jaka ilość pana interesuje.

– Teraz, kiedy widzę, co pan ma i że towar jest oryginalny, może chodzić o całkiem sporą ilość – powiedział Johan.

– O jakiej ilości mówimy?

– Teraz nie chcę w to wchodzić. Idźmy po kolei. Ile pan za to chce?

– Za całość?

– *Yes.*

– Sto tysięcy.

– Za dużo. Dostanie pan pięćdziesiąt.

Niklas przestrzegł go, że z całą pewnością usłyszy wygórowaną cenę albo dostanie jakąś inną propozycję w celu sprawdzenia, z kim paser ma do czynienia.

– Dziewięćdziesiąt.

– Mogę pozwolić sobie na wydanie najwyżej siedemdziesięciu pięciu, żeby okazać swoją dobrą wolę, powiedzmy tak na początek. A potem będę wielce rad, jeżeli od razu będzie pan oferował sensowne ceny.

– Kiedy dostanę pieniądze?

– W poniedziałek.

– Gotówką?

– Tak się przecież umawialiśmy, prawda?

Aron Bjarke nie odbierał ani telefonu domowego, ani komórki.

Knutas uzyskał dostęp do sieci internetowej i wyszukał jego dane osobowe. Urodził się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku w szpitalu w Visby, chodził do gimnazjum Säveskolan w Visby, a potem studiował archeologię na Uniwersytecie Sztokholmskim. Przez dłuższy czas mieszkał w Hägersten, jednym z południowych przedmieść Sztokholmu. Knutas znalazł dowody świadczące o tym, że Aron nigdy nie był żonaty ani też nie był z nikim razem zameldowany. Nie miał również dzieci. Kilka lat temu powrócił na Gotlandię i mieszka przy ulicy Skogränd.

Aron Bjarke miał rodzeństwo, starszego brata, który nazywał się Eskil Rondahl. Ich rodzice zginęli w pożarze zaledwie rok temu. Knutas bardzo dobrze pamiętał pożar w Hall. Udało się go szybko ugasić, a mimo to dwie osoby zginęły. A więc to byli rodzice Arona. Zmarszczył czoło, myśląc o tym zadziwiającym zbiegu okoliczności. Policja zbadała wtedy gruntownie wszelkie ślady, ale przyczyny pożaru nigdy nie udało się wyjaśnić.

Wyglądało na to, że jego brat nadal mieszkał na gospodarstwie rodziców w Hall.

Być może tam właśnie znajdzie Arona.

Napięcie, które Johan odczuwał przed spotkaniem z paserem, ustąpiło w momencie, gdy wsiadał do samochodu. Ledwo stał na nogach i nie czuł się dobrze. I to bynajmniej nie dlatego, iż ów mężczyzna wzbudzał jakieś szczególnie przerażenie. Wydawał się nawet zrównoważony.

Jak na razie nie dopuszczał myśli o ewentualnych konsekwencjach. Wyłączył kamerę i miał nadzieję, że wszystko utrwalił na filmie. Zdjął okulary słoneczne i czapkę.

W Grabo zabrał Niklasa Appelqvista, który miał ze sobą dwie butelki jakiegoś wykwiutnego wina oraz bukiet kwiatów dla Emmy. Zaimponował tym Johanowi, bo nie spodziewał się tego po swoim koledze.

Kiedy podjechali pod dom, powitała ich głośna muzyka. Pia i Emma siedziały na sofie z kieliszkiem wina i słuchały punkowego zespołu Ebba Grön. Dawno już nie widział Emmy tak roześmianej. Musiała odreagować. Być może jej niepewność co do ich związku była w dużym stopniu uwarunkowana zmęczeniem.

W tej chwili zdecydował, że zafunduje jej jakąś podróż, czy będzie tego chciała, czy też nie. To ma być niespodzianka, wszystko będzie zarezerwowane i gotowe. Elin trzeba będzie oczywiście zabrać ze sobą, ale to on weźmie na siebie całą opiekę nad nią. Emma nie będzie musiała robić nic innego, jak tylko karmić ją piersią.

Kiedy zobaczyła Johana, podeszła do niego tanecznym krokiem i z szelmowskim uśmiechem na twarzy pocałowała go. Zaczął wierzyć w to, że czytała w jego myślach.

Po obiedzie usiedli na sofach w salonie, żeby obejrzeć film. Jakość zdjęć pozostawiała dużo do życzenia, obrazy były poruszone, ale było wyraźnie słychać, o czym była mowa.

Johan odetchnął, gdy stwierdził, że materiał jest wystarczająco dobry, aby zmontować z niego audycję. Nagle na którymś obrazie pojawiła się twarz pasera, najpierw zamazana, a potem wyraźniejsza. Niklas krzyknął:

– O, do diabła! To przecież ten z magazynu. Eskil, Eskil coś tam.

Wszyscy ze zdumieniem spojrzeli na Niklasa.

– Tak, on się nazywa Eskil Rondahl. Pracuje w magazynie Sali Zbiorów Dawnych i siedzi tam, nie wiem już jak długo. Nic dziwnego, że ma dostęp do takich rzeczy.

– Oczywiście! – zgodził się podekscytowany Johan. – Przeprowadziłem z nim nawet wywiad przez telefon w sprawie kradzieży. Boże, ten zasuszony i przygnębiony facet. Czy jesteś pewien, że to on?

– Oczywiście, że tak. Wszyscy, którzy wkuwają archeologię, mają z nim zajęcia. Pokazuje im, jak obchodzić się ze znaleziskami i jak je archiwizować.

– A więc to sprawka kogoś z zaufanego grona specjalistów. Jeżeli on to sprzedaje, to całkiem niewykluczone, że i inni się tym zajmują.

– Co o nim wiesz?

– Niewiele. Sprawia wrażenie cholernie anonimowej osoby. Jest bardzo skryty i mało mówny. Prawie nic nie mówi. Dziwak po prostu.

– Nie wiesz, czy ma jakąś rodzinę albo gdzie mieszka?

– Nie mam zielonego pojęcia, chociaż raczej nie bardzo mogę sobie wyobrazić, żeby miał rodzinę.

– Muszę to sprawdzić.

Johan wstał i włączył komputer stojący w gabinecie Emmy. Poszukał Eskila Rondahla w rejestrze osobowym i znalazł jego adres.

– Mieszka w Hall. To chyba gdzieś na północy?

– Jaki jest jego adres? – zapytał Niklas, który wszedł na Johanem i stał teraz za nim, patrząc na monitor.

– Jest tu tylko napisane: Sigvards, Hall.

– A gdzie to jest? Duże obszary Hall na skalnym wybrzeżu objęte są ścisłą ochroną krajobrazu. Nic tam prawie nie ma. To wyludniona i pozbawiona roślinności okolica.

Johan spojrzął na zegarek. Był kwadrans po dziewiątej.

– Jadę tam.

– Teraz? Tak nagle?

Johan zanotował dane Eskila Rondahla.

– Jadę z tobą – powiedział rezolutnie Niklas.

– Nie, lepiej niech Pia ze mną pojedzie, to może coś sfilmuje, jeśli będzie trzeba – powiedział Johan. – A ty zostań do tego czasu z Emmą.

W samochodzie Pia była podekscytowana i znacznie przekraczała dozwoloną prędkość. Nie wypila wiele wina, bo następnego dnia miała wcześniej wstać i teraz tym

bardziej była z tego zadowolona. Pojechali przez Visby na północ koło Lickershamn. Nadal było jasno, ale kiedy minęli Ireviken, krajobraz zaczął się zmieniać. Teren stawał się bardziej jałowy i było coraz mniej roślinności. Od czasu do czasu widać było martwe drzewa, które wyciągały nagie konary ku niebu. Dobrą godzinę stracili na znalezienie szukanego adresu. Pytając o drogę, trafili w końcu do gospodarstwa, które znaleźli na samym końcu drogi. Zapadał zmrok i nie odważyli się podjechać aż pod sam dom. Gdy tylko ujrzeli gospodarstwo, Pia mocno nacisnęła hamulec i cofnęła samochód. Zaparkowała nieco dalej w lesie.

Gospodarstwo było ogromne, ale wymagało natychmiastowej renowacji. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyli pięć albo sześć samochodów stojących na podwórzu. Eskil Rondahl miał najwyraźniej gości. Dalej z tyłu widać było czerwonego pickupa oraz starą, zardzewiałą przyczepę do przewozu koni. Pia miała ze sobą kamerę na wypadek, gdyby nadarzyła się okazja jej użycia. W każdym razie musiałyby to być wewnątrz pomieszczenia, bo na zewnątrz było już za ciemno. Ostrożnie podkradali się do domu, mając go cały czas na oku. Wtem usłyszeli za sobą odgłos silnika. Johan wzdrygnął się. Czyżby to był jakiś kolejny gość?

Zbaraniał, kiedy zobaczył, kto wysiadł z samochodu. Był to Anders Knutas. Przyjechał sam swoim prywatnym samochodem. Czyżby on też tropił te kradzieże? Johan spojrzął szybko na zegarek. Była prawie dziesiąta wieczorem.

Knutas najwyraźniej nie dostrzegł Johana i Pii, którzy stali ukryci w wysokich krzewach. Zadrzał więc, kiedy Johan do niego podszedł.

– Co do diabła pan tu robi?

Wyszczał te słowa. Co za absurdalna sytuacja! Oto stali tutaj, w samym środku rezerwatu przyrody, w pobliżu odludnego gospodarstwa, ciemną, wieczorową porą i głupio na siebie patrzyli.

– A pan co robi? – zapytał Johan.

– To moja prywatna sprawa – odwarknął Knutas. – Co tam się dzieje? – zapytał, skinąwszy głową w stronę zaparkowanych samochodów.

– Nie mamy pojęcia, dopiero co przyjechaliśmy.

Pia także wyszła z krzewów i przywitała się.

– Chciałbym teraz się dowiedzieć, co was tu sprowadza.

Johan przedstawił mu w skrócie, w jaki sposób znalazł amerykańską stronę internetową oraz opisał spotkanie z paserem. Kiedy wspomniał, że paserem jest Eskil Rondahl, Knutas zrobił wielkie oczy.

– No to nieźle.

Po jego głosie słysząc było, iż Johan mu chyba zaimponował.

– Ale pan przyjechał tu chyba z innego powodu?

Knutas zawahał się krótką chwilę. Być może sprawiła to intymność, jaka tu panowała, kiedy tak stali w mroku. Może było to zmęczenie i wyczerpanie wydarzeniami ostatniego czasu. Coś w każdym razie sprawiło, że zdecydował się wyjawić im powód swojego przyjazdu.

– Aron Bjarke, który jest nauczycielem w szkole wyższej, przebywał w Sztokholmie, kiedy Gunnar Ambjörnsson miał wrócić ze swojej zagranicznej podróży. Nie wpadliśmy na to wcześniej, ale Aron Bjarke i Eskil Rondahl są braćmi. Aron Bjarke zmienił nazwisko dwadzieścia lat temu, kiedy studiował w Sztokholmie. Przedtem nazywał się Aron Rondahl.

– Czy podejrzewacie, że to Aron jest mordercą?

– Tak. A teraz pan wnosi nagle kolejny, całkiem nowy aspekt dotyczący kradzieży. Być może mamy też, jak znalazł, wyjaśnienie kradzieży w Sali Zbiorów Dawnych.

Pia dała Johanowi kuksańca w bok.

– Patrzcie! – powiedziała. – Coś się chyba zaczyna dziać.

W domu widać było ludzi chodzących tam i z powrotem. Johan usłyszał, że ktoś zamyka od środka zamek w drzwiach. Dziwne – pomyślał – tutaj na wsi zazwyczaj nikt nie zamyka drzwi.

Ostrożnie podkradli się i zajrzeli przez jedno z okien. W środku była kuchnia, staroświecka i słabo wyposażona. Cały sprzęt to była tylko podniszczona kuchenka elektryczna, nieduża lodówka i zamrażarka. Wokół stało sporo naczyń, kieliszki i butelki. Johan prześlizgnął się wzdłuż ściany domu i przykucnął, by go nie dostrzeżono. Za rogiem skręcił i podszedł do ściany szczytowej. Zebrał się na odwagę i wyprostował plecy na tyle, aby móc zajrzeć bez przeszkód do środka.

Pokój był duży, prawie jak sala, ale skromnie umeblowany. Znajdowało się w nim około dziesięciu osób, mężczyzn i kobiet w różnym wieku. Wszyscy byli ubrani w podobne długie szaty przypominające płaszcze. Z początku przyszło Johanowi na myśl, że odbywają tu jakąś ceremonię w związku z Tygodniem Średniowiecza, lecz szybko zrozumiał, że chodzi jednak o coś innego. Pojawił się jakiś mężczyzna ubrany tylko w krótkie spodnie. Trzymał płaski bębenek obity skórą, przypominający tamburyn, w który uderzał drewnianą pałką owiniętą z jednej strony skórą. Przez cały czas wyśpiewywał jakąś monotonną pieśń. Nie miała ona żadnej melodii, składała się tylko z tego monotonnego zawodzenia. Johan nie mógł zrozumieć słów, ale miał wrażenie, że ów dobosz wypowiada jakieś zaklęcia lub przyzywa siły wyższe.

Inny mężczyzna, którego twarz zasłaniały pozostałe osoby, stanął pośrodku

zgromadzenia. W jednej chwili – niczym na jakiś umówiony sygnał – wszyscy otoczyli go kręgiem. Wypowiadając jakieś słowa, zwracał się w różne strony, a reszta grupy chyba coś mu odpowiadała. Knutas stanął koło Johana.

– Kim jest ten z bębmem? – szepnął Johan. – Wygląda jak szaman.

– Tak, to prawda, chociaż nie wiem, kto to jest. Ale przyjrzyj się temu w środku, wygląda na przywódcę. To Aron Bjarke.

W tej samej chwili Bjarke spojrział w ich kierunku. Przez ułamek sekundy Johan pomyślał, że zostali zdemaskowani, ale Bjarke niewzruszenie dalej robił swoje.

Wtedy Johan dostrzegł Eskila Rondahla. Stał po jednej stronie zgromadzonego towarzystwa, miał zamknięte oczy i mamrotał coś tak jak reszta. Wyglądał teraz zupełnie inaczej niż wcześniej, za dnia, kiedy spotkał się z Johanem. Jak zupełnie inny człowiek. Wyglądał tak, jakby był w transie. Johanowi wydawało się, że dobosz wprowadza innych i siebie samego w jakąś formę ekstazy.

Nagle skąpo odziana kobieta weszła do pokoju, tańcząc. Miała rude kręcone włosy sięgające aż do talii i – podobnie jak szaman – była prawie naga. Biodra miała owinięte niewielkim kawałkiem materiału, a u góry był tylko top. Tańczyła wokół dobosza i potrzasała włosami. W rękach trzymała coś, co przypominało róg. Dawała go wszystkim dookoła, a oni coś z niego pili.

Kiedy już wszyscy się napili, przyniesiono czarę. Kobieta niosła ją ostrożnie i Johan oraz Knutas instynktownie pochylili się do przodu, żeby lepiej widzieć. Kołysała się z tą czarą do przodu i w tył, a w oczach uczestników ceremonii pojawiło się coś ekstatycznego. Wszyscy wpatrywali się w czarę. Trzymała ją przed sobą, a dobosz uderzał pałką jeszcze intensywniej i podnosił głos. Teraz dźwięk docierał aż do nich, ale nadal nie mogli zrozumieć poszczególnych słów. Nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Kobieta upiła trochę z czary, podczas gdy głos szamana był już wręcz krzykiem. Po bokach spływała jakaś ciemnoczerwona ciecz.

Knutas i Johan wymienili spojrzenia pełne odrazy.

– Ciekawe, co piją – szepnął Johan. – Idę o zakład, że to krew.

– Nie zdziwiłbym się – powiedział Knutas i wyciągnął komórkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. – Ci ludzie są zdolni do wszystkiego. – Zaalarmował dyżurnego w Visby, nie spuszczać oka z ceremonii.

Nagle Johan zauważył, że Pia zniknęła. Cofnął się o krok i rozejrzał się dookoła. Nigdzie nie było jej widać. Zirykowało go to i zaniepokoiło zarazem. Ci ludzie nie wyglądają na normalnych. Do czego mogliby się posunąć, gdyby nakryli Pię, jak skrada się pod oknem z

kamerą?

Knutas zadzwonił też po Karin, która akurat była w Tingstäde u swoich rodziców, niedaleko stąd. Martin Kihlgård był razem z nią i mieli natychmiast wyruszyć.

Johan zastanawiał się nad planem, jaki miał Knutas. Czy zatrzyma Arona Bjarke? Jeśli tak, to na jakiej podstawie? Chyba raczej nie wystarczyłoby, że był w Sztokholmie w tym samym czasie, kiedy przebywał tam Ambjörnsson.

Teraz również inni zaczęli popijać z czary. Po wypiciu stąpali miarowo po podłodze. Wszyscy w tym samym rytmie.

Jeden z członków sekty odłączył się od grupy i zanurzył w czarze coś, co wyglądało na posążek jakiegoś boga, aby potem unieść go i pokazać reszcie. Johan pomyślał, że ta rzeźba przypomina jakiegoś boga staronordyckiego, Tora albo Odyna. Posążek przekazywany był z rąk do rąk, a czerwona ciecz ciekła po uczestnikach, którzy rozmazywali ją sobie na twarzach. Wyglądało to makabrycznie.

Johan pochylił się w stronę Knutasa.

– To może trwać diabli wiedzą jak długo. Pójdę zobaczyć, gdzie jest Pia. Jakby coś się działo, to niech pan zagwiżdże.

Obszedł dom dookoła. We wszystkich oknach na dole paliło się światło, ale na piętrze było ciemno. Przeszedł przez podwórze i otworzył drzwi do stodoły. W środku było ciemno jak w grobie. Czuć było wilgoć i stęchliznę. W środku był włącznik światła, który znalazł dopiero po kilku chwilach poszukiwania go po omacku. Na suficie zaczęła nieregularnie pobłyskiwać jarzeniówka rzucająca słabe światło. W jednym kącie leżał stos jakichś rupieci oraz kilka toreb termoizolacyjnych.

Pod jedną ze ścian stała dość spora zamrażarka. Zobaczył, że kabel jest podłączony, więc otworzył ją, wiedziony czystą ciekawością. Kłapa była duża i ciężka, a sama komora i uchwyt trochę podniszczone. Kiedy zajrzał w głąb zamrażarki, uderzyło go zimne powietrze. Widział jedynie kilka kwadratowych plastikowych opakowań pokrytych szronem. Wziął do ręki jedno z pudełek i zdrapał lód z pokrywki. Była tam przyklejona jakaś etykieta. Wyteżył wzrok, żeby zobaczyć, co tam było napisane. Część tekstu napisanego czarnym atramentem była rozmazana. Niebawem litery stały się jednak na tyle wyraźne, że można je było odczytać. Utworzyły nazwisko, które doskonale rozpoznał: Mellgren. Instynktownie rozejrzał się, aby sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu i czy nikt nie widział, co robi. Obracał i przekręcał plastikowe pudełko. Wyglądało na to, że zawiera jakąś brązową, zgęstniałą ciecz. Aż go skręciło w żołądku, kiedy zrozumiał, że prawdopodobnie trzyma w ręku pudełko z krwią Mellgrena. Chwycił inne pudełko i zdrapał szron, ale przerwał, gdy usłyszał jakiś hałas

na zewnątrz.

Spojrzał w stronę drzwi do stodoły i zobaczył, jak ktoś powoli naciska kłamkę.

Karin i Kihlgård jechali w kierunku Hall, kiedy zapadły już sierpniowe ciemności. Droga zwężała się tym bardziej, im wyżej nią jechali. Po drodze mijali tylko jakieś pojedyncze samochody. Przejechali obok zjazdów do Lickershamn i Ireviken i niemalże przeoczyli zjazd w kierunku gospodarstwa. Karin ostro zahamowała i skręciła na dróżkę. Dookoła nich było czarno jak w grobie, gdyż nie było tu żadnego oświetlenia ani domów. Nisko rosnący las gęstniał, a tu i ówdzie migały martwe drzewa z gołymi, poskręcanymi konarami.

– Czy jesteś pewna, że dobrze jedziemy? – zapytał z niepokojem Kihlgård.

– Oczywiście. Sprawdziłam na mapie, to może być tylko ta droga. Chociaż muszę przyznać, że mimo iż pochodzę z Gotlandii, to nigdy tu, aż tak daleko, nie byłam.

– Potworne odludzie, jakby z krainy duchów.

– Tak – zgodziła się Karin. – Bardziej oddalonym od cywilizacji chyba już nie można być.

Samochód podskakiwał w coraz to mniej przejezdnym terenie. Karin zastanawiała się więc, czy zaraz samochód nie stanie i nie utkną tu gdzieś po drodze na dobre. Kiedy akurat zaczęła szukać miejsca, gdzie mogłaby zawrócić, dostrzegła samochód zaparkowany nieco wyżej w lesie. A jeszcze dalej stał kolejny samochód. Rozpoznała w nim starego mercedesa Knutasa.

Karin zaparkowała w pobliżu i tak cicho, jak tylko potrafili, zaczęli się skradać w stronę gospodarstwa.

Twarz Eskila Rondahla szybko się zmieniła, kiedy przyłapał Johana z pudełkiem w ręku. Tylko oczy zdradzały jego zaskoczenie. Spotykali się po raz drugi tego dnia.

– Co pan tu do cholery robi?

– Mogę zapytać o to samo.

Johan wyciągnął w jego stronę rękę, w której trzymał pudełko.

Rondahl nie odpowiedział. Ręce zwisały mu nieporadnie wzdłuż ciała, jakby nie wiedział, co ma zrobić. Stali tak przez moment i patrzyli na siebie.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Johan Berg i jestem dziennikarzem.

– Gdzie?

– W telewizji. Telewizja Szwedzka, program lokalny.

– Czy śledził mnie pan?

Mówiąc to, zbliżał się powoli do Johana. Johan cofnął się o krok i ukradkiem rozglądał się na boki. Gdzie do diabła jest Knutas? I Pia?

Rondahl krążył wokół niego niczym drapieжник czający się do ataku na swoją ofiarę. Johan był w rozterce. Drzwi były zamknięte, a nie widział żadnego innego wyjścia. Na zewnątrz panowała cisza. Nagle znalazł się w sytuacji, nad którą nie miał absolutnie żadnej kontroli. Nie przypuszczał, że on sam znajdzie się w strefie zagrożenia. W myślach mignęły mu obrazy córki. Przeklinał swoją głupotę. Jak mógł doprowadzić do takiej sytuacji, nie pomyślawszy o konsekwencjach? Chodziło o troję śmierć. Pojawiła się twarz Emmy.

Widział białe ściany z odpadającym tynkiem, białe boksy, w których kiedyś musiały stać krowy, przywiązane w szeregu łańcuchem, spętane, bez możliwości ucieczki. Tak jak teraz on. Spostrzegł, jak ciemnieją oczy Rondahla. Zrozumiał, że ten człowiek, który sprawiał wrażenie takiego delikatnego, był w rzeczywistości śmiertelnie groźny. Stał oko w oko z mordercą.

Okna połyskiwały czernią. Na dworze zapadła ciemność, która ogarnęła jego serce i

blokowała mózg. Zauważył wtedy ostrze noża błyszczące w ręku mężczyzny. Najpierw pomyślał, że źle widzi, ale ostrze błysnęło ponownie. Chwycił go za gardło lodowaty strach. Stał jak wryty. W głowie miał zupełny mętlik. Nie mógł skupić myśli, które przecinały się i rozmięły zarazem, nie podsuwając mu żadnego wyjścia z sytuacji. Nie wiedział, ile sekund czy minut upłynęło, kiedy stał tak jak skamieniały. Obudził się nagle ze swego chwilowego, spowodowanego strachem letargu i rzucił się w kierunku drzwi, rozpaczliwie próbując uciec. W następnej sekundzie miał już na sobie przeciwnika i poczuł przeszywający ból w brzuchu.

Johan osunął się na ziemię.

Karin i Kihlgård przemykali się w stronę gospodarstwa i dostrzegli Knutasa, który stał przyciśnięty do jednej ze dłuższych ścian budynku.

– Co tu się dzieje? – syknęła Karin, zaglądając jednocześnie z ciekawością przez okno.

– Odprawiają jakąś rytualną ceremonię. Jest tam i Eskil Rondahl, i Aron Bjarke, a Bjarke wygląda mi na przywódcę, jak sami widzicie. Nie wiem, co to znaczy, ale wygląda na to, że piją krew.

– Mówisz serio?

Kihlgård skulił swoje ogromne cielsko, na ile to tylko było możliwe.

Knutas zaczynał się już poważnie niepokoić. Posiłków, które wezwał, nadal nie było i zastanawiał się, dokąd poszli Johan i Pia.

– Kim jest Rondahl? – zapytała Karin.

Knutas przykucnął i szukał go wzrokiem w pokoju pośród mistycznych figur. Nie mógł go jednak nigdzie dostrzec. Najwyraźniej wyszedł z pomieszczenia, a Knutas tego nie zauważył.

– I Johan, i Pia zniknęli – powiedział Knutas z zaciśniętymi zębami. – Nie ma ich już od dłuższego czasu.

Pia leżała w najbardziej niewygodnej pozycji, jaką można było sobie wyobrazić. Znalazła schody na ścianie szczytowej domu, weszła na strych i natknęła się na klapę, którą można było odsunąć. Widziała stąd doskonale całe pomieszczenie na dole.

Mogła tu leżeć spokojnie i filmować, dopóki nikomu z uczestników ceremonii nie przyjdzie do głowy, żeby spojrzeć w górę na jeden z kryształowych żyrandoli wiszących na suficie.

Jakoś jeszcze do niej nie docierało, że te rzeczy, które rozgrywały się tam, w pokoju, naprawdę nie były przywidzeniem.

Wielu uczestników miało w ręku figurki. Zanurzali je w czarach, których zawartość faktycznie przypominała krew. Pia starała się przybliżyć zoomem te figurki, aby zobaczyć, co przedstawiają. Jedna z kobiet pocałowała swoją figurkę i – ku przerażeniu Pii – zaczęła starannie zlizywać z niej krew.

Rozpoznała Arona Bjarke. Również i on zachowywał się w sposób, jakiego zupełnie nie znała. Twarz miał wykrzywioną, a wzrok zimny, kiedy wyciągał ręce w powietrze i wypowiadał zaklęcia, których nie rozumiała.

Kamera cały czas pracowała, a Pia miała tylko nadzieję, że obraz będzie ostry.

Wtem wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Otworzyły się drzwi i wrócił mężczyzna, który nieco wcześniej wyszedł z pomieszczenia. Wyglądał na zziąjanego. Teraz go rozpoznała: to ten mężczyzna z filmu, Eskil Rondahl. Zauważyła, że miał krew i na odzieży, i na rękach, ale nie pamiętała, czy miał ją, wychodząc z pokoju. Mogła to być krew z jednej z tych czar, które sobie podawano.

Podszedł do Arona i szeptał mu coś do ucha. Mina Arona szybko się zmieniła. Zwrócił się w półobrocie w stronę Eskila i rozmawiali o czymś, czego nie mogła usłyszeć. Pia zaklęła pod nosem. Teraz było widać tylko jego plecy.

Nagle zobaczyła przez wizjer kamery, że Aron powiedział coś do mężczyzny z bębniem i rytmiczne uderzenia nagle się urwały. Uczestnicy, jeden za drugim, spostrzegli, że

bęben umilkł, więc przestali się poruszać. Rozglądali się przy tym dokoła siebie zdezorientowani. Aron uniósł rękę i zaczął mówić. Pia usłyszała, jak polecił wszystkim obecnym, aby udali się do swoich domów i powrócili tu kolejnego wieczora, ponieważ czekają na pełnię księżyca, by dokończyć rytuał. Jeżeli wszyscy przyjdą, to będą mogli przeżyć coś niezwykłego.

Ktoś próbował zapytać, co to będzie, ale Aron tylko podniósł rękę i lekko się uśmiechnął.

W tej samej chwili, kiedy zauważyli, że Eskila Rondahla nie było, on właśnie wrócił. Zobaczyli, jak podchodzi do swego brata, jak Aron przemówił do zebranych i jak powstało pewnego rodzaju zamieszanie, kiedy przerwano rytuał. Uczestnicy, jeden za drugim, wychodzili z domu. Światło księżyca zmusiło trójkę policjantów do wycofania się daleko za ścianę szczytową domu. Trudno im było więc zarówno zrozumieć to, co wychodzący mówili, jak i lepiej ich dostrzec. Ani Knutas, ani Karin nie rozpoznawali żadnej z osób należących do tej mistycznej sekty, oprócz Arona i Eskila. Zresztą twarze mieli pomalowane i trudno było odróżnić ich rysy.

Knutas coraz bardziej bał się o Johana i Pię. Dokąd oni poszli? Obawiał się, że coś im się stało.

Gdzie do diabła są wozy policyjne?

Postanowili zaczekać z atakiem, aż goście odjadą. Gdy tylko ostatni samochód zniknął za zakrętem, otworzyły się drzwi domu i obaj bracia wyszli. Przeszli szybkim krokiem przez podwórze w stronę nieoświetlonego budynku stodoły. Z zaciętymi i poważnymi twarzami weszli do środka i dokładnie zamknęli za sobą drzwi. Zapaliło się światło.

Knutasa aż ścisnęło w żołądku ze zdenerwowania. Popędził swoich kolegów. Cała trójka pobiegła w stronę stodoły. Kiedy Knutas zajrzał przez okno, jego obawy potwierdziły się. Obaj bracia stali pochyleni nad kimś, kto leżał na podłodze, a Aron trzymał nóż.

Mężczyzną leżącym na podłodze był Johan. Upłynęło zaledwie kilka sekund, zanim Knutas i jego koledzy jak burza wpadli przez drzwi z wyciągniętymi pistoletami.

– Policja! – krzyknął Knutas. – Ręce do góry i rzuć broń!

Aron i Eskil, którzy stali obrócenii plecami do drzwi, zamarli najpierw w pochylonej pozycji.

– Rzuć nóż! – powtórzył Knutas.

Próbował dostrzec, czy Johan żyje, ale ciało było zasłonięte. Obaj mężczyźni powoli wstali i obrócili się. Mimo iż Knutas kilkakrotnie spotykał się z Aronem, prawie nie mógł go

rozpoznać. Twarz Arona się zmieniła, ale Knutas nie był w stanie określić, w jaki sposób. Wyraz jego twarzy był zupełnie inny. Kiedy maska opadła, uderzyło go ogromne podobieństwo obu braci do siebie.

Aron jak na razie nie wykonał żadnego ruchu, który wskazywałby, że chce upuścić nóż. Spojrzał na Knutasa nieobecny wzrokiem, tak jakby go w ogóle nie było w tym pomieszczeniu.

– Rzuć broń! – po raz trzeci zawołał Knutas.

Czuł obecność Karin i Kihlgårda, którzy stali tuż za nim, po obu jego stronach, z bronią wycelowaną w braci.

Knutas usilnie walczył ze sobą, żeby zmusić się do ustania w spokoju. Bezcenny czas uciekał, podczas gdy z Johana, który bez ruchu leżał na podłodze, być może uchodziło już życie. Musimy zadzwonić po pogotowie – pomyślał. Może właśnie on nam tu umiera.

Aron powoli zwolnił uścisk wokół noża. Nóż z głuchym odgłosem upadł na podłogę. Policjanci natychmiast skoczyli do przodu i pochwycili mężczyznę.

Na podłodze leżał Johan, blady na twarzy i z zamkniętymi oczami. Jego sweter był czerwony od krwi, która przenikała przez ubranie i spływała na podłogę.

– Puls jest wyczuwalny, ale słaby – powiedziała Karin.

Otworzyły się drzwi i weszła Pia z kamerą w ręku. Kiedy zobaczyła Johana, krzyknęła i podbiegła do niego.

– Żyje – uspokoiła ją Karin. – Ale źle z nim.

Niedziela, 8 sierpnia

Ściany były pomalowane w spokojne barwy, a wszelkie dźwięki wygłuszono. Siedziała z dzieckiem na ręku na bujanym fotelu. Mógłby to być dzień taki, jak każdy inny. Dała Elin piersi. Dziecko chciwie ssało pokarm i wchłaniało go w swój maleńki organizm. Z oczu Emmy nawet już nie płynęły żadne łzy. Chciałaby móc płakać, lecz jej niepokój i rozpacz były suche. Jej ciało znajdowało się w jakimś bezruchu, w próżni, w stanie wyczekiwania. Od chwili, kiedy powiadomiono ją, że Johan został ciężko ugodzony nożem i że nie wiadomo, czy przeżyje, coś w niej skostniało. Czuła, jakby jej wewnątrz zamarzło i nie wiedziała, czy kiedykolwiek znowu odtaje.

Popatrzyła na Elin. W poczekalni było cicho. Teraz ta informacja pojawiła się pewnie w wiadomościach. Reporter lokalnej Telewizji Szwedzkiej został ciężko ugodzony nożem przez jednego ze schwytanych morderców i operowano go w szpitalu w Visby.

Pomyślała sobie, że to pewnie kara za to, że nie przyjęła Johana i jego miłości. Wykluczyła go. Teraz żałowała, ale było już za późno. Lekarze powiedzieli, że miał krwotok wewnętrzny wskutek licznych ciosów zadanych nożem. Cały zespół lekarzy walczył o jego życie.

Kiedy otworzyły się drzwi wiodące na oddział intensywnej opieki medycznej, poruszyła się tak mocno, że Elin aż oderwała się od sutka.

Wyszedł jeden z lekarzy. Rozpoznała go. Już wcześniej z nią rozmawiał. Był wysoki i wyglądał na sympatycznego, starszy od niej może o dziesięć lat. Do drzwi było dość daleko, więc mogła poobserwować go przez chwilę. Zrozumiała, że zmierza właśnie do niej. Miał zamaszysty chód i białe drewniaki na nogach, nieco już starte z przodu przy palcach. Zwróciła uwagę, że nosił na palcu obrączkę. Z kieszeni na piersi wystawał długopis. Czy to jest tak zawsze, że lekarze noszą długopisy w kieszeni na piersi? Chyba nigdy nie widziała lekarza bez długopisu. Był opalony i miał takie białe pręgi wokół oczu, jakie zwykle miewają ludzie spędzający czas na łodziach czy jachtach.

Spojrzał na nią i podszedł bliżej. Był tylko kilka metrów od niej. Czyżby miała teraz zemdleć? Odważyła się spojrzeć mu w twarz, całkiem z bliska.

Słońce świeciło, Elin spała, a za oknem było lato.

Lekarz wyglądał na sympatycznego, ale z jego wyrazu twarzy nie mogła niczego wyczytać.

Poczuła tylko, jak chwycił ją za rękę.

Piątek, 13 sierpnia

Knutas nie był przesądny, ale ta data nie została przez niego niezauważona. Z pewną niechęcią odnotowywał, że jego urlop zaczął się właśnie w piątek trzynastego sierpnia. Za oknami komendy deszcz lał jak z cebra. Miał przed sobą cztery tygodnie urlopu. Musiał już tylko posprzątać biurko i podsumować ostatnie wydarzenia. Potem nareszcie definitywnie zakończy to wstrząsające śledztwo.

Rozprawa sądowa w sprawie zastosowania aresztu wobec Arona Bjarke i Eskila Rondahla odbyła się w czwartek. W jej wyniku obaj zostali zatrzymani pod tym samym zarzutem jako podejrzani o zamordowanie Martiny Flochten, Staffana Mellgrena i Gunnara Ambjörnssona. Oskarżenie obejmowało również usiłowanie zabójstwa, kradzież, naruszenie ustawy o pamiątkach narodowych, bezprawne groźby, paserstwo i dręczenie zwierząt.

Aron był podejrzany o dokonanie mordów, gdyż z nich obu to właśnie on był silniejszy i najbardziej skłonny do przemocy. Eskil zajmował się kradzieżami, lecz pomagał również bratu przy każdym zabójstwie.

Obaj bracia zaprzeczali, że brali udział w tych zbrodniach, co nie miało jednak większego znaczenia. Oskarżenia miały mocne podstawy, bo istniały zarówno zeznania świadków, jak i konkretny materiał dowodowy. Były nim na przykład plastikowe pudełka z krwią znalezione w zamrażarce Eskila Rondahla. Odciski Arona Bjarke znaleziono i na pokrywkach pudełek, i na zamrażarce. Skradzioną z Sali Zbiorów Dawnych bransoletkę znaleziono w domu Eskila Rondahla na gospodarstwie w Hall, podobnie jak i sporą liczbę starych przedmiotów, które zniknęły z różnych miejsc wykopaliskowych na Gotlandii. Zabezpieczono też jego komputer, w którym znaleziono dowody na to, że sprzedawał różne wykopane przedmioty. Jako dowód posłużył też film, który Pia Lilja przekazała policji. Na gospodarstwie w Hall znaleziono ciało ogiera półkrwi, które pochowano pod pagórkiem. Koń wyszedł na letni wypas w Sudret razem z około sześćdziesięcioma innymi i pewnie dlatego nie odnotowano jego zniknięcia. Przetransportowano go jeszcze żywego do gospodarstwa i dopiero tam odcięto mu łeb. Ubrania ofiar znaleziono w zamkniętej skrzyni w spalonej sypialni rodziców.

Od chwili ujęcia braci na gospodarstwie w Hall na światło dzienne wyszedł cały szereg

nowych faktów. Okazało się, że Staffan Mellgren należał do tego wąskiego grona osób, któremu przewodził Aron Bjarke. Był on ich szamanem i razem z nimi w przesadnej formie oddawał cześć Asom. W ciągu następnego tygodnia policji udało się ująć wszystkich dwunastu członków tego małego stowarzyszenia, które istniało wyłącznie w ich głowach. Nie mieli oni bowiem swojej strony internetowej, żadnych dokumentów ani listy członków. Może właśnie dlatego udało im się tak długo pozostać w ukryciu. Oddawali się okultystycznym praktykom wielbienia bogów, w których powszechnie stosowane było składanie ofiary z krwi różnych zwierząt. Natomiast żaden z pozostałych członków stowarzyszenia nie wiedział, że używana była do tych praktyk również krew ludzka. Wielu doznało szoku, gdy się dowiedzieli, iż być może pili krew jednego ze swoich byłych członków, Staffana Mellgrena.

Podczas przesłuchań okazało się, że morderstwo Martiny Flochten było prawdopodobnie wynikiem kłótni wokół planów budowy hotelu koło Högklint. Było to absolutnie najświętsze miejsce dla członków tej sekty. Kiedy podano plany budowy do publicznej wiadomości, doszło do konfliktu pomiędzy Aronem Bjarke a Staffanem Mellgrenem, którego uważano za drugiego silnego człowieka w grupie.

Bjarke chciał sięgnąć po drastyczne metody, aby zastopować budowę, czemu sprzeciwiał się z kolei Mellgren, po którego stronie opowiedziała się reszta grupy. Tak więc doszło do faktycznego rozłamu. Najwyraźniej jednak Bjarke nie chciał zrezygnować ze swoich planów, o których realizacji coraz usilniej myślał. Kiedy więc potem córka Patricka Flochtana, Martina, wdała się w romans ze Staffanem Mellgrenem, Bjarke dostrzegł możliwość ukarania ich obojga.

Knutas rozmawiał z Agnetą Larsvik, która była przekonana, że badania psychiatryczne, miały być przeprowadzone przez sąd, wykażą u obu braci poważne zaburzenia psychiczne. Według niej to Aron manipulował Eskilem i zachęcał go do uczestnictwa w morderstwach. Eskil sam nie byłby zdolny do popełnienia tych czynów.

Przy ustalaniu winy nie miało to znaczenia. Obu należało uznać za sprawców.

Podczas przesłuchań w ciągu następnego tygodnia wyszła na jaw cała prawda o dzieciństwie braci. Obaj dorastali w ciężkich warunkach, mieli trudności z adaptacją i poddawani byli mobbingowi. Ich rodzice byli bardzo gorliwymi chrześcijanami i ustanawiali surowe reguły dotyczące wszystkich zasad domowego życia. Jeżeli ktoś z dzieci złamało te reguły lub popełniło jakiś błąd, było surowo karane. Przemoc fizyczna była tam tak samo częsta, jak maltretowanie psychiczne.

W szkole ledwo sobie radzili. Aronowi szło lepiej niż Eskilowi, w dużej mierze dzięki temu, że miał wrodzone zdolności, był większym ekstrawertykiem niż jego brat. Pomagał mu

też bardzo jego dobry wygląd, z czego chyba nie zdawał sobie sprawy. Aron próbował również kontynuować naukę po szkole. Studiował w Sztokholmie i właśnie w tym czasie zetknął się z kultem Asów. Zainteresowanie mitologią staronordycką szło w parze z zainteresowaniem archeologią. Jego wiara w tych bogów rosła w miarę upływu lat i dlatego w okresie sztokholmskim zmienił nazwisko na takie, którego brzmienie było bliższe Asom. Po powrocie na Gotlandię dzięki pracy na uczelni znalazł parę osób, które myślały podobnie jak on. Z czasem założył to małe, ekstremalne stowarzyszenie, które całkowicie odbiegało od innych stowarzyszeń związanych z Asami.

Wzbudził też zainteresowanie kultem Asów u swego starszego brata, który nadal mieszkał z rodzicami, mimo iż miał już ponad pięćdziesiąt lat. Kiedy Aron powrócił na wyspę, jego brat nadal pozostawał pod silnym wpływem rodziców i żył według ich zasad. Poprzez uczestnictwo w spotkaniach stowarzyszenia rozpoczął się proces wyzwania się Eskila z tych więzów. W ciągu tych minionych lat znajdował ucieczkę w przedmiotach, którymi się zajmował zawodowo i za ich pośrednictwem nawiązywał kontakt z bytami duchowymi. Zaczął mieć trudności z odróżnianiem tego, co jest rzeczywiste, a co nie. Przedmioty w coraz to większym stopniu postrzegał jako własne. W wolnym czasie, kiedy nie musiał pomagać rodzicom na gospodarstwie, długo przesiadywał przed komputerem. Z czasem znalazł rynek zbytu na wykopywane na Gotlandii przedmioty. Powoli zaczął sprzedawać różne rzeczy, co szło mu całkiem dobrze. Od czasu do czasu jeździł do Sztokholmu, aby spotkać się ze swoją osobą kontaktową. Na kradzieżach dość dobrze zarabiał, a pieniądze przeznaczał głównie na utrzymanie gospodarstwa.

Obaj mieli więc swoje obszary działania, które służyły im do załatwienia dziur z dzieciństwa: braku troski, wsparcia i pocieszenia ze strony rodziców. Mimo to potrzeba było im czegoś innego, aby wypełnić tę bolesną próżnię. I tak to się właśnie wszystko zaczęło. Przypuszczalnie pożar, w którym zginęli rodzice, był czynnikiem uruchamiającym tę maszynę. Tak w każdym razie twierdził Knutas.

Oskarżyciel Birger Smittenberg uznał, iż istnieje wystarczająco wiele powodów, aby wznowić tamto śledztwo. W świetle ostatnich zbrodni można było podejrzewać, że to właśnie obaj bracia spowodowali pożar, w którym zginęli ich rodzice.

Knutas schował ostatnią rzecz.

Kiedy opuszczał komendę, na dworze padał deszcz. Teraz czekał go tydzień na wsi, który spędzi wspólnie z rodziną. A kiedy dzieci wyjadą, by rozpocząć semestr zimowy w szkole, wtedy on zostanie w domku sam i zajmie się stolarką i łowieniem ryb. Były to najlepsze zajęcia, jakie znał. Kiedy był już w połowie drogi do domu, niebo pociemniało i

usłyszał, jak nad morzem zagrzmiało.

W pewnym sensie czuło się, że tak właśnie miało być.

Podziękowanie autorki

Historia ta jest w całości wymyślona. Wszelkie podobieństwa pomiędzy postaciami występującymi w powieści a żyjącymi osobami są przypadkowe. Czasami korzystałam z wolności, jaką ma pisarz, i zmieniałam nieco rzeczywistość z korzyścią dla narracji. Dotyczy to między innymi nadzoru Telewizji Szwedzkiej na Gotlandii, który w mojej książce sprawowany jest przez redakcję w Sztokholmie. Wielka chwała należy się jednak lokalnemu programowi informacyjnemu Östnytt, który zajmuje się Gotlandia i jest realizowany przez stały zespół redakcyjny, mający swoją siedzibę w Visby.

Różne elementy środowiska opisano w książce w takiej formie, w jakiej występują w naturze, choć zdarzają się wyjątki.

Tylko ja ponoszę pełną odpowiedzialność za ewentualne błędy, które się zakradły w tekście.

Największe podziękowanie kieruję pod adresem mojego męża, dziennikarza *Cennelha Niklassona*, za gorące wsparcie, ostrą krytykę i dobre pomysły.

Serdeczne podziękowanie wyrażam także:

Göste Svenssonowi, byłemu komisarzowi policji kryminalnej w Visby, za nieocenioną pomoc dotyczącą informacji o pracy policji.

Ollemu Hoffmanowi, archeologowi, za chęć podzielenia się ze mną swoją fascynującą wiedzą

Mikaeli Säfvenberg, archeologowi i licencjonowanej przewodniczce.

Martinowi Csaltosowi z wydziału medycyny sądowej w Solna.

Johanowi Gardeliusowi oraz *Bo Ekdahlowi*, technikom kryminalistycznym.

Håkanowi Onsjö, weterynarzowi.

Ulfowi Ågard, psychiatrze.

Marie oraz *Göthe Modin*, kierownikom pensjonatu Warfsholm.

Moim czytelnikom za ich cenny wkład:

Lenie Allerstam, dziennikarce Telewizji Szwedzkiej.

Bossemu Jungstedt, mojemu bratu i *Kerstin Jungsted*, mojej szwagierce.

Lilianie Andersson, redaktorce Bonnier Utbildning.

Annie-Mai Person, dziennikarce Telewizji Szwedzkiej

Mojemu wydawcy *Jonasowi Axelsson* i mojej redaktorce *Ulrice Åkerlund*

A na koniec dziękuję nie mniej serdecznie moim wspaniałym dzieciom *Rebecce* i *Sebastianowi* za ogromną cierpliwość w trakcie tej ciągłej pisaniny ich mamy.

Älta, czerwiec 2005

Mari Jungstedt